

Mroczny Muzykant

NORTON ANDRE



calibre 0.7.28

Andre Norton

Mroczny Muzykant

Tytuł oryginalu: Dark Piper

Tłumaczył: Piotr Kus

Rozdział pierwszy

Słyszałem, jak twierdzono, że tasma Zexro może przetrwać wieczność. Jednak wątpię, aby chociaż kolejna generacja znalazła w naszej historii coś godnego uwiecznienia. Z naszej kompanii Dinan, a także Gytha, która pracuje przy kompletowaniu wszystkich starych zapisów spoza tego świata, być może zechce pamiętać o tej historii. Nie spodziewamy się po naszym przyszłym czytelniku, iż oczekiwać będzie technicznych informacji, gdyż nikt przecież nie wie, jak długo będą one cokolwiek warte. Siedzimy, że właśnie ta tasma i zawarte na niej przesłania pozostaną zapomniane przez długi czas, o ile po wielu wiekach od tej chwili ci spoza świata nie przypomną sobie o naszej kolonii. Być może nie zechcą poznać faktów dotyczących ich losów, ani nie znajdą się wśród nich ludzie zdolni do odbudowania maszyn, które uległy zniszczeniu w wyniku ciągłej walki o to, by dokonywać na nich właściwych napraw. Mój zapis może nie przynieść żadnego pożytku również z tego powodu, że w ciągu trzech lat nasza mała kompania zrobiła ogromny krok do tyłu, od rozwiniętej cywilizacji, niemal do barbarzyństwa. A jednak, każdego wieczoru spędzam nad nim przynajmniej godzinę, radząc się wszystkich dookoła, gdyż nawet młode umysły mogą dodać do niego pewne spostrzeżenia. Jest to opowieść o mrocznym muzykancie, Grissie Lugardzie, który uratował kilka istnień swego gatunku po to, by ci, którzy są prawdziwymi ludźmi nie zniknęli na zawsze ze świata, który ukochał. My, którzy zawdzięczamy mu nasze życie, wiemy o nim tak niewiele, że w absolutnej zgodzie z prawdą możemy jedynie zawrzeć na tej taśmie nasze własne uczynki i działania oraz sposób, w jaki on z nami się związał.

Beltane była unikalna wśród planet sektora Skorpio w tym sensie, że nigdy nie przeznaczono jej do ogólnego zasiedlenia, lecz przygotowywano ją jako biologiczną stację eksperymentalną. Z powodu jakichś kaprysów natury, jej klimat w zupełności odpowiadał przedstawicielom naszego gatunku, jednak nie posiadała ona swego własnego inteligentnego życia, ani, prawdę mówiąc, żadnej innej nadmiernie rozwiniętej jego formy. Jej bogate w roślinność oba kontynenty oddzielone były szerokimi morzami. Na wschodnim kontynencie zawierało się właściwie wszystko to, co można by uważać za tamtejsze życie. Rezerwaty, wioski i farmy sztabu doświadczalnego umieszczone były natomiast na zachodnim kontynencie. Połączenie z przestrzenią miały zapewnione wyłącznie dzięki jednemu portowi kosmicznemu.

Jako aktywna jednostka schematu Konfederacji, Beltane funkcjonowała przez cały wiek przed wybuchem Wojny Czterech Sektarów. Wojna ta skończyła się po dziesięciu latach

planetarnych.

Lugard powiedział, że był to początek końca naszego rodzaju i jego władzy nad szlakami kosmicznymi. W różnym czasie mogą powstawać imperia gwiazd, konfederacje i inne rządy. Nadchodzi jednak czas, kiedy twory te stają się zbyt wielkie i zbyt stare, wskutek czego ulegają rozpadowi od wewnątrz. Wówczas pękają jak balony, kiedy ukuje się je ostrym cierniem; pozostają po nich jedynie bezkształtne platy. A jednak wiadomość o końcu wojny przywitano na Beltane z nadzieją na nowy początek, z nadzieją na powrót złotej ery "sprzed wojny", na opowieściach o której wychowywała się najnowsza generacja. Być może starsi osiedlency czuli dreszcze nieprzyjemnej prawdy, która wkrótce miała się ziszczyć, jednak odtracali te myśli, kryli się przed nimi, jak człowiek kryje się w szalasy, chcąc osłonić się przed burzą śnieżną. Ponieważ ludności na Beltane było niewiele - stanowili ją głównie specjaliści i członkowie ich rodzin - Służby drenały ją z siły roboczej. Z kilku setek, które w ten sposób przymusowo opuściły planetę, powróciła na nią tylko garstka. Mojego ojca nie było wśród tych, którzy wrócili.

My, Collisowie, byliśmy rodziną z Pierwszego Statku, jednak, w przeciwieństwie do większości, mój ojciec nie był technikiem, ani biomechanikiem, lecz dowodził oddziałami Służb. Z tego względu już od początku nasza rodzina była oddzielona od reszty społeczności, a powodem tego podziału było różnicowanie interesów. Mój ojciec nie miał zapewne wielkich ambicji. Przeszedł odpowiednie przeszkolenie w oddziałach Patrolu, jednak nigdy nie starał się o awans. Wolął szybko wrócić na Beltane, co też uczynił, przejmując tu dowództwo nad Służbami i dowodząc nimi tak, jak kiedyś jego ojciec. Dopiero wybuch wojny, który spowodował, że nagle zaczęło brakować wyszkolonych mężczyzn, sprawił, iż dał się oderwać od swoich korzeni, które tak bardzo ukochał.

Niewątpliwie podążyłbym jego śladami, jednak te dziesięć lat konfliktu, podczas których byliśmy mniej lub bardziej odcięci od przestrzeni, sprawiło, że musiałem pozostać w domu. Moja matka, która pochodziła z rodziny techników, zmarła jeszcze zanim ojciec udał się w przestrzeń ze swoim oddziałem, a ja spędziłem dziesięć lat z Ahrenami.

Imbert Ahren był dowódcą stacji Kynvet i kuzynem mojej matki, jedynym moim krewnym na Beltane. Był poważnym i szczerym człowiekiem, który do wszystkiego, co osiągnął, doszedł raczej dzięki mrowczej i ciężkiej pracy, niż dzięki błyskotliwemu intelektowi. Prawde mówiąc, stanowisko jego wymagało ciągłej czujności i kontrolowania podwładnych, którzy rzadko przykładali się do pracy jak należy, jednak nigdy nie potrafił zdobyć się na surowość i był wobec nich bardzo tolerancyjny. Jego żona, Ranalda, była z kolei naprawdę doskonała w swojej dziedzinie i o wiele bardziej wymagająca wobec podwładnych niż Imbert. Rzadko ją widywaliśmy, ponieważ wciąż prowadziła jakieś skomplikowane badania.

Zajmowanie się gospodarstwem domowym wcześniej spadło więc na Annet, która była zaledwie rok młodsza ode mnie. Mieszkała jeszcze z nami Gytha, która całymi dniami czytała taśmy, a gospodarstwem domowym interesowała się jeszcze mniej niż jej matka.

To chyba specjalizacja, która stawiała się coraz bardziej niezbędna dla mojego gatunku od momentu, kiedy skierowaliśmy kroki w przestrzeń, w pewnym sensie zmutowała nas, chociaż ludzie najbardziej nie dotknięci zapewne stanowczo oponowaliby przeciwko takiemu twierdzeniu. Mimo że miałem prywatnego nauczyciela i ponaglano mnie, bym wybrał zawód, który przydałby się w laboratoriach na stacji, nie miałem żadnych zdolności w tym kierunku. W końcu, bez większego przekonania, podjąłem studia, po których mogłbym wstąpić do Służby Strażniczej w jednym z Rezerwatów; Ahren uważał, że nadawałbym się do tej pracy. Tymczasem nastąpił ponury koniec wojny, która szczęśliwie bezpośrednio nikogo z nas nie dotknęła.

Nikt w niej właściwie nie zwyciężył; faktyczny remis oznaczał, że obie strony nie mają już siły do dalszej walki. Rozpoczęły się, bardzo długo trwające, "rozmowy pokojowe", które zakończyły się kilkoma rozsądnymi ustaleniami.

Przedmiotem naszych obaw było to, że o Beltane jakby zapomnialy siły, które spowodowały jej narodziny. Gdybyśmy dawno temu nie przystąpili do eksploatacji tej planety i nie korzystali z jej surowców, znaleźlibyśmy się teraz w desperackiej sytuacji. Nawet przybywające dwa razy w roku statki rządowe, do których ograniczył się w ostatnim okresie wojny nasz handel i nasza komunikacja, dwukrotnie spóźniły się. Radość z ich przybywania zamieniała się jednak w niechęć i wrogość, gdy okazywało się, że nie ładowały po to, aby uzupełnić nasze zapasy, lecz by zostawić pochodzących z Beltane ludzi, którzy walczyli w odległym konflikcie. Weterani ci wyglądali jak własne cienie, prawdziwie nieszczęśliwe, przeważnie okaleczone, ofiary maszyny wojennej.

Wśród nich był Griss Lugard. Chociaż dobrze znałem go w dzieciństwie i był zastępcą dowódcy w oddziale, wraz z którym udał się na wojnę mój ojciec, nie rozpoznałem go, kiedy kulejąc schodził po rampie pasazerskiej. Jego niewielki worek podróżny zdawał się zbyt wielkim ciężarem dla chudych ramion, pod jego ciężarem Griss wyraźnie chylił się na bok.

Przechodząc obok, nagle spojrzał na mnie i niespodziewanie rzucił worek na ziemię. Uniosł dłoń i wtedy usta na jego twarzy, na której widoczny był jeszcze ślad po świeżej bliznie, wykrzywiły się w grymasie.

-Sim...

W tym momencie jego dłoń powędrowała ponad głowę i wtedy rozpoznałem go, po opasce na przegubie dłoni, teraz o wiele za luźnej.

-Jestem Vere - powiedziałem szybko. - A pan jest... - popatrzyłem na dystynkcje na kołnierzyku jego wyplowiałej i pogniezionej tuniki. - Kapitan Lugard! - wykrzyknąłem wreszcie.

-Vere - powtórzył moje imię i przez chwilę jego umysł jakby błędził gdzieś w czasie, próbując coś mu przypomnieć. - Vere, ty... jesteś synem Sima! Ale... ale przecież

wygladasz jak sam Sim. - Stal bez ruchu, wpatrujac sie we mnie, po czym nagle odwrocil sie i zaczal ogladac nasze otoczenie. Dopiero teraz zdobyl sie na to; schodzac z rampy przez caly czas mial wzrok wbity w ziemie, jakby interesowal go jedynie kurz tej planety, wzbijany przez podeszwy butow.

-Minelo wiele czasu - powiedzial niskim, zmeczonym glosem. - Duzo, duzo czasu.

Przy grabil sie i po chwili schylil po torbe, jednak uprzedzilem go.

-Dokad, prosze pana? - zapytalem.

Po jego rodzinie pozostaly stare baraki. Nikt tam nie mieszkal, juz od dobrych pieciu lat, byly wlasciwie jedna wielka rupieciarnia. Wszyscy czlonkowie jego rodziny poumierali lub opuscili planete. Postanowilem, ze niezaleznie od tego, ile u nas jest miejsca, Griss Lugard pozostanie na razie gosciem u Annete.

On spogladal jednak ponad moimi ramionami, w kierunku poludniowo-zachodnich wzgorz i rysujacych sie za nimi wysokich gor.

-Czy masz moze przelatywacz, Sim... Vere? - zaraz poprawil sie.

Potrzasnalem przeczaco glowa.

-Bardzo nam ich brakuje, prosze pana. Nie mamy czesci do ich naprawiania. Moge jedynie zdobyc helikopter operacyjny.

Wiedzialem, ze zlamie w ten sposob regulamin. Griss Lugard byl jednak dla mnie kims bardzo bliskim, nalezal do mojej przeszlosci, a od jak dawna nie mialem kontaktu z nikim z mojej przeszlosci?

-Prosze pana, gdyby pan zechcial zostac gosciem... - kontynuowalem.

Potrzasnal przeczaco glowa.

-Lepiej nie - mruknal, jakby mowil wylacznie do siebie. - Jesli chcesz cos dla mnie zrobic, postaraj sie o helikopter. Polecimy na poludniowy zachod, do Butte Hold.

-Ale tam sa przeciez tylko ruiny. Nikt z nas tam nie byl od osmiu lat.

Lugard wzruszyl ramionami.

-Widzialem ostatnio wiele ruin, chcialbym jednak zobaczyc takze i te. - Siegnal dlonia pomiedzy faldy tuniki i wydobyl z niej metalowa tabliczke, mieszczaca sie na powierzchni dloni. Tabliczka blysnela w popoludniowym sloncu. - Dowod wdziecznosci od rządu, Vere. Otrzymałem Butte Hold na tak dlugo, jak tylko bede chcial. Jest moje.

-Ale zaopatrzenie... - znow spróbowałem go zniechęcić.

-Co tam zaopatrzenie? To wszystko jest moje. Zapłaciłem za to poranioną twarz, wysiłkiem wojennym; całkiem przyzwoita cena za Butte, chłopcze. Teraz więc chciałbym udać się... do domu. - Wciąż wypatrywał w kierunku wzgórz.

Podpisałem więc odbiór helikoptera na oficjalną podróż. Griss Lugard miał do niej prawo i byłem pewien, że w razie czego odrzuci wszelkie oskarżenia o bezprawne użycie maszyny.

Nasze helikoptery skonstruowano w celu poruszania się i prowadzenia poszukiwań w trudno dostępnym terenie. Gdy było to możliwe, jechały na kołach po powierzchni planety, ale gdy drogi zamykały przeszkody, których nie można było pokonać, mogły unosić się w górę i pokonywać krótkie odcinki w powietrzu. Nie należały do najwygodniejszych i nie były przystosowane do długich podróży; po prostu umożliwiały szybkie dotarcie do trudnych terenów. Zasiadliśmy teraz z Lugardem na przednich fotelach, przypięwszy się do nich pasami, po czym wyznaczyłem kurs na Butte Hold. W tamtych czasach należało trzymać ręce na sterownikach, ponieważ trudno było wierzyć automatycznym sensorom.

Od czasu wybuchu wojny, osiedla na Beltane zaczęły kurczyć się, zamiast rozwijać. Ubywało ludzi i peryferyjne osady pustoszyły jedna po drugiej. Butte Hold pamiętałem tylko sprzed wojny; słabo, bo ostatni raz byłem tam jako mały chłopiec.

Zalozono je na skraju wulkanicznego terytorium, które, dzięki potężnym wybuchom licznych i wysokich wulkanów, musiało w zamierzchłych czasach oświetlać spory szmat kontynentu. Dowody, iż przed wielu laty szalał tu żywioł, wciąż wywoływały ogromne wrażenie. Pozostawił on po sobie niesłychanie urozmaicony krajobraz, ogromne bryły zastygłej lawy, ostre jak noże grzbiety górskie i nadzwyczaj skąpa roślinność. Plotki głosiły, że oprócz naturalnych zasadzek, które kryje ta ziemia, na przyszłość czyhają tu także inne niebezpieczeństwa - mianowicie wielkie, dzikie bestie, które, uciekły ze stacji eksperymentalnych, znalazły dla siebie na tych zapomnianych i dzikich terenach idealne legowiska. Były to tylko plotki, ponieważ, jak do tej pory, nikt nie dowiódł istnienia bestii. A jednak ludziom weszło w krew, że wybierając się tutaj, na wszelki wypadek zawsze mieli ze sobą oszalamiacze.

Po krótkiej jeździe skreśliśmy w drożkę tak niewyraźną, że nie zauważyłbym jej, gdyby nie wskazówki Lugarda. Prowadził mnie bardzo pewnie, jakby wtedy jeździł codziennie. Wkrótce znacznie oddaliliśmy się od zamieszkanego terenu. Chciałem z nim porozmawiać, jednak nie osmielałem się zadawać pytań, które mnie nurtowały. Lugard, w chwilach gdy nie zajmowało go wskazywanie mi drogi, całkowicie pograżony był w swoich myślach.

Pomyślałem, że znalazłby dla siebie na Beltane o wiele lepsze miejsce, może nie całe osiedle, ale coś o wiele bardziej interesującego niż zapomniane osiedle w niedostępnym terenie. W osiedlach na planecie brakowało mężczyzn; przecież wywozono ich stąd na wojnę, najpierw strażników, potem naukowców, a na końcu techników. Ci, którzy tu

pozostali, być może nieświadomie zmieniali ich atmosferę. Wojna nie przetoczyła się na tyle blisko, by wywrzeć jakiś większy wpływ na samą Beltane. Pozostała w konflikcie jedynie dostarczycielem pewnych surowców i ludzi. Ponadto budziła irytację, gdyż ci, którzy tutaj przyjechali w celach badawczych, nie mieli ochoty na kolejne dalekie podróże, by zabijać lub samemu ginąć w bezkresach przestrzeni. Przed pięciu laty doszło nawet na tym tle do ostrego sporu pomiędzy komendantem, a ludźmi takimi jak doktor Croson. Komendant wkrótce opuścił planetę i na Beltane znowu zapanował spokój.

Tutejsza ludność była z natury pokojowa. Do swojego pacyfizmu byli tak przywiązani, że zastanawiałem się, czy zaakceptują Lugarda, który w chwale powrócił z dalekiej wojny. Urodził się na Beltane, to prawda. Jednak, tak jak mój ojciec, pochodził z rodziny tradycyjnie zakorzenionej w Służbie i nie wzenił się w zaden z klanów, zamieszkujących osiedla. Mówił, że Butte Hold należy do niego. Czy było to prawda? A może przysłano go tu, żeby przygotował Butte Hold na przyjęcie garnizonu? Coś takiego nie spodobałoby się na planecie.

Nasza drożka była tak pełna dziur i nierówności, że w końcu niechętnie poderwałem helikopter w powietrze, utrzymywałem go jednak na minimalnej wysokości nad powierzchnią. Jeżeli Lugard miał założyć tu garnizon, to oby wśród żołnierzy, którzy przybędą, znaleźli się technicy-mechanicy, potrafiący naprawić nasz wysłużony sprzęt. Helikoptery w podróży często zachowywały się nieobliczalnie.

-Unies go trochę wyżej - polecił mi Lugard.

Pokreciłem głową.

-Nic z tego. Jeżeli rozleci się na tej wysokości, mamy przynajmniej szansę, że spadniemy na ziemię w jednym kawałku. Nie mam zamiaru ryzykować bardziej, niż to konieczne.

Lugard popatrzył najpierw na mnie, a potem zlustrował wzrokiem maszynę, jakby dopiero teraz widział ją po raz pierwszy. Jego oczy zweziły się.

-To jest przecież wrak...

-Jedna z najlepszych maszyn na tej planecie - odparłem. - Maszyny same się nie naprawiają. A technoroboty praktycznie wszystkie zatrudniamy w laboratoriach. Nie otrzymujemy żadnych dostaw spoza planety od czasu, gdy komandor Tasmond opuścił ją z resztką garnizonu. Większość helikopterów, jakie jeszcze funkcjonują, to po prostu składaki, zestawione z wraków zepsutych maszyn.

Napotkałem jego badawcze spojrzenie.

-To jest aż tak złe? - zapytał cicho.

-To zależy w jaki sposób potraktujemy słowo "złe". Komitet uważa, że w gruncie rzeczy

jest dobrze. Ciesza sie, ze przestalismy otrzymywac rozkazy spoza planety. Partia Wolnego Handlu chce oglosic calkowita niepodleglosc. Zyje nam sie gorzej niz przed wojna, jednak nikt, naprawde nikt, nie chce, aby rozkazy dla nas docieraly znów z przestrzeni.

-Kto ma tutaj wladze?

-Komitet, a wlasciwie przewodniczacy jego sekcji: Corson, Ahren, Alsay, Vlasts...

-Corson, Ahren, rozumiem. A kim jest Alsay?

-On jest na Yethlome.

-A Watsill? Kto to taki?

-Przybyl z zewnatrz. Podobnie Praz i Bomtol, jak zreszta i wiekszosc mlodych. I niektorzy z tych blyskotliwych uczonych...

-A Corfu?

-On... zabil sie.

-Co? - Lugard byl wyraznie zaskoczony. - Mialem wiadomosc... - Potrzasnal glowa. - Dlaczego?

-Oficjalny komunikat mowil o wyczerpaniu nerwowym.

-A nieoficjalnie?

-W plotkach powtarza sie, ze odkryl cos smiertelnie niebezpiecznego. Kazano mu nadal prowadzic badania. Odmowil. Naciskano na niego i bal sie, ze nie wytrzyma nacisku. Uciekl wiec w smierc. Komitet mowi, ze to ostatnia nienaturalna smierc na tej planecie i nigdy juz nikt nie da tu nikomu broni do reki.

-Oczywiscie, ze nie - powiedzial Lugard sucho. - Nie beda juz mieli takiej szansy, mimo ze zmagania trwaja...

-Ale wojna juz sie skonczyla!

Lugard potrzasnal glowa.

-Formalna wojna, tak. Porozrywala ona jednak Konfederacje na strzepy. Prawo i porzadek... w naszych czasach z pewnoscia czegos takiego jeszcze dlugo nie zaznamy... - Wskazal reka na niebo ponad naszymi glowami. - Nie zaznamy tego my i zapewne nie zazna rowniez nastepna generacja. Szczesliwe swiaty, ktore dysponuja wlasnymi surowcami, one zdolaja zachowac cywilizacje. Inne upadna, gdyz nie bedzie komunikacji i handlu pomiedzy planetami. Wilki krazyc beda, niszczac wszystko, co znajdzie sie w

przestrzeni...

-Wilki?

-To stare slowo, jakim okreslamy agresorow. Zdaje sie, ze nazywano nim zwierzec, ktore atakowalo wielkimi stadami bezbronne ofiary. Ich okrucienstwo wciaz tkwi w pamieci naszej rasy. Tak, wilki znow beda atakowac.

-Z Czterech Gwiazd?

-Nie - odparl Lugard. - Oni sa tak samo wycienczeni jak my. W przestrzeni pozostaly jednak resztki rozbitych flot, statki, ktorych swiasty macierzyste juz nie istnieja, dla ktorych nie ma portow, w jakich bylyby goraco witane. Ich zalogi prowadzic beda zycie, jakie toczy od lat, gdyz innego nie znaja. Nie beda juz jedynie regularnymi oddzialami, ale bandami piratow. Bogate swiasty, o ktorych beda wiedzieli piraci, zostana zaatakowane na poczatku. Zagrozone beda tez miejsca, ktore moglyby posluzyc piratom jako bazy...

Pomyslalem, ze wiem juz, dlaczego Lugard powrocil.

-A wiec przybyles tutaj sciagnac garnizon, zeby Beltane nie byla bezbronna wobec zagrozenia...

-Chcialbym, Vere, chcialbym, zeby tak bylo. - Zaskoczyl mnie zar, z jakim Lugard wypowiedzial te slowa. - Jednak nic z tego. Przybylem tutaj, poniewaz otrzymalem za moje wojenne zaslugi Butte Hold od rzadu. Butte Hold: wszystko, co na tej planecie miesci sie pod tym wlasnie pojeciem, nalezy do mnie. To jest jedyny powod, dla ktorego tu jestem. Poza tym, dlaczego wlasnie tutaj... Coz, urodzilem sie tutaj i pragne, zeby moje cialo pozostalo po smierci wlasnie na Beltane. Teraz na poludnie...

Slady starej drogi byly prawie niewidoczne. Szybko zblizalismy sie do krainy lawy i napotykalismy coraz wiecej sladow dawnych katastrof. Roslinnosc stawala sie coraz bardziej skapa i dzika. Dawno minela polowa lata i wiekszosc kwiatow juz przekwitla, jednak co jakis czas widzielismy je, odcinajace sie roznokolorowymi barwami na tle monotonii szarosci i zieleni. Dwukrotnie dzikie, glodne kroliki, wyjadajace resztki roslinnosci, zerwaly sie do szalenczej ucieczki, wystraszone przez helikopter.

Wkrotce ujrzelismy przed nami Butte Hold. Z ciekawoscia krazylem przez chwile nad potezna skarpa, u stop ktorej zalożono osiedle. Zachowalo sie wokol niego wiele sladow ludzkiej dzialalnosci. Szczegolne wrazenie wywolaly we mnie potezne umocnione posterunki dla wartownikow, wykute w litej skale. Widzialem, ze takie warowne posterunki budowano bezposrednio po wyladowaniu na planecie Pierwszego Statku, kiedy nie mielismy jeszcze pojecia, czego spodziewac sie po tutejszej faunie, wzbudzajacej szczegolne obawy w tej krainie lawy. Chociaz wkrotce okazalo sie, ze sa one nieuzasadnione, to jednak przez wiele lat wykorzystywaly je patrole.

Po chwili posadziłem helikopter na pasie do lądowania przed główną bramą osiedla. Piasek, który zaczął unosić się przy lądowaniu, wydał nieprzyjemny odgłos, uderzając o metalowe wrota, sprawiające wrażenie na stale zaspawanych. Lugard wysiadł, poruszając się sztywno. Siegnął po swój worek, jednak ja uprzedziłem go i wysiadłem za nim. Bagaż był lekki, jakby kapitan nie chciał obciążać się większymi ładunkami; a może ten fakt dowodził, że przyjechał tu tylko czasowo, zbadać sytuację. I wkrótce opuści nasza sekcję?

W milczeniu zaakceptował moje towarzystwo, jednak, nie oglądając się za mną, ruszył szybko przed siebie. Znowu miał w dłoni metalową płytkę, którą pokazał mi w porcie. Podeszedłszy do podsypanej piaskiem bramy, zatrzymał się na długą chwilę, wpatrując we wrota fortecy, jakby spodziewał się, że zabite deskami luki strzelnicze staną otworem i ktoś z wewnątrz zaraz coś do niego zawoła. Wreszcie pochylił się, uważnie badając brame. Przesunął dłoń po jej powierzchni, a druga wsunął swoją tabliczkę do otworu z mechanizmem, blokującym zamek.

Właściwie to spodziewałem się ujrzeć na jego twarzy rozczarowanie, nie wierząc w trwałość urządzenia, które przez tak długi czas poddawane było niszczącemu działaniu przyrody. Pomyliłem się jednak. Czekaliśmy przez krótką chwilę, po czym ciężkie wrota rozsunęły się w ciszy. W tym samym momencie zapaliły się światła i znaleźliśmy się w długim hallu, mając po prawej i lewej ręce zamknięte drzwi.

-Powinien pan mieć jakieś zaopatrzenie, zapasy... - odważyłem się powiedzieć. Lugard odwrócił się do mnie i siegnął po worek, który wciąż trzymałem w dłoniach. Uśmiechnął się.

-Coż, masz rację. Zaraz przekonasz się, że coś niecos mam. Proszę, wejdź do środka.

Przyjąłem zaproszenie, chociaż odgadywałem, że wolałby teraz być sam. Jednak ja znalazłem Beltane, a on nie. Gdybym wszedł do helikoptera i pozostawił Lugarda samemu sobie, mógłby natrafić na kłopoty, którym by nie podolał, bo nie wiedziałby jak. A przede wszystkim, pozbawiony by został jedyne go środka transportu.

Ruszył przed siebie, w kierunku drzwi, znajdujących się na końcu hallu. Znalazłszy się przy nich, zdecydowanym gestem przyłożył płytkę do właściwego miejsca i drzwi otworzyły się. Stanęliśmy u progu ciemnego szybu. Lugard niespiesznym ruchem rzucił do szybu swój bagaż. Worek zaczął opadać, jednak powoli, jakby płynął w powietrzu. Winda grawitacyjna. Ujrawszy to, kapitan spokojnie ruszył w ślady worka. Musiałem zmusić się, żeby postąpić tak samo; wciąż nie dowierzałem urządzeniom, których nie używano przez wiele lat.

Opuściliśmy się na dół o dwa poziomy; ta krótka podróż kosztowała mnie wiele strachu i potu. Nie ufając staremu urządzeniu, wciąż obawiałem się, że zacznie spadać i moje ciało roztrzaska się o dno szybu. Jednak nic złego nie wydarzyło się i wkrótce stąpaliśmy po osiedlowym magazynie z zaopatrzeniem. W półmroku ujrzałem maszyny, opatulone brezentowymi narzutami. Zapewne myliłem się więc przypuszczając, że Lugard zostałby pozbawiony środków transportu, gdybym zostawił go samego. Nie zwrócił jednak uwagi na

maszyny, podszedł za to do nisz, w których ustawione były kontenery i skrzynie.

-Jak widzisz, jestem doskonale zaopatrzony - powiedział, kiwając głową w kierunku tego budzącego podziw magazynu.

Rozejrzałem się dookoła. Po lewej stronie zauważyłem polki na bron, jednak w większości były puste. Lugard podszedł do jednej z maszyn i ściągnął z niej brezentowe przykrycie. Moim oczom ukazała się koparka z łopata opuszczona do ziemi. Moja początkowa nadzieja, że jest to bojowa maszyna latająca, natychmiast prysła. Coż, skoro puste były polki, przeznaczone na bron, zapewne w magazynie nie było też żadnych maszyn bojowych.

Lugard odwrócił się od koparki i ujrzałem w jego oczach jakby nowo nabyta energia.

-Nie miej wątpliwości, Vere, to dla mnie doskonale miejsce.

Ruchem głowy nakazał mi przejść do szybu, tym razem jednak popłyneliśmy w górę i znowu znaleźliśmy się w hallu wejściowym. Szedłem z powrotem do drzwi, kiedy jego głos osadził mnie w miejscu.

-Vere...

-Tak? - odwróciłem się. Lugard patrzył na mnie, jakby wahał się, czy ma powiedzieć to, co go nurtuje. Odnosiłem wrażenie, że ciężko zmagają się sam ze sobą, by zwalczyć to wahanie.

-Wpadnij tu do mnie, jak będziesz miał okazję.

Na podstawie tonu jego głosu nie mogłbym określić tych słów jako serdeczne zaproszenie, a jednak, znając Lugarda, wiedziałem, że jest szczerze i prawdziwie.

-Gdy tylko będę mógł - obiecałem.

Stałem przy drzwiach, obserwując jak powoli zbliżam się do helikoptera. Wystartowawszy, celowo zatoczyłem koło nad bramą i pomachałem mu na pożegnanie. Odpowiedział mi równie serdecznym gestem.

Obrałem kurs na Kynvet, pozostawiając ostatniego z żołnierzy Beltane samego w jego pustelni. Nie cieszyła mnie myśl, że zostawiłem go samego, otoczonego przez duchy tych,

którzy tam kiedyś mieszkali i nigdy już nie powrócą. Ale przecież taki był właśnie wybór Lugarda, wybór, którego nikt już nie był w stanie zmienić; wiedziałem to dobrze, bo przecież dobrze wiedziałem, kim jest i jaki jest Griss Lugard.

Kiedy ładowałem w Kynvet, ujrzałem światło w otwartych drzwiach domu.

-Vere? - dotarł do mnie głos Gythy natychmiast, kiedy wyłączyłem silnik. - Annet chce,

zebys sie pospieszyl. Mamy towarzystwo.

Towarzystwo? Rzeczywiscie, teraz zauwazylem kolejny helikopter z symbolem Yetholme na ogonie i zaraz potem maszynie Haychaxa; odnioslem wrazenie, ze dzisiejszego wieczoru goscimy pol Komitetu. Ale dlaczego? Przyspieszylem kroku i w mgnieniu oka zapomnialem o Butte Hold i jego nowym dowodcy.

Rozdzial drugi

Tej nocy pod dachem Ahrena nie zgromadzil sie pelen Komitet, jednak z za zamknietych drzwi docieraly przytlumione glosy mezczyzn, ktorzy zawsze mieli w nim najwiecej do powiedzenia. Spodziewalem sie, ze bede musial tlumaczyc sie, dlaczego uzylem helikoptera, jednak nikt nie zwrocil nawet uwagi na moje ladowanie. Annet, zajeta dotad zmywaniem naczyzn, podazyla za mna do gabinetu ojca i poinformowala mnie o przyczynie tego niecodziennego zgromadzenia. Statek, ktory przywiozl na planete Lugarda i innych weteranow wojennych mial, jak sie okazalo, druga, dodatkowa misje. Kiedy zblizal sie do Beltane, z jego kapitanem skontaktowal sie dowodca statku, krazacego po orbicie wokol planety, z ktorego istnienia nie zdawalismy sobie dotychczas sprawy. Do Komitetu zostala wystosowana blagalna prosba.

Bylo tak, jak to przewidzial Lugard, chociaz jego wizja byla jeszcze bardziej ponura. Istnialy statki bez portow macierzystych, ich wlasne swiaty byly zniszczone lub skazone radioaktywnie do tego stopnia, ze o zadnym zyciu na ich powierzchniach nie moglo byc mowy. Statek z uciekinierami z takiego wlasnie swiata krazyl po naszej orbicie blagajac o prawo do ladowania i miejsce do osiedlenia sie dla stloczonych na jego pokladzie ludzi.

Beltane byla dotad "zamkniety" swiatem, a jej jedyny port otwarty byl tylko dla uprzywilejowanych statkow. Powody zamkniecia zniknely jednak wraz z koncem wojny. Nasze osiedla zajmowaly tak malo miejsca na powierzchni planety, ze bylismy dotad zaledwie pionierami na planecie, mimo ze w swoim czasie wokol portu powstalo naprawde sporo wiosek. Poza tym pusty byl caly wschodni kontynent; wciaz czekal na swoich kolonizatorow.

Czy jednak stare, wojenne ograniczenia wezma gore i Komitet nie wpusci statku? A jesli stanie sie inaczej, czy nie okaze sie to zbyt wyrazna zacheta do ladowania dla innych rozbitkow wojennych? Pomyslalem o przepowiedni Lugarda, ze wilki zaczną krazyc po międzyplanetarnych szlakach, a te swiaty, ktore okaza sie bezbronne, zostana ograbione, a moze nawet stana sie ofiarami okupacji. Czy mezczyzni, teraz naradzajacy sie z Ahrenem, brali i to pod uwage? Przekonany bylem, ze nie.

Zabralem talerz z chlebem do maczania i zanoslem go do dlugiego stolu. Serworobotow juz dawno na planecie nie mielismy, kilka ostatnich pozostalo w laboratoriach. Cofnelismy sie w czasie i znow uzywalismy rak, nog i sily naszych grzbietow do pracy. Annet byla dobra kucharka - z przyjemnoscia jadlem to, co gotowala w swoich garnkach i na

patelniach, w przeciwieństwie do jedzenia w porcie, wciąż preparowanego przez roboty. Zapach przygotowanego przez nią jedzenia przypomni mi, że od południa, kiedy jadłem ostatni posiłek w porcie, minęło już wiele godzin i jestem bardzo głodny.

Kiedy powróciłem po tace z miseczkami, pełnymi aromatycznych sosów, Annet wypatrywała przez okno.

-Skąd masz helikopter? - zapytała.

-Zabrałem z portu. Wiozłem pasażera na peryferie.

Popatrzyła na mnie, zaskoczona.

-Na peryferie? Kogo?...

-Grissa Lugarda. Chciał dostać się do Butte Hold. Właśnie wylądował na planecie.

-Grissa Lugarda? Kto to taki?

-Służył razem z moim ojcem. Poza tym zawiadywał Butte Hold przed wojną.

Przed wojną... Termin ten był dla niej jeszcze bardziej odległy niż dla mnie. Chyba była jeszcze w złości, kiedy dotarły do nas pierwsze wiadomości o konflikcie. Wątpię, czy pamięta jakiegokolwiek wydarzenia sprzed wojny.

-Dlaczego powrócił? Jest... był żołnierzem, prawda? Żołnierze, ludzie, którzy uczynili z walki swoją profesją, byli obecnie na Beltane postaciami tak legendarnymi, jak fantastyczne stwory z opowieści dla dzieci, zapisanych na tasmach.

-Urodził się tutaj. Otrzymał osadę...

-A więc znów będa tutaj żołnierze? Przecież wojna skończyła się. Ojciec... Komitet... przecież wszyscy przeciwko temu zaprotestują. Znasz Pierwsze Prawo...

Znałem Pierwsze Prawo, jakże by inaczej. Wystarczająco często wbijano mi je do głowy: "Wojna to marnotrawstwo; nie istnieją konflikty, których nie można by rozwiązać dzięki cierpliwości, inteligencji i dobrej woli, wyrażonych przez oponentów szczerze i otwarcie".

-Nie, przyjechał sam. Nie ma już swojego oddziału. Był ciężko ranny.

-Zapewne też ciężko nienormalny - Annet zaczęła nalewać chochła gulasz do czekających waz - skoro planuje zamieszkać na takim pustkowiu.

-Kto chce mieszkać na pustkowiu? - do kuchni wpadła Gytha, trzymając w opalonych rękach kilka chochli.

-Człowiek o nazwisku Griss Lugard.

-Griss Lugard... Och, wicekomendant Lugard! - Zaskoczyła mnie, jak to się jej często zdarzało, ale nie tylko mnie.

Widząc moje zdziwienie i Annette, skrzywiła usta w wesołym uśmiechu. Odgarnęła z policzka kosmyk włosów. - Co się dziwicie, umiem przecież czytać, prawda? Czytam nie tylko taśmy z powieściami. Dużo czytam o historii Beltane. Ze starych taśm informacyjnych można wiele ciekawego się dowiedzieć. Na przykład o tym, jak wicekomendant Griss Lugard przyniósł pewnego dnia z grot z krainy lawy jakieś przedmioty; ze okazało się, iż znalazł przedmioty, należące do Prekursora. Potem Centrum Dowodzenia miało wysłać kogoś na miejsce dla zbadania sprawy, jednak wybuchła wojna i przestaliśmy się tym interesować. Przejrzałam wiele taśm, by przekonać się, czy rzeczywiście zaniechano dalszych poszukiwań. Załóż się, że Lugard powrócił teraz, żeby znaleźć skarby - skarby Prekursora. Vere, może skoczmy do Butte Hold i pomożemy mu ich szukać?

-Rzeczy Prekursora? - skoro Gytha powiedziała, że o czymś czytała, nie sposób było kwestionować jej słów; nigdy nie kłamała. Ale przecież nigdy nie słyszałem, by po Prekursorze coś na Beltane pozostało.

Kiedy nasz rodzaj pierwszy raz wydostał się z własnego systemu słonecznego, szybko zorientowaliśmy się, że nie jesteśmy sami w świecie bezkresnej przestrzeni. Równie szybko spotkaliśmy mieszkańców, pochodzących z innych planet, już od dawna swobodnie poruszających się na trasach pomiędzy systemami. Wyprzedzali nas o całe stulecia, jednak nie oni przecież byli pierwszymi, musieli kiedyś napotkać tych, którzy ich uprzedzili w zmaganiach z przestrzenią. Okazało się, że niezliczone generacje przeminęły od czasu, kiedy z planet oderwały się pierwsze przestrzenne statki Prekursora.

Handlowano pozostałościami po Prekursorze, głównie na planetach wewnętrznych systemów, gdzie poziom życia był najwyższy i różne VIP-y lubiły wydawać pieniądze na ciekawostki. Zakupów dokonywały często także muzea, jednak prywatni kolekcjonerzy zawsze gotowi byli płacić za znaleziska większe pieniądze. Jeżeli wszystko, co mówiła Gytha, było zgodne z prawdą, bez trudu byłam w stanie zrozumieć powód powrotu Lugarda do Butte. Otrzymawszy tę osadę, miał teraz legalne prawo do wszystkiego, co na niej znajdzie. Jednak, czy handel luksusowymi i drogimi pamiątkami będzie możliwy? Nie, bowiem jeżeli sprawdziłyby się jego pesymistyczne wizje, mogłoby pozostać nieskończona ilość znalezisk po Prekursorze i nie odnieść z tego tytułu żadnych korzyści.

Mysł o skarbach, jak to zawsze bywa w takim wypadku, ożywiła mnie i nic w tym dziwnego, że zareagowałem jak Gytha: pragnieniem udania się na ich poszukiwanie.

Grot w krainie lawy stanowiły miejsce, do którego nikt rozsądny nie zapuszczał się, chyba że dysponował odpowiednio szeroką wiedzą o tym terytorium i odpowiednim wyposażeniem. Groty te nie powstały tak jak wszystkie inne, wskutek działania wody;

początek dal im ogień. Ich długie korytarze ciągną się pod ziemią całymi milami. W krajobrazie ponad nimi widoczne są liczne dziury, tam, gdzie ich naturalne sufity zapadają się. Teren jest popekany, pełen kraterów i innych pulapek, które dla przypadkowego wędrowca czynią go właściwie niedostępnym.

-Pojedziemy tam, Vere? Może to wyprawa w sam raz dla Wędrowców? - Gytha zapaliła się do swojego pomysłu.

-Oczywiście, że nie! - Annet odwróciła się od kuchenki, z ochłapem w ręce. - To niebezpieczna kraina, dobrze o tym wiesz, Gytha!

-Przecież nie pojedzie tam sama - odparła Gytha, której zapal zżawał się z każdą chwilą wzmagac. - Przecież pojedzie razem z Vere, a może i z toba. Bedziemy trzymać się przepisów, nie zabłądzimy. Poza tym nigdy nie widziałam groty w krainie lawy...

-Annet! - zawołał Ahren z pokoju. - Spieszmy się, coreczko!

-Tak, już ide. - Powróciła do napełniania waz. - Zabierz łyżki, Gytha. A ty, Vere, bądź tak dobry i porozstawiaj podstawki.

Jej matka nie wróciła jeszcze do domu. Nie było w tym niczego niezwykłego, gdyż eksperymentów w laboratorium nie można było uzależnić od posiłków. Annet z ciężkim westchnieniem odłożyła dla niej jedną porcję. To z jej powodu zazwyczaj jadalismy takie rzeczy, które można było łatwo dwukrotnie, a nawet trzykrotnie odgrzewać.

Goście i ich gospodarz siedzieli już u szczytu stołu, a my skorzystalismy z zaproszenia, by usiąść na przeciwnym końcu, i w żadnym wypadku nie przeszkadzać. Nie będąc członkiem Komitetu, zwykle nudziłem się, słuchając ich dyskusji. Dzisiaj jednak mogło być inaczej.

A nawet jeśli spodziewałem się usłyszeć coś więcej o statku z uciekinierami, mocno się rozczarowałem. Corson jadł mechanicznie, nawet nie zauważając, co ma na talerzu, jakby duchem był kompletnie nieobecny. Milczał również Ahren. Tylko Alik Alsay powiedział Annet komplementy, dotyczące jedzenia, w końcu zwrócił się do mnie: - Collis, twój raport o północnym zboczu był doskonały. Gdyby powiedział to Corson, byłbym zadowolony. Wiedziałem, że Alsay zupełnie nie interesuje się moim raportem i pochwalił mnie tylko po to, by podtrzymać przy posiłku gasnącą rozmowę. Wymruczałem podziękowania i na tym pewnie wszelka konwersacja przy stole by się zakończyła, gdyby Gytha nie postanowiła przyspieszyć biegu wydarzeń. Znałem ją dobrze i wiedziałem, że gdy się na coś uprze, prędzej czy później znajdzie sposób, by zrealizować swoje zamiary.

-Vere był dzisiaj w krainie lawy - powiedziała. - Czy ty też tam kiedyś byłeś, Pierwszy Techniku, Alsayu?

-W krainie lawy... - urwał, a jego dłoń z filiżanką zamarała w bezruchu w połowie drogi do ust. - Ale po co? Przecież nie istnieje nawet mapa tamtych terenów. To są po prostu

bezkresne nieuzytki. Co cie tam przywiodlo, Collis?

-Zawiozlem tam kogos, kapitana Lugarda. Jest teraz w Butte Hold.

-Lugarda? - Ahren jakby zbudzil sie z glebokiego snu. - Grissa Lugarda? Co on robi na Beltane?

-Nie wiem. Mowi, ze otrzymal Butte Hold...

-Jeszcze jeden garnizon! - Ahren odstawil filizanke na stol tak gwaltownie, ze rozlal goraca kawe. - Nie, nie zgadzam sie, zeby podobny nonsens mial miejsce ponownie na tej planecie. Wojna skonczyla sie! Nie ma potrzeby, zeby znow tu trzymac jakiegokolwiek sily Bezpieczenstwa. - Sposob, w jaki wypowiedzial slowo "bezpieczenstwa", sprawil, ze zabrzmialo ono jak przeklenstwo. - Nie ma tu przeciez zadnego niebezpieczenstwa i nie zyczymy sobie, zeby znow ktos nas tutaj szpiegowal. Im wczesniej to zrozumieja, tym lepiej. - Popatrzył na Alsaya i Corsona. - Ta informacja rzuca chyba nowe swiatlo na cala sprawe.

Jaka sprawe mial na mysli, tego nie wyjasnil, zazadal natomiast, zebym w calosci zrelacjonowal moje dzisiejsze spotkanie z Lugardem. Kiedy to uczynilem, znow odezwal sie Alsay:

-A wiec Lugard otrzymal osiedle jako wyplate.

-A moze to tylko trick, ktory zastosowal wobec chlopca? - Ahren byl zdenerwowany. - Jego papiery portowe powinny cos nam powiedziec. Poza tym - ponownie skierowal uwage na mnie - moglbys troche go poobserwowac, Vere. Skoro przyjal twoja pomoc jeden raz, moglby nie protestowac, gdybys pojawil sie w Butte Hold ponownie...

Nie spodobalo mi sie to, co zasugerowal, jednak nie moglem powiedziec tego glosno, w obecności jego gosci, pod dachem jego domu, domu, ktory pozwolil mi traktowac jak swoj. W powrocie Lugarda bylo cos, co go w najwyzszym stopniu wzburzylo; w przeciwnym razie nie posuwalby sie do propozycji, bym szpiegowal czlowieka, ktory byl przyjacielem mojego ojca.

-Ojciec - znow wtracila sie Gytha, zmierzajac do zrealizowania swych wlasnych zamiarow - czy Vere moglby tam zabrac nas ze soba? Wedrowcy nigdy nie byli w krainie lawy.

Spodziewalem sie, ze Ahren wybije jej ten pomysl z glowy jednym groznym spojrzeniem. Nie uczynil tego jednak, nie udzielil jej zadnej odpowiedzi. Przedluzajaca sie cisze przerwal Alsay.

-Ach, Wedrowcy. Jaka byla ich ostatnia przygoda, moja droga? - Byl jednym z tych doroslych, ktorzy nigdy nie rozmawiali swobodnie z dziecmi, wiec jego glos zabrzmial jak uklucie sztyletem.

Gytha potrafiła być miła, kiedy tego chciała. Tym razem usmiechnęła się słodko do najstarszego z Yetholmów.

— Byliśmy w wozie, który nazwaliśmy przelykiem jaszczurki, i nagraliśmy nasze własne okrzyki. - Nagrania posłużyły do eksperymentu komunikacyjnego doktora Draxa.

Mogłem tylko podziwiać jej spryt. Przypomnienie w tym momencie o roli, odgrywanej przez Wedrowców w przeszłości, z pewnością mogło tylko pomóc realizacji jej aktualnych zamiarów.

-Tak - przyznał Ahren. - To rzeczywiście była dobra robota, Alsay. Wykazali wtedy niezwykłą cierpliwość i dociekliwość. Teraz więc chcielibyście zobaczyć kraine lawy...

Byłem całkowicie zaskoczony. Czy on naprawdę się zgodzi? Zobaczyłem, jak Annet sztywnieje po drugiej stronie stołu. Jej usta poruszały się bezgłośnie, jakby chciała protestować, ale nie była w stanie wypowiedzieć słowa. Alsay odezwał się jednak ponownie, tym razem do mnie.

-To jest naprawdę pożyteczna organizacja, Collis. Wiele dodajecie od siebie do tasm, z których uczycie się. Szkoda, że do tej pory nie mieliście okazji, by podróżować po przestrzeni. Jednak teraz, gdy skończyła się wojna, może i na to przyjdzie czas.

Watpiałem, czy mówi poważnie. Wedrowcy byli pomysłem bardziej Gythy niż moim. W swoim czasie zapaliła mnie do niego tak bardzo, że nie potrafiłbym go teraz porzucić, nawet gdybym bardzo chciał.

Kiedy osadnicy przybyli na Beltane, chcieli wychować swoje dzieci na kaste bezustannie dociekliwych naukowców. Eksperyment w dziedzinie takiego wychowania był w zasadzie częścią planu, który przywiódł nas na tę planetę. Jednak wojna przerwała ten eksperyment, jak i wiele innych. Każdy z nas z konieczności stawał się specjalistą w jednej wąskiej dziedzinie. Przeciwdziałanie temu procesowi stało się obecnie jednym z najważniejszych zadań nauczycieli. Niestety, najlepsi z nich zginęli na wojnie lub zostali wcieleni do różnych służb. Ci, którzy pozostali, byli starzy i konserwatywni. Poza tym na Beltane było niewiele dzieci. W samym Kynvet było nas zaledwie osmioro, poczynając od siedmioletnich bliźniaczek, Dagny i Dinan Norkot, kończąc na Thadzie Maky'm, który miał już czternaste lat i uważał się, wzbudzając naszą irytację, za prawie dorosłego.

Gytha wcześniej przejęła przywództwo nad tym towarzystwem. Miała bujną wyobraźnię i nadzwyczajną pamięć. Czytała każdą dostępną jej taśmę i chociaż nie pozwalano jej czytać taśm z laboratoriów, to, co przeczytała i zapamiętała, dało jej szeroką wiedzę. Dla młodszych dzieci była wprost niewyczerpanym źródłem mądrości. Zanim, zadali jakiegokolwiek pytanie dorosłym, zwracali się z problemami właśnie do niej, gdyż odpowiedzi i rady, jakie udzielała, były łatwiejsze do zrozumienia i, trzeba to przyznać, częstokroć trafniejsze.

Zorganizowawszy sobie grupe wpatrzonych w nia jak w obrazek wielbicieli, Gytha zaczela pracowac nade mna. I wkrótce okazalo sie, ze czesto wiecej czasu pochlania mi prowadzenie ekspedycji Wedrowcow niz moje studia. Początkowo nie chcialem przyjac tych obowiazkow, jednak Gytha w grupie trzymala tak zelazna dyscypline, ze przewodzenie wyprawom stalo sie przyjemnoscia. Poza tym, zaczalem byc dumny z tego, ze jestem wlasciwie nauczycielem dla grupki dzieciakow, ktore pragna nauczyc sie czegos wiecej niz inne.

Annet tak naprawde nigdy nie przylaczyła sie do nas. Zawsze bala sie o siostre i wszelkie mysli o tym, ze dobrowolnie naraza sie ona na niebezpieczenstwo, wywoływaly u niej ataki placzu. Byla troche spokojniejsza, kiedy ja prowadzilem wyprawy Wedrowcow, poniewaz nie miala watpliwosci, iz nigdy dobrowolnie nie wplacze takiej ekspedycji w niepotrzebne klopoty. Od czasu do czasu przylaczala sie do nas, jednak jej rola podczas wypraw ograniczala sie do maszerowania na koncu grupy i bezustannego powtarzania licznych ostrzezen. Nigdy natomiast, musze jej to przyznac, nie skarzyła sie, ze jest jej zbyt ciezko.

Jednak jesli chodzi o wyprawe Wedrowcow do krainy lawy - nie, uznalem, ze popre Annet i nigdy nie zgodze sie, by taka wyprawe podjeli Wedrowcy. Tymczasem Ahren pochyłil sie ku mlodszej corce i rzucil pytanie:

-Masz jakis projekt na mysli? - Przynajmniej potrafil rozmawiac z mlodszym pokoleniem. Pytanie zadal takim tonem, jakby rozmawial z jednym sposrod swoich kolegow.

-Jeszcze nie. - Gytha zawsze byla szczera. Nigdy nie starala sie ukrywac badz przekrecac faktow. - Tyle tylko, ze bylismy na bagnach i na wzgorzach juz kilka razy, a nigdy w krainie lawy. A powinniśmy rozszerzacz swe horyzonty... - Wiedzialem, jakie slowa padna za chwile. - Chcielibysmy wiec zobaczyc takze Butte Hold.

Odnutowalem w myslach, ze nie wspomina ani slowem o skarbach Prekursora.

-Rozszerzacz horyzonty, powiadasz? Co ty na to, Vere? Zdaje sie, ze podrozowales tam dzisiaj helikopterem. Co sadzisz o tym terenie?

Trafil w dziesiatke. Nie moglem wykrecic sie od odpowiedzi, chociaz bardzo tego w tej chwili pragnalem. Wystarczyloby, ze sprawdzilby zapis lotu maszyny, zeby poznac trase mojej dzisiejszej wedrowki. Zreszta, z tonu jego glosu wyczulem, ze wlasciwie podjal juz decyzje. Chcial, zeby Wedrowcy udali sie do krainy lawy, a przynajmniej do Butte Hold. Nie mialem watpliwosci, dlaczego: chodzilo mu o Lugarda.

Z pewnoscia uznal, ze dzieci sa wystarczajaco spostrzegawcze, by po powrocie zlozyc mu dokladny raport.

-Krazylem tylko wokol Butte. Nie zapuszczalem sie dalej bez mapy.

-Gytha - Ahren popatrzył na corke - czy podroz do Butte Hold wystarczajaco rozszerzy

wasze horyzonty?

-Tak! Kiedy? Jutro? - te trzy słowa wypowiedziała w jednej sekundzie.

-Jutro? Coz, tak, myśle, że jutrzejszy termin jest całkiem odpowiedni. Annet - odezwał się do starszej córki - jutro odprowadzimy naszą ekipę do portu. Twoja matka będzie nam towarzyszyć. Przy okazji, sadzę, że Norkotowie i Wymarkowie udadzą się tam razem z nami, na ogólne zgromadzenie. Zrobimy więc sobie wypad na cały dzień. Zabierz jedzenie, które będziesz mogła przygotować w plenerze.

Znow byłem pewien, że Annet zaprotestuje. Ale wobec stanowczego tonu ojca nie osmieliła się powiedzieć ani słowa. Gytha za to westchnęła z nie skrywana radością. Przypuszczałem, że w myśli tworzy już listę ekwipunku, który będzie niezbędny do poszukiwania skarbow Prekursora.

-Pozdrow ode mnie kapitana - odezwał się do mnie Ahren. - Powiedz mu, że z radością spotkamy się z nim w porcie. Być może jego doświadczenie przysłużyłoby się nam w jakiś sposób.

Watpiałem w to. Swoją opinię o żołnierzach i wojsku Ahren wyrażał już tyle razy, szczególnie w ostatnim okresie, że nie wyobrazałem sobie go przysłuchującego się pouczeniom Grissa Lugarda bez niechęci i zniecierpliwienia.

Ahren tak bardzo chciał, żebyśmy jak najszybciej wyruszyli w drogę, że pozwolił mi na użycie helikoptera zaopatrzeniowego, który został niedawno naprawiony i który zdolny był unieść całą naszą grupkę. Kiedy tylko skończyliśmy kolację, Gytha z prędkością światła wyskoczyła z domu, by uprzedzić całą swą załogę o czekających ich jutro przygodach.

Pomogłem Annet posprzątać ze stołu i ujrzałem jak marszczy czoło, stojąc przed zmywarką do naczyń na promienie podczerwone - jednym z nielicznych urządzeń domowych, jakie jeszcze dobrze funkcjonowały.

-Griss Lugard bardzo interesuje ojca - powiedziała niespodziewanie. - Nie ufa mu.

-Wystarczyłoby, żeby sam do niego pojechał i zadał mu kilka pytań. - Nie byłem zadowolony ze sposobu, w jaki Ahren chce nas wykorzystać. - Lugard z całą pewnością nie planuje zawładnięcia planetą. Zapewne chce jedynie, by zostawić go w spokoju. Nie sadzę, aby nasza jutrzejsza wizyta ucieszyła go.

-Czy dlatego, że ma coś do ukrycia?

-Nie. Dlatego, że pragnie ciszy i spokoju.

-Żołnierz?

- Nawet żołnierze mogą być zmęczeni po wojnie. - Nie pierwszy raz musiałem oponować, najdelikatniej jak potrafiłem, przeciwko jej uprzedzeniom. Wynikały z nauk, jakie pobierała przez całe życie. Moja sytuacja, bardziej gościa, niż członka rodziny, zmuszały mnie do ostrożności w mowie i zachowaniu już od najmłodszych lat. Wpojono mi tę konieczność, gdy miałem dziesięć lat i gdy pewnego dnia spróbowałem bronić swych poglądów przy pomocy pięści.

- Być może. - Nie była przekonana. - Czy naprawdę uważasz, że w tej historii ze skarbem Prekursora jest ziarno prawdy? Brzmi to nieprawdopodobnie. Przecież nigdy nie znaleźliśmy po nim na planecie żadnych, nawet najmniejszych śladów.

- Może nie szukaliśmy ich zbyt uważnie? - powiedziałem, nie dlatego, że wierzyłem w skarby, ale ze zwykłej uczciwości. Prawda było, że badaliśmy z powietrza większość zachodniego kontynentu, że sprawdzaliśmy raporty wszystkich grup badawczych, jednak nigdy nie prowadzono żadnych akcji pod kątem poszukiwania śladów po Prekursorze.

Cały kontynent był niezwykle szeroki i pusty. Być może, gdybyśmy pozwolili uciekinierom, znajdującym się teraz na statku krążącym po naszej orbicie, osiedlić się na Beltane, znaleźliby dla siebie dobre miejsce na północy, na południu, a może dalej na zachodzie i mogliby spokojnie żyć, bez konieczności zmieniania oblicza planety.

Zaczeliśmy przygotowywać się do wczesnego startu nad ranem, a jednak i tak wyruszyliśmy po wszystkich, którzy polecieli do portu. Zakładałem, że odbędzie się tam nie tylko zebranie Komitetu w pełnym składzie, ale że zgromadzi się tak dużo ludzi, jak tylko Komitet zdoła poinformować o spotkaniu, a głównym jego tematem będzie prośba statku, krążącego po orbicie. Dla dzieci jednak ta sprawa miała drugorzędne znaczenie. Gytha jeszcze wieczorem zdołała zawiadomić wszystkich zainteresowanych o wyprawie do krainy lawy i wczesnym rankiem podniecenie przed podróżą sięgało zenitu.

W końcu usiadłem w fotelu pilota i gdy przekonałem się, że wszyscy moi pasażerowie zajęli już miejsca, odwróciłem się i wyjaśniłem im, że naszym celem jest Butte Hold, a nie dzika kraina, leżąca za osadą; do tej krainy nie zamierzamy w ogóle się zapuszczać. Poinformowałem ich też, że nie wolno zbliżać się do Lugarda, ani wkraczać na teren osiedla, jeżeli on nie wyrazi na to zgody, na co zresztą w skrytości liczyłem. Jeżeli okaże się mądry, po wylądowaniu helikoptera nie zareaguje i obejrzymy sobie jedynie mury osiedla.

Na osobności Gytha usłyszała ode mnie, że jeśli Lugard okaże się gościnnym gospodarzem i nas przyjmie, nie będzie jej wolno ani słowem wspominać o Prekursorze, o skarbach i o niczym innym tego rodzaju.

Zareagowała oburzeniem. Czy sądzę, że ona nie potrafi się zachować? Czy uważam ją za tak samo ograniczoną jak Annet? Bo jeśli tak, to ona nie chce mnie znać. Z trudem opanowałem jej wybuch i byłem niemal szczęśliwy, kiedy wreszcie uspokoiła się.

Lot z Kynvet był krotszy niz z portu. W dawnych czasach Kynvet bylo najblizsza osada na drodze laczonej Butte z innymi skupiskami ludzi. Po podrozy, ktora trwala krocej niz godzinie, dotknelismy ziemi starego ladowiska, wzbudzajac tradycyjnie tumany piasku. Spodziewalem sie ujrzec zamknieta brame osiedla, jednak wrota staly otworem, a w blasku porannego slonca zobaczylem sylwetke Lugarda. Stal poza murami, jakby spodziewal sie nas i zapraszal do siebie.

Posluszni rozkazom Wedrowcy zostali w helikopterze, podczas gdy ja wyskoczylem, zeby wyjasnic powody naszej obecności. Nie minela jednak sekunda i uslyszalem za soba podniecone szepty. Weteran nie byl sam. Dzieci znajdujace sie w helikopterze zauwazyly, ze na ramieniu kapitana siedzi sokol, tak spokojnie i tak ufnie, jakby znal go od chwili, kiedy wykluł sie z jaja. U jego stop odpoczywal skalny koziol. W rece Lugard trzymal dlugi, prosty, ciemny kij. Nie powiedzial ani slowa na powitanie, uniosl za to kij do ust. I nagle zaczal grac. Czyste, jasne dzwieki fujarki uniosly sie w powietrzu. Sokol wydal poranny swist, a koziol zakolysal sie na czterech lapach, jakby muzyka wprawila go w dziwny trans.

Nie wiem jak dlugo trwalismy w bezruchu sluchajac muzyki, jakiej nikt z nas nigdy dotad nie slyszal, muzyki fascynujacej, wszechogarniajacej. Nagle Lugard odsunal fujarke od ust. Usmiechal sie.

-Magia - powiedzial lagodnie. - Druwinska magia. Niespodziewanie sokol rozwinal skrzydla i pomknal ku niebu, a koziol jakby w tej chwili dopiero nas zobaczyl, zadrzal i pobiegl w kierunku swojej kryjowki wsrod skal.

-Witam - Lugard wciaz usmiechal sie -jestem Griss, a wy?...

Dzieci, jakby uwolnione spod dzialania jakiegos zaklecia, wyskoczyly z helikoptera i pobiegly ku weteranowi, kazde z nich z jego imieniem na ustach, jakby chcialo dowiesc, ze rozpoznaje tego mistrza muzycznej magii. Powital je wszystkie wesolo, po czym zaproponowal zwiedzanie Butte. Gdy przeszly przez otwarta brame, w hallu wejsciowym powitaly je po obu stronach szeroko pootwierane drzwi. Szybko jednak okazalo sie, ze nasz gospodarz pamietä o powaznych sprawach. Gdy wszystkie dzieci zniknely juz wewnatrz Butte, w pewnej chwili popatrzył na mnie, potem na Annet i jeszcze raz na mnie, po czym rzucil pytanie:

-Statek z uciekinierami - powiedzial stanowczo. - Mow, co zdecydowali w zwiäzku z tym statkiem?

-Nie wiemy. W porcie jest dzisiaj spotkanie.

-Pozycz mi swój helikopter. - Bylo to raczej zadanie niz prosba. - Chyba nie beda tacy glupi, zeby pozwolic im na ladowanie...

Nie smialem o nic go pytac, stalo sie dla mnie bowiem jasne, ze Lugard zna jakas zlowieszcza tajemnice.

Po chwili był już w kabinie. Helikopter odrywał się właśnie od ziemi, kiedy z Butte wybiegła Annet, krzykząc:

-Vere! On startuje z całym naszymi zapasami! Kiedy wróci? Zatrzymaj go!

Ponieważ było to już niemożliwe, złapałem ją za rękę i przyciągnąłem do siebie, aby osłonić przed miniaturą burzą piaskową, wzniesioną przez maszyny przy starcie. Szybko wbiegaliśmy przez wrota do Butte. Wtedy Annet zapytała mnie, dlaczego pozwoliłem mu odlecieć. Prawde mówiąc, nie miałem żadnej rozsądnej odpowiedzi na to pytanie. Zdolałem ją jednak przekonać, że zapasy, które w Butte ma Lugard, wystarczą nam, a z pewnością nie obrazi się, jeżeli użyjemy ich w tych okolicznościach. Poza tym spieszyłem się, by zobaczyć, co robią Wedrowcy, którzy znaleźli się we wnętrzu osady.

Rozdział trzeci

-To nie jest prawdziwa magia - usłyszeliśmy głos Gythy, dobiegający z jednego z pomieszczeń. - Czy ty naprawdę nigdy nie czytasz tasm. Prima? Wibracje, dźwięki, oddziałują na zwierzęta i ptaki. Nie wiem, co znaczy słowo "drufinska"; pochodzi pewnie z przestrzeni. Ale dźwięk, który wydaje ta fujarka... jest realny, przecież go słyszeliśmy. Chociaż z całą pewnością nikt na Beltane nie byłby w stanie wykonać takiego instrumentu. Czasami kolatało się w mojej głowie pytanie: co właściwie jest realne, a co nierealne. Przecież to, co było realne dla jednego ludu lub gatunku, mogło być nierealne dla innego. Biblioteki na Beltane odmawiały wydawania materiałów, dotyczących innych światów; chyba że chodziło o prace badawcze. Słyszałem już jednak w życiu mnóstwo opowieści z ust ludzi, którzy podróżowali w przestrzeni i z pewnością nie wszystkie dziwy, o których opowiadali, opisywali jedynie po to, aby wstrząsnąć naiwnym słuchaczem. Nikt mi nie opowiadał jeszcze o drufinskiej magii, a jednak bez wątpliwości wyjaśnienie Gythy było prawidłowe.

-Z taką fujarką - odezwał się Thad - można by codziennie wybierać się na polowanie i nigdy nie wracałoby się z pustymi rękami.

-Nie! - Gytha równie stanowczo zareagowała na te słowa, jak na spekulacje o nienaturalnym pochodzeniu dźwięku z piszczałki. - To jest pułapka i...

Wszedłem do pomieszczenia. Gytha, z zaczerwienionymi policzkami, stała naprzeciw Thada. Całe jej drobne ciało wyrażało najwyższe oburzenie. Za jej plecami stały młodsze dzieci, jakby chcąc czynnie ją poprzeć. A Thad miał tylko Iforsa Juhlana po swojej stronie. Podobne sprzeczki zdarzały się już wcześniej, więc musiałem spodziewać się ich i podczas tej wyprawy. Zapewne któregoś dnia, po kolejnym konflikcie z Gythą, Thad opuści szeregi Wedrowców. Był bardzo gwałtowny i rwał się do energiczniejszych działań, niż były w naszym zwyczaju.

-Drugie Prawo, Thad - odezwałem się teraz, chociaż słowa te postawiły mnie od razu po

drugiej stronie barykady, wśród dorosłych. Jednak upomnienie poskutkowało i zadziorność, przynajmniej na jakiś czas, opuściła Thada.

Drugie Prawo: "Cenimy własne życie i dobrobyt, cenimy więc także wszelkie niższe formy życia. Nigdy nie będziemy zabijać bezmyślnie, dla spełnienia antycznego przekleństwa naszego gatunku, którym jest okrucieństwo i przemoc".

Na Beltane nie trzeba było polować, chyba że na potrzeby laboratoriów. A nawet w laboratoriach starano się nie czynić zwierzętom krzywdy i gdy to tylko było możliwe, wypuszczano je, po przeprowadzeniu doświadczeń, z powrotem do Rezerwatów. U niektórych wywoływano sztuczne zmiany genetyczne, dzięki czemu na wolności rodziły się zwierzęta bardziej inteligentne, a niektóre wykorzystano nawet na wojnie. Słynne "oddziały bestii", umiejętnie dowodzone przez ludzi, wywoływały śmiertelny strach naszych wrogów. Podczas przyszłej pracy w Rezerwacie zamierzałem właśnie badać możliwości wzmoczenia ludzkiej kontroli nad nimi. Musiałem jednak najpierw przekonać naszych przywódców, że kontrola ta będzie dla ludzi użyteczna, mimo iż wojna zakończyła się i nigdy już zwierząt nie będziemy wykorzystywali do walki.

Kilkakrotnie chodziłem już na polowania z ogluszaczem i pokazałem nawet taśmy z tych polowań Wedrowcom. Być może był to błąd. Coż, w końcu byliśmy światem, w którym zlikwidowano przemoc, a wszelkie nasze osiągnięcia były wynikiem wysiłku mózgow raczej, niż siły fizycznej. W ciągu ostatnich kilku lat na Beltane mieliśmy tylko dwa przypadki zabójstwa i grabieży. Ich sprawcy zamknięci zostali w laboratorium psychiatrycznym w porcie i nie mieli prawa więcej pojawić się na wolności. Jednak, być może, w trakcie długotrwałej wojny zaczęły psuć się nie tylko maszyny. Pomyslałem o patowej sytuacji w dziedzinie kształcenia. Ktoś, kto nie szedł do przodu, wcale nie stał w miejscu; po prostu cofał się. Czyżbysmy wszyscy się cofali? Wciąż naszym postępowaniem rządziło prawo, skonstruowane tak, by zapewnić spokój nam i całej planecie. A jednak...

-Vere... - Thad zmienił temat, może dlatego, że nie chciał słuchać oskarżeń Gythy, a może dlatego, że naprawdę zainteresowało go coś nowego. - Co to jest, to wszystko?

Ruchem ręki wskazał na cztery ściany pomieszczenia, w którym się znajdowaliśmy. Czas nie dokonał tu żadnych spustoszeń. Zaczynałem dochodzić do przekonania, że w zamkniętych przez wiele lat pomieszczeniach Butte panowała próżnia. Ściany były tak jaskrawo czyste, jakby dopiero wczoraj je pomalowano. Trzy z nich stanowiły gładkie, płaskie powierzchnie. Czwarta ściana na połowę dzieliły drzwi. Wisiały na nich mapy, każda z nich przedstawiała jedną czwartą naszego kontynentu: północna, wschodnia, południowa i zachodnia. Wszystkie osiedla oznaczone były żaróweczkami, które jednak nie paliły się. Zauważyłem nawet od dawna opuszczone strażnice Służb, nawet zwykle kilkuosobowe posterunki.

U stop każdej ze ścian znajdowała się tablica rozdzielcza z licznymi dźwigniami i przyciskami, a przed każdą tablicą stało krzesło. Nie wstając z nich, można było na

specjalnych szynach poruszać się wzdłuż ścian. Na środku pokoju ustawiona była kwadratowa platforma, wystająca z podłogi na wysokość około jednego kroku. Na platformie ustawione było pięte krzesło. Ktoś, kto na nim zasiadał, mógł obracać się wokół osi, co chwile patrząc na inną ścianę; odkrył to Dinan Norkot. Nagle ogarnęły mnie wspomnienia z czasów, kiedy byłem w wieku Dinana. Byłem wówczas w tym pokoju i widziałem mojego ojca na tym właśnie centralnym krześle. Nie obracał się na nim szalenczo, jak teraz czynił to właśnie Dinan, ale zmieniał pozycje powoli, przez cały czas obserwując pulsujące żarówki. Niebieskie oznaczały sektory, czerwone - posterunki Służb, a żółte... nie, raczej zielone - Rezerwy.

-To jest punkt dowodzenia - powiedziałem do Thada.

Nie było jakiś punktów dowodzenia, lecz taki, z którego wypływały rozkazy dla całego kontynentu, o wiele ważniejszy niż ten, który był obecnie w porcie. W Butte Hold znajdował się posterunek, najlepiej zabezpieczony ze wszystkich i wszelkie ważne dla planety instalacje obronne zbiegały się właśnie tutaj.

Zastanawiałem się, czy te wszystkie urządzenia wciąż działają. Światelka nie paliły się, jednak mogło to przecież znaczyć, że brakuje energii, a nie, że wszystko jest zepsute. Podeszedłem do mapy północnej części kontynentu. Żarówka, oznaczająca port... Pochyliłem się nad tablicą rozdzielczą i doszedłem do wniosku, że taka pozycja jest niewygodna, usiadłem więc na krześle i porównałem właściwe numery na mapie i na tablicy. Po chwili znalazłem właściwy przycisk i go nacisnąłem.

Odgłosy rozmowy, które rozległy się w pomieszczeniu, dotarły do nas tak niespodziewanie, że Annet krzyknęła z przerażeniem, a wszyscy inni nagle zaczęli wpatrywać się w mapę, która niewątpliwie była źródłem tych głosów. Były one tak wyraźne, jakby ludzie, których rozmowę słyszeliśmy, znajdowali się tutaj, razem z nami, a nie gdzieś daleko.

Podbiegł do mnie Dagny Norkot i stanął przy moim krześle.

-To mój ojciec - powiedział. - Ale on przecież poleciał do portu...

-...ich deklaracje są zadowalające. Zatem...

Głos odrobine przycichł, jakby Norkot oddalił się od mikrofonu, albo uległo osłabieniu wzmocnienie systemu. Tymczasem obok mojego krzesła przystanąła Annet.

-Chyba nie wolno nam słuchać obrad Komitetu - powiedziała.

Było to prawda. Zresztą w tej chwili najważniejsze dla mnie było sprawdzenie, jak funkcjonuje od dawna nie używany system, obrady Komitetu mniej mnie interesowały. Postanowiłem posłuchać, co dzieje się w Yetholme.

Znow usłyszeliśmy cudzą rozmowę, chociaż poszczególne głosy nie były już tak wyraźne, jak te z portu. A jednak bez trudu można było zrozumieć treści słuchanych rozmów, co wystarczyło, by uznać, że stary sprzęt wciąż jest sprawny.

-Wiesz co? - Thad stanął pomiędzy Annet, a moim krzesłem. - Ten Griss Lugard, on przecież może słyszeć wszystko, co dzieje się na całej planecie i wcale nie musi ruszać się z tego miejsca. A może jest w stanie także wszystko widzieć?

Znow coś sobie przypomniałem. Wstałem z miejsca przed mapą pomocnej części kontynentu, podszedłem do krzesła w centrum, na którym przed chwilą krecił się Dinan. Kilkakrotnie moje próby zawiodły, zanim zupełnie przypadkowo nacisnąłem odpowiednią kombinację guzików na oparciu krzesła i pedał, umieszczony pod prawą stopą. Fragment ściany rozsunał się, ukazując ekran.

-Wspaniale! - zawołał Thad z zachwytem. - Co dalej?

Szybko popatrzyłem na mapę; chciałem uniknąć zaglądania do zamieszkałych domów. Uznałem, że najbezpieczniej będzie przyjrzeć się jednemu z opuszczonych posterunków Służb na dalekiej północy.

-Thad, przesun pierwszą dźwignię w pierwszym rzędzie - poleciłem, samemu włączając ekran.

Bez słowa wykonał moje polecenie. Ekran rozjaśnił się bladym światłem i nagle ukazał się na nim obraz. Początkowo był tak niewyraźny, że pomyślałem, iż dociera do niego zbyt mało energii. A jednak, z każdą mijającą sekundą obraz na ekranie stawał się coraz bardziej ostry; po chwili oglądaliśmy jakieś zamknięte pomieszczenie. Tam także znajdowały się tablice rozdzielcze i kilka krzesel. Jedna ze ścian była jednak pęknięta!...

-Popatrz... pryszczorog!

Na moment zaniemowilem. Skulony na krzesle, rzeczywiście siedział pryszczorog. Jego pobrużdżona skóra, zabiła głowa i rogi, wykrecone do przodu, stanowiły obrzydliwy widok. Wpatrywał się w nas, gdyż połączenie wizyjne umożliwiało podgląd w obie strony. Jego oczy wyrażały zaskoczenie, jakbysmy schwytali go na gorącym uczynku, jakbysmy w tej chwili poznali jakąś jego tajemnicę, której nie chciał ujawnić.

Ujrzelismy, jak drga jego przelyk i usłyszeliśmy przytłumiony, ale rozpoznawalny, chropowaty, skrzekliwy głos. Po chwili obraz jego wstretnego dzioba wypełniał całą powierzchnię ekranu.

-Nie, nie! - usłyszałem głos Prithy.

Zdecydowanym ruchem wyłączyłem ekran. Zapanowała cisza.

-On jest wstretny! On na nas patrzy! - zawolala po chwili Prima.

Podnioslem sie, aby przytulic ja do siebie, jednak Annet juz sie nia zajmowala.

-Kochanie, to byl tylko pryszczorog - szeptala uspokajajaco. - Nie ma powodu, zeby sie go bac. A jezeli i on nas zobaczył, pewnie byl tak samo przerazony jak my. To byl - zwrocila sie do mnie - stary postereunek wartowniczy, prawda, Vere? - Gdy pokiwalem glowa, kontynuowala: - Jest pusty, opuszczony, od wielu lat. Byc moze pryszczorog uwil sobie tam legowisko.

-Patrzyl na nas - powtorzyla Prima.

-A my patrzyliśmy na niego - zauwazyla Annet. - Jest wiec remis. Poza tym ten pryszczorog znajduje sie daleko od nas.

-Co najmniej dwa dni lotu helikopterem, Pritho - wtracilem. - Nikt tam nie bywa, bo po co?

-Vere... - Gytha stanela obok Thada, wskazujac dlonia na przyciski i dzwignie. - Poprobujmy jeszcze...

-Nie! - krzyknela Annet, uprzedzajac moja reakcje. - Dosyc tego. Zdaje sie, ze kapitan Lugard wystartowal w podroz z naszym lunchem, musimy wiec na miejscu poszukac iakichs zapasow, zamiast zajmowac sie glupstwami. Chyba dzielny zolnierz nie mialby nic przeciwko temu.

-Chyba nie - poparlem ja.

Na wszelki wypadek opuscilem pomieszczenie jako ostatni, poganiajac Gythe i Thada, z zalem posylajacych ostatnie spojrzenia na miejsce, w ktorym jeszcze przed chwila na scianie znajdowal sie ekran.

-Vere? - Mala dlon wsunela sie do mojej reki. Popatrzyłem na drobniutka, niemal trojkatna twarz Prithy. Rodziny, ktore przybywaly, aby osiedlic sie na Beltane, pochodzily czesto z bardzo odleglych swiatow; do kolonizacji obcej planety wybierano je, biorac pod uwage umiejetnosc, talenty i przygotowanie fizyczne. Dlatego reprezentowalismy rozne rasy, ktore dopiero tutaj mutowaly sie fizycznie w kierunku pradawnych norm naszego gatunku. Jednym z dowodow, ze mutacja ta ciagle jeszcze trwa, byla wlasnie Pritha Wymark.

Urodzona w tym samym miesiacu, co Gytha, byla niewiele wyzsza od Dagny, mlodszej o cale piec lat. A jednak jej delikatne kosci i smukle cialo wcale nie przypominaly malego dziecka. Byla niezwykle bystra, lecz bardzo niesmiala i wrażliwa.

-Vere - powtorzyla, a jej glos byl w tej chwili zaledwie odrobine glosniejszy od szeptu - ten pryszczorog... on... on na nas patrzyl...

-Tak? - Popatrzyłem na nią, zachecając, by mówiła dalej, ponieważ wyczuwałem, że oprócz tej jednej oczywistej sprawy nurtuje ją coś jeszcze. Ja też czułem się niepewnie. Odnosiłem wrażenie, że niespodziewanie nakryliśmy na Gzyms przyszczoroga, że nie siedział przy tablicy rozdzielczej przypadkowo, że przeszkodził mi, zobaczyliśmy coś, co powinno zawsze pozostawać dla nas tajemnicą.

-To nie było... - Pritha zawahała się, jakby nie potrafiła ubrać w słowa nurtujących ją myśli.

-Może chodzi ci o sposób, w jaki siedział na krześle, Pritho. Znane nam przyszczorogi nie potrafią przyjmować takich pozycji. Maja zbyt słabo rozwinięte szkielety. Ale przecież oglądaliśmy obraz z opuszczonego posterunku, a nie z Rezerwatu.

-Być może... - Wiedziałem jednak, że moje wyjaśnienie nie usatysfakcjonowało Prithy.

-Kiedy wrócimy - próbowałem uspokoić ją - złożę raport na ten temat. - Jeżeli jakiś przyszczorog uciekł z Rezerwatu i rozwinał się inaczej niż wszystkie, być może zostanie odnaleziony i zbadany. Nie ma jednak powodu, żeby obawiać się zwierząt, z których zadrwiła natura, wiesz o tym dobrze.

-Tak, Vere. Chyba najbardziej przestraszyłam się tego, w jaki sposób on siedzi na krześle.

Wciąż jednak trzymała swoją dłoń w mojej. Wysunęła ją dopiero wtedy, gdy dotarliśmy do ostatnich otwartych drzwi i ujrzelismy, jak Annet ogląda nalepki na puszkach z żywnością. Oczywiście, wybierała dla nas to, co najlepsze, a wybrane puszki odstawiała na stół, przy którym swojego czasu jadł zapewne cały garnizon wojska.

Bez wątpliwości w ciągu minionego dnia jadł tutaj także Lugard. Do przygotowywania posiłków służyła mu przenośna kuchenka i odrobina miejsca na stole. Niewiele więcej potrzeba było Annet, by już po kilkunastu minutach przed gromadą Wedrowców stały talerze z ciepłym poczęstunkiem.

-Zdaje się, że głód nam tutaj nie grozi - zauważyłem.

Na twarzy Annet widniał szeroki, radosny uśmiech, kiedy zwracała się do mnie:

-Vere, tutaj jest wszystko, o czym mogłabyś zamarzyć Prawdziwe jedzenie, nie żadne tam substytuty. Niewiarygodnie dużo produktów spoza Beltane. Czy ty wiesz, co my będziemy jedli?...

-Zapewne są to zapasy z mesy oficerskiej - pokiwałem głową.

Szybko przebiegłem wzrokiem po nalepkach na puszkach.

Na Beltane nie jadalismy źle, być może w innych światach nasze jedzenie byłoby niedostępnym luksusem, ale od dawna niczego nie importowaliśmy i zdani byliśmy tylko na

to, co przygotowywały nasze laboratoria. Tymczasem od starszych często slyszelismy teskne opowiesci o tym, co jadali przed wojna, kiedy statki handlowe jeden po drugim ladowaly w naszym porcie.

Kiedy wszyscy najedlismy sie, Annet wskazala na kilka pojemnikow i odezwala sie do mnie rozmarzonym glosem:

-Czy myslisz, ze on zechce z nami pohandlowac? Gdybym miala troche tych smakolykow na festyn Dwunastego Dnia...

-Nie zaszkodzi zapytac go. Zapewne jego z kolei ucieszy smak naszego chleba, albo mrozonek owocowych, a moze nawet naszych gotowych porcji obiadowych. Konserwy, nawet jesli pochodza z innego swiata, musza sie po jakimis czasie znudzic. A teraz - odezwalem sie do pozostalych - przystapmy do naszego zadania.

Jak dotad, dyscyplina nie szwankowala, chociaz wiedzialem, jak bardzo Wedrowcy chca zbadac osade. Zauwazylem, ze drzwi do windy grawitacyjnej sa zamkniete, co bardzo mnie zadowolilo. Jednym z największych przewinien bylo wsrod Wedrowcow otwieranie zamknietych drzwi bez pozwolenia. Do tej pory jeszcze zaden z nich nie osmielil sie go popelnic.

Sprawdzalem, czy wylaczone sa wszystkie urzadzenia do Podgrzewania zywnosci, gdy jakis wewnetrzny nakaz podpowiedzial mi, zeby przeliczyc cala gromadke. Okazalo sie, ze dwojga dzieciakow brakuje, Thada i Iforsa. Wywolalem glosno ich imiona. Annet zaczela liczyc wszystkich ponownie, jednak niepotrzebnie, bo z wyjasnieniem pospieszyl Dinan.

Oni wyszli. Wyszli zaraz po tym, jak posprzatalismy po Jedzeniu, Vere.

Czyzby do pokoju dowodzenia? Sam chetnie bym tam poeksperymentowal. Uspokoilem sie troche, uznawszy, ze aktywacja ekranow stanowi jednak dla Thada zbyt trudne zadanie. Pospieszylem jednak, by przylaczyc go do grupy, zastanawiajac sie po drodze, jaka wymierze mu kare za brak subordynacji, gdy uslyszalem...

-Griss Lugard!

Glos byl wyrazny i wzmozniony na tyle, ze slychac go bylo w calym hallu, odrobine odbijal sie nawet echem od scian. Gdy wszedlem do pokoju, dlon Thada odskakiwala akurat od przycisku, ktory uruchomil sekunde wczesniej. Ujrzawszy mnie, chcial natychmiast wylaczyc urzadzenie, ktore uruchomil, ale mial pecha: stare urzadzenie zaklinowalo sie i glos, dobiegajacy z glosnika, nie zamilkł.

-Taka jest sytuacja, szanowni panstwo - uslyszalem Lugarda. - Nie mozecie dowierzac takim umowom...

-Zapewne to pan nie moze, kapitanie. - To mowil Scyld Drax. - Umysl zolnierza zawsze i

wszedzie weszy podstep...

-Umysl zolnierza! - Lugard chyba sie rozzloscil. - Zdawalo mi sie, ze wyrazilem wszystko az nadto jasno, czlowieku! Sytuacja jest oczywista. Mowicie tu, ze wszyscy pragniecie teraz juz tylko pokoju, ze uwazacie, iz wojna dla was zakonczyla sie. Byc moze nastapil koniec takiej wojny, jaka toczyliśmy przez dziesiec ostatnich lat, jednak nie nadszedl jeszcze czas upragnionego pokoju. W przestrzeni zapanowala proznia i w tej prozni kazdy swiat zdany jest sam na siebie. Kazdy swiat ma obowiazek przygotowac sie do obrony przed zloczyncami, ktorzy stanowią nieuchronny plon wojny i ktorzy liczba rosnie w zastraszajacym tempie, niczym niechciany wirus. W przestrzeni kraza niedobitki wspanialych niegdys flot, statki z calkowicie zniszczonych swiatow. A w ich kadlubach zamknieni sa ludzie, ktorzy podczas wojny siali tylko smierc i zniszczenie. I to pozostalo w ich krwi. Znaja tylko jeden cel w zyciu: zabic lub zginac, unicestwic lub samemu zostac unicestwionym. Nie maja domow, nie maja portow, w ktorych by na nich czekano; ich domami sa teraz wylacznie statki. Nikt nad nimi nie panuje, nikt ich nie kontroluje, nikt juz im nie rozkazuje, niczego sie nie boja, a za podboje, ktore sa ich celem, nie groza im zadne konsekwencje. Jezeli pozwolicie temu statkowi wyladowac, tylko jednemu statkowi, jak mowicie, biednym, zagubionym ludziom, poszukujacym miejsca do osiedlenia sie, jakiego przeciez na tej planecie nie brakuje, jest tylko jedna szansa na sto, ze nie poniesiecie straszliwych konsekwencji takiej decyzji. Jest natomiast dziewiecdziesiat dzewiec szans na to, ze szeroko otworzycie drzwi do swojej wlasnej destrukcji... Chcialbym zadac wam pytanie, Corson, Drax, Ahren i wszyscy inni. Planeta ta miala sluzyc jako rzadowa stacja eksperymentalna. Jakie sekrety w sobie zawiera, czy posiadacie smiercionosne materialy, ktore moglyby posluzyc jako straszliwa bron, jezeli dostalyby sie w rece ludzi bez skrupulow?

Przez chwile panowala cisza, wreszcie uslyszelismy Corsona:

-Nie mamy niczego, co mogloby posluzyc takiemu celowi, przynajmniej teraz. Kiedy wladze nalegaly na niektorych sposrod nas, bysmy prowadzili badania nad nowa bronia, odmawialismy, badz opoznialismy je. Gdy stalismy sie wladza dla samych siebie, zniszczyliśmy wszystkie materialy, ktore do badan przekazal nam rzad.

-Wszystkie? - zapytal Lugard. - Byc moze zniszczylicie tasmy, zapasy, ale nie zniszczylicie pamieci. A tak dlugo, jak dlugo w waszych umyslach tkwi wiedza, istnieja mozliwosci jej wykorzystania.

Uslyszalem szmer ludzkich glosow. Ci, ktorzy sluchali Lugarda w porcie, przez chwile zastanawiali sie nad jego slowami.

-Nie ma powodow, by przepowiadac az tak straszna przyszlosc, kapitanie Lugard. Jestesmy przekonani, ze charakter pana dotychczasowej sluzby sklania pana do wietrzenia podstepow w kazdym ludzkim dzialaniu. Tymczasem nie ma powodu, by nie wierzyc, iz ludzie, ktorzy kontaktuja sie z nami z orbity, nie sa tymi, za ktorych sie podaja: rozbitkami,

uciekinierami, poszukującymi miejsca do rozpoczęcia nowego życia. Sami zaproponowali, by ktoś z nas wszedł na pokład ich statku jeszcze na orbicie, by obejrzał go i upewnił się, że przybywa w pokojowych zamiarach. Nie możemy odepchnąć głodnych i cierpiących od naszych drzwi, nie możemy skazać tych ludzi na zagładę, a potem dumnie głosić, że jesteśmy spokojna, ugodowo wobec wszystkich nastawiona społecznością. Proponuje, żebyśmy w tej sprawie głosowali.

-Niech tak się stanie - zgodził się Lugard. Jego głos był cichy, pełen rezygnacji. - "A kiedy Yamar odezwał się gromkim głosem, oni go nie słuchali. A kiedy krzyknął, przyłożyli dłonie do uszu, śmiejąc się. A kiedy pokazał im chmurę nad gorami, powiedzieli, że jest bardzo daleko i zupełnie niegroźna. A kiedy miecz zabłysnął wśród szczytów, a on im go wskazał, zawołali, że to strumyk skrzy w słońcu".

Wolanie Yamara! Ile już czasu minęło od dnia, gdy cytowano te słowa w mojej obecności? Właściwie na Beltane nie było powodu, by o nim pamiętać. Yamar był prorokiem żołnierzy; sage o nim wpajano do głów rekrutom, by szybciej pojechali, jak wielka jest różnica pomiędzy cywilem, a człowiekiem walki.

Przez tłum przebiegł szmer zdziwienia, jednak zaraz ponad szmer wybił się głos Ahrena:

-Jeżeli nie ma już wniosków, zagłosujmy!

W tej chwili Thadowi udało się przerwać transmisję i w pokoju dowodzenia zapadła cisza. Był to stan nienaturalny w sytuacji, gdy wszyscy zainteresowani byliśmy wynikiem głosowania. Thad ponownie nacisnął przycisk, próbując przywrócić połączenie z portem, jednak głośniki milczały.

-Vere? - Gytha stała kilka kroków za mną. - O czym mówił Griss Lugard? Dlaczego nie chce, żeby uciekinierzy wylądowali na Beltane?

-Ponieważ boi się, że okaza się piratami i przysporzą nam nieszczęść. - Odparłem zgodnie z prawdą.

-Przecież to jest głupie podejrzenie - stwierdziła Annet. - Nie możemy jednak obwiniać kapitana. Jest żołnierzem i nie rozumie życia, jakie prowadzimy. Naucz się jednak. Thad, nie powinien być podsłuchiwać posiedzenia Komitetu...

Thad miał mine skruszonego winowajcy.

-Nie chciałem, ale sprawdzaliśmy, jak te wszystkie urządzenia działają. Przez przypadek nacisnąłem ten guziczek i rozpoznałem głosy... Naprawdę, tak było.

-Juz dobrze. - Annet rozejrzała się z niesmakiem po pomieszczeniu, jakby nic, co tu zobaczyła, nie spodobało się jej. - Myślę, że najlepiej zrobimy, jak już stąd pojedziemy. Nie mamy prawa tutaj przebywać.

-Kapitan powiedział, że możemy wchodzić do każdego pokoju, do którego drzwi są otwarte - przypomniała jej Gytha. - A te właśnie były otwarte. Vere - zwróciła się do mnie - czy moglibyśmy pójść do wieży obserwacyjnej i popatrzeć z góry na krainę lawy, skoro nie wolno nam zapuszczać się poza osiedle?

Uznałem to za rozsądną propozycję i kiedy znaleźliśmy drzwi, prowadzące do górnych części osady, tam właśnie skierowaliśmy nasze kroki. Schody były krótkie, jednak bardzo strome. Annet postanowiła pozostać na niższym podesciu, razem z bliźniakami Norkota i Prima, którzy nie lubili wysokości. Z całą resztą udałem się na posterunek, gdzie przed wieloma laty czuwali wartownicy.

Z zakamarków muru wyrastały chwasty, pochodzące z Beltane. Łatwo było je odróżnić od zmutowanych, lekkich roślin, przywiezionych spoza planety, starannie pielęgnowanych i otaczających nasze osiedla. W niektórych miejscach uformowały dziwne cienie, niemal zupełnie czarne.

Wyciągnąłem lornetkę i zacząłem oglądać teren na północy i na zachodzie. Na zewnątrz dominowała lawa, zastygła i twarda, niemniej wciąż sprawiająca wrażenie groźnej, złowieszczej. Jej języki docierały aż do murów Butte, jakby chciały zlizać osadę z powierzchni planety. Nigdy dotąd nie przyglądałem się krainie tak pustej i zakazanej. Nawet jeśli istniało tu kiedyś naturalne życie, trzeba by chyba prowadzić poszukiwania całymi latami, zanim natrafiliby się na jego ślady.

-Taaak... - Thad wpatrywał się w dal przez swoją własną lornetkę. - To sprawia wrażenie, jakby ktoś dawno temu kopał tutaj łopata, a potem się zmeczył i wszystko zostawił swojemu losowi. Gdzie są groty?

-Wiem tyle, co i ty - odparłem. Kiedy dawno temu odwiedziłem po raz pierwszy Butte, byłem zbyt młody, żeby wędrować na zewnątrz osady. Prawde mówiąc, niewiele teraz pamiętałem z tej wizyty.

-Vere, jak sądzisz, jakie stare są te języki lawy? - zapytała Gytha zamyslnym głosem.

-Poczytaj taśmy geologiczne. Nie mam pojęcia. - Oderwałem lornetkę od oczu i podałem ją Iforsowi, który patrzył przez nią kilka chwil, po czym przekazał ją dalej, do Sabiana i Emrysa.

-Z pewnością jednak są stare, bardzo stare - kontynuowała Gytha.

-Niewatpliwie.

-A więc groty są równie stare. Może pochodzą z czasów Prekursora?

-Kto wie, kiedy wylądował tutaj Prekursor... Może było ich kilku? - Spróbowałem podchwycić wzrok Gythy i ostrzec ją, by w żadnym wypadku nie zaczynała rozmawiać o

skarbach. Ona jednak odebrała lornetkę Thadowi i oparłszy się na lokciach o barierkę, zaczęła uważnie przeglądać otaczający nas teren.

-Prekursor? - Niestety, Thad zainteresował się tym tematem. - A kogo obchodzi Prekursor, czy Prekursorzy? Przecież tu nie ma żadnych ruin...

Gytha zareagowała, zanim zdolałem ją powstrzymać.

-Nie mów, jak nie wiesz. Griss Lugard znalazł w krainie lawy relikty po Prekursorze, jeszcze przed wojną. Gdybyś czytał taśmy z historii Beltane wiedziałbyś o tym i byłbyś o wiele mądrzejszy, Thadzie Maky. Ludzie spoza naszego świata mieli zbadać te znaleziska, jednak wybuchła wojna i wszyscy o nich zapomnieli.

-Czy to prawda, Vere? - Thad zwrócił się do mnie. - Tutaj Prekursorzy? Czy to dlatego Griss Lugard powrócił na Beltane? Mój tato powiedział, że przygotowuje Butte na przyjęcie nowego garnizonu, ale Komitet i tak go tutaj nie wpuszczy. Użyjemy promieni odpychających, jeśli tylko jakkolwiek statek z żołnierzami będzie chciał zbliżyć się do Beltane. Lugard wylądował zniechęcony, jednak już nikt inny jego pokroju nie postawi swojej stopy na naszej planecie. Jeżeli jednak zechce szukać skarbu Prekursora, może będzie potrzebował naszej pomocy, albo Komitet kaze mu...

-Thad! Gytha przeczytała za ledwie plotkę ze starej taśmy z wiadomościami, to wszystko. Nie będziemy wspominali o żadnym skarbie, ani wobec Grissa Lugarda, ani w domu, rozumialesz? To absolutna tajemnica, tym bardziej, że nie wiemy, czy jakiegokolwiek skarby w ogóle istnieją.

Thad popatrzył na mnie, jednak w jego oczach nie zauważyłem śladów buntu.

-Zrozumiałem. Tajemnica.

Popatrzyłem na Gythę.

-Tajemnica? - rzuciłem.

Energicznie pokiwała głową.

-Tajemnica - powiedziała, a inne dzieci jej przytaknęły.

-Vere... - Emrys skierował szklę lornetki na wschód.

-Coś nadlatuje w naszym kierunku, chyba helikopter. Zdaje się, że bardzo mu się spieszy.

Odebrałem mu lornetkę i popatrzyłem w kierunku, który mi wskazał. Tak, to był nasz helikopter, z Lugardem na pokładzie. Skinałem na Wedrowców i szybko zaczęliśmy schodzić z wieży wartowniczej.

Rozdział czwarty

Jezeli spodziewalismy sie po Lugardzie, ze okaze po sobie jakies emocje spowodowane dyskusja w porcie, to bylismy rozczarowani. Sprawial wrazenie spokojnego czlowieka, ktory nie ma na glowie zadnych trosk, a zalezy mu tylko na wypoczynku. Pokustykal w kierunku bramy Butte, w ktorej sie zgromadzilismy, z usmiechem na twarzy zniekształconej przez gleboka rane. -Bardzo was przepraszam, szanowni panstwo - odezwal sie ugrzecznionym tonem i sklonil sie przed nami, szczegolnie akcentujac swoj uklon wobec dziewczynek. W jednej rece trzymal koszyk z naszym lunchem. - Zdaje sie, ze w pospiechu zabralem wam prowiant - powiedzial do Annet. - Mam nadzieje, ze znalezliscie tutaj dosc jedzenia, by nie czuc sie glodnymi do mojego powrotu.

-Znalezlismy - przyznala Annet cierpko. Po chwili jednak usmiechnela sie i dodala: - Panski prowiant jest o wiele lepszy od naszego, kapitanie.

-Nie - zaprotestowal. - Nie jestem juz kapitanem. Oszczedlem na emeryture, nie jestem zolnierzem i nigdy juz nim nie bede. Nazywam sie Griss Lugard i jestem wlascicielem Butte Hold. A zolnierzy na Beltane juz nigdy nie bedzie. - Ton jego glosu, poczatkowo lekki i beztroski, z kazda chwila stawal sie coraz bardziej powazny. Jednak gdy zdal sobie z tego sprawe, na jego usta powrocil usmiech. - Co sadzicie o mojej posiadlosci? - zapytal.

-Obawiam sie, ze poczulismy sie tutaj troche zbyt swawolnie, chociaz powiedzial pan, ze mamy wstep do kazdego otwartego pokoju - odezwalem sie. Uznałem, ze najlepiej bedzie od razu powiedziec mu o uruchomieniu systemu dowodzenia. - Aktywowalismy urzadzenia...

Usmiech nie opuscil jego twarzy.

-I wiedzieliscie, jak to zrobic? Czy wszystko jest sprawne? Czy moze wystepuja jakies zaklocenia?

Czy moglo byc prawda, ze sam jeszcze nie wyprobowal systemu, ze nie byl ciekaw, w jakim zachowal sie stanie. Czy nie zalezalo mu na jego funkcjonowaniu, czy tylko przed nami udawal?

-Wszystko doskonale funkcjonuje. Podsluchalismy troche pana spotkanie z Komitetem. - Postanowilem, ze najlepiej bedzie, jesli najgorsze rzeczy powiem mu na samym poczatk. Jezeli mial zdenerwowac sie i nas stad wyrzucic, niechby nastapilo to jak najszybciej.

-A wiec byliscie swiadkami mojej elokwencji - stwierdzil. - I wiecie, ze wysilalem sie na prozno. - Wiadomosc wcale go nie poruszyla. Co wiecej, sprawial wrazenie, jakby juz od dawna wiedzial, ze podsluchalismy przebieg zgromadzenia, ktorego tresci w ogole nie powinnismy znac.

A moze... Moze to on sam przygotowal wszystko tak, zebysmy wysluchali tego, co do naszych uszu nie powinno docierac? A jesli tak, to w jakim celu? Stwierdzilem w myslach,

ze nawet, jezeli go o to zapytam, na to akurat pytanie nie udzieli odpowiedzi.

W tym momencie Pritha postapila kilka krokow w jego kierunku i popatrzyla prosto w jego twarz, pelna szwow.

-Rowniez cos widzielismy...

-W sali Komitetu? - wciaz byl spokojny.

-Nie. Vere powiedzial, ze obraz pochodzi z jednego ze starych posterunkow. To byl przyszczorog, siedzacy na krzesle, zachowujacy sie tak, jakby byl czlowiekiem.

-Co takiego? - Lugard po raz pierwszy zdenerwowal sie. - Nie rozumiem...

-Uruchomilismy rowniez przekaz wizyjny - wyjasnilem szybko. - Uzyskalismy podglad posterunku Reef Rough.

To stworzenie siedzialo tam, skulone na krzesle w pokoju dowodzenia i patrzylo z ekranu prosto na nas. To przypadek, ze sie na nie natknelismy, wiec najedlismy sie troche strachu.

-Z pewnoscia. - Lugard pokiwal glowa. - Ale jesli przekaz dzialal w obie strony, przyszczorog musial byc rownie zaskoczony jak wy, nie sadzisz, Prima?-Zapamietal jej imie, mimo ze cala prezentacja dzisiejszego ranka byla bardzo zdawkowa i trwala krotko. - Nie sadze, zebysmy musieli obawiac sie na Beltane inwazji przyszczorogow.

Uchodzcy to jednak cos innego, pomyslalem. Mimo jego powierzchownego spokoju, wyczuwalem w postaci weterana skrywane zaniepokojenie sprawami Beltane.

Reszta tego dnia uplynela nam jak w bajce. Wkrotce wszyscy Wedrowcy, nie wylaczajac Annet, byli oczarowani osobowoscia naszego gospodarza. Nawet Gytha, zasluchana w jego glos, jakby zapomniala o Prekursorze. A opowiadal nam, ze zamierza utworzyc tu nowy Rezerwat, w ktorым chcial badac nature dzikiego zycia, stosujac pewne techniki, ktorých nauczył sie podczas podrozy po przestrzeni. Nie chcial pracowac ze zwierzetami zmutowanymi, lecz z normalnymi. Mowil o swoich planach z taka wiara w ich powodzenie, ze wprost, trudno bylo nie uwierzyc w ich powodzenie.

Ponownie zademonstrowal fujarke. Gdy zaczal na niej grac, jej dzwieki, z taka latwoscia przywolujace ptaki i inne zwierzeta, zafascynowaly i nas. Siedzielismy, nie ruszajac sie, wpatrzeni i zasluchani w jego gre, nie zdajac sobie sprawy z uplywajacego czasu. Chwile te nie mialyby konca, gdyby w pewnym momencie nie odlozyl fujarki.

-Ciesze sie, ze z taka uwaga sluchacie mojej muzyki, przyjaciele. A jednak nadchodzi noc, wydłużają się cienie i, jak sadze, nie powinniscie przebywac u mnie juz dluzej...

Annet zerwala sie na rowne nogi.

-Vere! - zawolala. - Slonce juz prawie zaszlo. Ile czasu tutaj spedzilismy? Bardzo przepraszam pana, Grissie Lugard. Meczyalismy pana naszym towarzystwem stanowczo zbyt dlugo.

-Mila damo, nie czuje sie ani odrobine zmeczony wami. W Butte jestem samotny. Zatem uwazam was za milych i pozadanych gosci, kiedy tylko zechcecie mnie odwiedzic. Drzwi mojej osady zawsze stoja dla was otworem.

-Czy naprawde mozemy pana znowu odwiedzic? - zapytala Gytha. - Kiedy?

Rozesmial sie.

-Kiedy tylko zechcecie, Gytho. Wszyscy razem, albo w pojedynke. Gdy tylko bedziecie mieli na to ochote.

Podziekowalismy za goscine i pozegnalismy sie z Grissem. Kierujac helikopter ku Kynvet, zastanawialem sie, czy kiedykolwiek jeszcze powrocimy do Butte. Wystapienie Lugarda przed Komitetem nie przysporzylo mu najlepszej opinii, a wiec Ahren i jego towarzysze uznaja zapewne, iz bliskie zwiazki z bylým oficerem nie wyszlyby na dobre mlodziezy z Bekane.

Jednak, ku mojemu zdziwieniu, w domu nie uslyszalem ani slowa komentarza na temat sprzeczki Lugarda z obecnymi wladcami planety. Pytano nas natomiast o to, co robilismy przez caly dzien. W pytaniach tych nie bylo jednak zadnych podstepnych tonow, nikt nawet nie podejrzewal, ze czesc sposrod nas podslychala fragment posiedzenia Komitetu. Tym razem jednosc Wedrowcow okazala sie wielkim atutem, gdyz nikt nie mial zamiaru ujawniac tej tajemnicy doroslym. Mowiono natomiast duzo o wszystkim innym, w tym o pomysle weterana, by podpatrywac na pustkowiu zycie dzikich zwierzat.

-A wiec, poprosil was, byscie do niego wrocili - skomentowal Ahren, kiedy Gytha skonczyla swa chaotyczna opowiesc. - Nie powinniscie jednak naduzywac jego goscinnosci, coreczko. Pan Griss Lugard przebywa tutaj na specjalnych zasadach, z konkretnym zadaniem...

-Specjalnych zasadach! - nie bylem w stanie podtrzymac sie od okrzyku.

-Tak, oczywiscie. Nie jest tak, jak podejrzewalismy. Oczywiscie i niestety zarazem, pan Lugard sklonny jest rozpatrywac wszystkie sprawy z punktu widzenia Sluzb, mimo ze zerwal wszystkie swoje zwiazki z silami zbrojnymi. Sadze, iz jego ciezkie rany usprawiedliwiaja takie zachowanie. Cechuje go ogromna nieufnosc i podejrzliwosc. Jest w tej chwili osiedlencem, ktory ma do wykonania konkretne prace archeologiczne.

-Prekursorzy! - zawolala Gytha i popatrzyła na mnie z triumfem. - Mialam racje...

Jej ojciec potrzasnal jednak glowa.

-Nie, nie chodzi o Prekursorow. Na tej planecie nigdy nie bylo nawet sladow po nich. Jednak przed wojna Lugard znalazl jakies dziwne rzeczy w jednej z grot w krainie lawy. Wowczas nie bylo czasu, zeby zbadac jego znalezisko, poniewaz, jak wiecie, wybuchlo ogolne szalenstwo. Znalezisko pozostawiono wiec samo sobie, tym bardziej, ze Lugard wyslany zostal w przestrzen, zanim mogli udzielic ludziom, ktorzy tutaj pozostali, jakichkolwiek istotnych wskazowek. Jedna z grot, najbardziej go interesujaca, zawalila sie. Teraz Lugard powrocil. Poniewaz nigdy wiecej nie bedzie na tej planecie zolnierzy, poprosil o Butte Hold i czesc krainy lawy jako zaplate za swe czyny wojenne i otrzymal to, czego zadal. Otrzymał też zadanie. Zapisal to po wyladowaniu, w ksiedze portowej. Zakladam, ze zanim odnajdzie miejsce, ktore najbardziej go interesuje, minie troche czasu. Od dnia, w ktorym opuscil planete, ziemia w krainie lawy zmieniala ksztalt kilkakrotnie i, byc moze, Lugard nie natrafi ponownie na swoje znalezisko. Ale, Vere - odezwal sie teraz bezposrednio do mnie - nie chce, zeby dzieci wiecej mu przeszkadzaly. Biedny czlowiek, tak wiele wycierpial. Nie mozemy go potepiac za jego postawe. Zlo i przemoc otaczaly go tak dlugo, ze jest sklonny dopatrywac sie ich doslownie wszedzie. Jezeli bedzie pragnal towarzystwa, szczegolnie mlodych ludzi... - Ahren zamyslil sie na chwile i zaraz dodal: - Czy Lugard mowil cos o dzisiejszym posiedzeniu Komitetu? Czy zastanawial sie, jaka zapadla decyzja?

-Jaka decyzje masz na mysli, ojczy? - zapytala Annet, chociaz zapewne odgadywala juz odpowiedz rownie dobrze jak ja.

-Postanowiono wyrazic oferte przyjazni i zaproponowac miejsce do osiedlenia sie uciekinierom z innej planety - odparl Ahren, odrobine niecierpliwie, zanim powrocil do przedmiotu swojego zainteresowania. - Czy Lugard nic na ten temat nie powiedzial? Nie mowil nic o naszych obradach? On nie zna jeszcze tresci decyzji...

Moglem odpowiedziec, zgodnie z prawda, bo Lugard rzeczywiscie w tej sprawie milczal. Gytha nie dopuscila mnie jednak do glosu.

-Mowilam ci przeciez, ze rozmawialismy o zwierzetach. Poza tym zapraszal nas, zebysmy go znow odwiedzili. I pieknie gral na fujarce...

-Hmm... Coz, wlasciwie nie widze przeszkod, abyscie znow polecili do Butte, jednak poczekajcie na kolejne wyrazne zaproszenie. Z drugiej strony, Vere, ty sam polecisz tam juz jutro, z wiadomoscia od Komitetu. Pragniemy potwierdzic pewne rzeczy, zeby w przyszosci nie bylo nieporozumien.

Tresci wiadomosci nie poznalem. Domyslalem sie jednak przynajmniej czesci zawartosci tasmy, ktora nastepnego poranka wreczylem weteranowi. Gdy mu ja przekazywalem, uniosl powieke na zdrowej stronie twarzy, a na jego ustach pojawil sie slaby usmiech.

Wypelzil wlasnie spod jakiejys skomplikowanej maszyny, ktorej przeznaczenia na pierwszy rzut oka nie zrozumialem. Przypominala plug, jednak z cala pewnoscia nie sluzyla do prania.

Na lewej stronie jej obudowy znajdowały się pasy z potworami w kształcie wiader, a wierzchołek jej długiego ramienia zwieńczony był ostrym szpikulcem.

Lugard przerzucił taśmę z lewej ręki do prawej, wciąż uśmiechając się.

-Zapewne Komitet chce dać mi do zrozumienia, żebym zajął się wyłącznie swoimi sprawami. - Powiedział to bardziej do samego siebie niż do mnie. - Coż, chyba przeczytałem tę taśmę, będę mógł przynajmniej udzielić odpowiedzi. Co powiesz o moim potworze? - odnosiłem wrażenie, że nie spieszy mu się do przeczytania taśmy. Z czułością pogłaskał karoserię maszyny. - Koparka - odpowiedział na pytanie, którego nie zdążyłem zadać. - Przygotowana specjalnie do krainy lawy. Mimo to obsługiwanie jej wcale nie będzie łatwym zadaniem.

-Czyżby zamierzał pan wykopać grocie? - W myślach kolatały mi słowa o skarbie Prekursora i archeologicznym zadaniu Lugarda. Czy naprawdę znalazł na Beltane coś, co pochodziło od rasy przebywającej tutaj przed nami?

-Wykopać grocie? Ależ oczywiście, i to pewnie niejedną. Takie mam zadanie, chłopcze. - Zauważyłem, że obdarzył mnie krótkim, badawczym spojrzeniem, jakby zastanawiał się, czy wiem coś więcej, niż mu ujawniłem. - Ta koparka potrzebuje szczegółowego przeglądu, zbyt długo leżała w zapomnieniu. Obejrzyj ją sobie, jeżeli chcesz - zaproponował i odszedł gdzieś z taśmą.

Chociaż nigdy przedtem nie widziałem koparki tego typu, byłem w stanie zrozumieć większość funkcji tej maszyny. Krociec na złożonym teraz ramieniu służył zapewne do kruszenia przeszkód, natomiast taśmy z wiadrami do usuwania niepotrzebnych szczątków z pola jej pracy. Na plastikowej płachcie obok niej leżały dwa inne elementy, starannie zakonserwowane smarami. Odgadłem, że w razie potrzeby można wstawiać je na miejsce krocca. Było to wiertło i młot.

Maszyna była stosunkowo niewielka, przeznaczona do obsługi tylko przez jednego człowieka. Poruszała się na elastycznych gasienicach, najwłaściwszych dla krainy lawy. Spodziewałem się, że w razie potrzeby okaże się bardzo wydajnym narzędziem. Pomyślałem, że zapewne w Butte jest jeszcze wiele użytecznych maszyn. Z pewnością osada miała swoją cenę i wyczyny wojenne Lugarda musiały być zaiste wielkie, skoro otrzymał ją na własność. Chociaż wyjaśnienie mogło być zupełnie inne. Jeżeli sytuacja w przestrzeni była tak chaotyczna, jak ja opisywał, może jakiś biurokrata podarował mu Butte po prostu za odpowiednią łapówkę?

-A więc to zrobili, dokonali swojego ślepego, głupiego wyboru. - Lugard stanął nade mną, gdy wciąż jeszcze oglądałem koparkę.

-Ma pan na myśli wpuszczenie uciekinierów? Przecież niekoniecznie muszą mieć tak złe zamiary, jak panu się wydaje.

Lugard wzruszył ramionami.

-Miejmy nadzieje. Tymczasem zaniecham niepokojenia mlodych umyslow moimi obawami, pochodzacymi nie z tego swiata.

-Czy Ahren ostrzegl pana przed tym?

Uśmiechnal sie bez humoru.

-Nie doslownie, ale daje sie zauwazyc taka sugestie.

Mam byc odpowiedzialnym obywatelem, swiadomym zarowno moich obowiazkow jak i przywilejow. Czy dzieci ostrzegano, zeby wiecej sie tu nie pojawialy?

-Jedynie Gytha uslyszala, ze nie powinna panu przeszkadzac, gdyz jest pan zajety waznymi sprawami.

Teraz jego usmiech zamienil sie w krzywy grymas.

-Cos takiego! Odplace mu za to. Zadnych wiecej ostrzezen. Nic do tych ludzi nie dotrze. Oni w ogole nie maja wyobrazni, sa skostniali jak ta zastygla lawa.

-Takie samo zdanie maja o panu - zauwazylem.

-No i dobrze. Przywoz tu dzieci, Vere, jezeli tylko tego zechca. W Butte czasami doskwiera samotnosc. A dzieci maja bystre umysly. Bardziej mi tutaj pomoga, niz w czymkolwiek przeszkodza.

-Czego pan wlasciwie szuka? - osmielilem sie zapytac.

-Niektorzy pewnie nazwaliby to skarbem.

-Skarbem Prekursorow? - Niedowierzenie z cala pewnoscia widoczne bylo na mojej twarzy. Lugard rozesmial sie.

-Nie, raczej nie chodzi o Prekursorow, chociaz nie moge wykluczyc niczego, zanim nie odkopie groty lodowej; zakladajac, ze znow na nia natrafie. Dziesiec lat, ktore spedzilem poza Beltane, to spory szmat czasu. W tym czasie zmienila sie ziemia, zmienilo sie ukszaltowanie jej powierzchni i tego, co pod powierzchnia. W krainie lawy te zmiany sa szczegolnie duze.

-A o co chodzi z ta grota lodowa?

-Dziesiec lat temu rozpozczelismy poszukiwania pradawnych magazynow. Czas bardzo nas pogonial; wiedzielismy, ze zbliza sie wojna i moze przerwac nasze prace. A istnialo prawdopodobienstwo, ze Beltane znajdzie sie na pierwszej linii ognia; planecie grozilo

nawet całkowite unicestwienie. Groty, utworzone przez lawe, biegly pod powierzchnia niczym dlugie tunele. Otworzyliśmy kilka z nich, draząc otwory z gory, i zaczęliśmy je badać. Ekipa, która dowodziłem, niespodziewanie znalazła pod powierzchnia lod, a w nim różne przedmioty. Szybko odgadliśmy, że w ten sposób przechowywano przede wszystkim zapasy żywności. Niestety, pewnego dnia musieliśmy nagle przerwać prace, a nawet zniszczyć ich efekty. Ludzie z Bezpieczeństwa uznali, że w krytycznym czasie trzeba skupić się na czymś zupełnie innym. Poniekąd mieli całkowita rację.

-Gytha wyczytała o tym w starych tasmach.

Lugard pokiwał głową.

-Tak. Ludzie mówili wówczas o naszych poszukiwaniach, rozeszły się pogłoski, plotki. Twój ojciec próbował je neutralizować, dlatego przyznaliśmy się do dokonania tajemniczego odkrycia, a zarazem ogłosiliśmy, że miejsce odkrycia zostało utajnione i zabezpieczone w oczekiwaniu na ekspertów spoza Beltane. W gruncie rzeczy zabezpieczyliśmy przed ciekawskimi całą wielką polną kontynentu. Zdaje się, że skutecznie. Teraz żałuje tego, gdyż czeka mnie z tego powodu wiele dodatkowej pracy.

-Dlaczego jednak podejmuje się pan tego?

-Dlaczego? Coz, Vere, mam teraz wiele czasu. No i dzięki temu mam zajęcie na kilka lat, nie będę się nudził. Mam wyposażenie, gotowe do użycia, a poza tym, powiem ci szczerze, wprost zżera mnie ciekawość. Nawet jeśli nigdy nie znajdzie groty lodowej, nie będę żałował. Myślę, że moje poszukiwania już teraz nikogo nie interesują, no, może ciebie i inne dzieci...

Tak, bardzo interesowały mnie poszukiwania Lugarda, a jego opowieść jeszcze wzmogła moje zainteresowanie. Wiedziałem, że jeśli opowie o wszystkim pozostałym Wedrowcom, już nie uwolni się od ich ciekawości. Bada przybywać do Butte, nieważne, czy ich obecność pomoże mu, czy będzie tylko utrapieniem.

-Tymczasem, pozwól mi przygotować to urządzenie do pracy. - Znow wczłgał się pod koparkę. - Aha, jeżeli dzieci będą chciały przyjeżdżać tutaj z tobą, zawsze je zabieraj.

Powtórzyłem to zaproszenie Ahrenowi, kiedy wróciłem do Kynvet, i, ku mojemu zaskoczeniu, nie usłyszałem sprzeciwu wobec sugestii, że Wedrowcy mogliby pomagać Lugardowi w poszukiwaniach. W następnych tygodniach lataliśmy więc tam kilkanaście razy. Dwukrotnie poleciała z nami nawet Annet, zawsze zabierając beltanowską żywność, by wymienić ją zapasy spoza planety. Takie wymiany satysfakcjonowały i ja i Lugarda.

W tym samym czasie uchodźcy, którzy ostatecznie wylądowali nie w porcie, lecz daleko na północy, na obszarze, który sami wybrali, w zupełnym spokoju zajmowali się swoimi własnymi sprawami. Ponieważ większość mieszkańców Beltane zajęta była pracą, do wzajemnych wizyt, związanych z długimi podróżami, dochodziło bardzo rzadko. Przybysze co prawda od czasu do czasu zjawiali się w porcie z prośbą o jakieś środki medyczne, w

zamian oferując produkty spoza Beltane. Wszystko wskazywało na to, że Lugard srodze pomylił się w swoich podejrzeniach.

Powiniennem był domysleć się, że i sam Lugard zacznie kontaktować się z przybyszami, jednak byłem zdziwiony, kiedy pewnego ranka, osiadając helikopterem na lądowisku przy Butte, ujrzałem maszynę latającą, z całą pewnością nie pochodzącą z naszego portu.

Lugard stał w bramie Butte, nie miał jednak przy sobie swojej fujarki. Jedna ręka zwisała mu luzno wzdłuż ciała, zaś druga, jakby przypadkiem, dotykała broni, opartej o brame. Zauważyłem, że nie jest to konwencjonalny oszałamiacz. Przed Lugardem stało twarzą w twarz dwóch mężczyzn.

Obaj mężczyźni ubrani byli w zniszczone tuniki, które kiedyś z pewnością stanowiły fragment umundurowania. Ciemna karnacja ich skóry nie pozostawiała wątpliwości, że dopiero niedawno przybyli na Beltane z przestrzeni. Puste dłonie trzymali ostentacyjnie szeroko rozłożone, jakby nie chcieli dawać Lugardowi powodu do czujności.

Sięgnąłem do olstra, znajdującego się na drzwiach helikoptera i wydobyłem oszałamiacz. Trzymając go w ręce, wyskoczyłem na ziemię. Ujrzawszy mnie, Lugard zawołał:

-Witaj, drogi gościu. - Było to tradycyjne pozdrowienie beltanowskie.

-Oby dzisiejszy dzień był dla ciebie pomyslny. - Nie pozostałem mu dłużny.

Mężczyźni natychmiast odwrócili się w moim kierunku, równocześnie, takim samym ruchem, jakby ktoś dał im ku temu sygnał. Spodziewałem się, że ujrzę wymierzona we mnie bronie, jednak ich ręce wciąż były puste. Wpatrywali się we mnie bladym, pustym wzrokiem. Byłem pewien, że starają się dobrze mnie zapamiętać i ocenić, czy w przyszłości będę stanowił dla nich jakieś zagrożenie.

-Moja odpowiedź jest odmowna, panowie - odezwał się do nich Lugard. - Nie potrzebuje żadnej pomocy przy mojej pracy, oprócz tego, co oferują mi rdzenni mieszkańcy tej planety. I także nie życze sobie, żeby ktoś patrzył mi na ręce podczas pracy.

Wyższy z dwójki obcych wzruszył ramionami.

-To była jedynie propozycja - powiedział. - Sadziliśmy, że możemy pomóc towarzyszowi walki, weteranowi. Wszyscy byśmy na tym skorzystali...

-Przykro mi, lecz nic z tego - chłodny i zdecydowany głos Lugarda nie pozostawiał wątpliwości, że jego decyzja jest ostateczna.

Odwrócili się i odeszli, nie spoglądając za siebie. Ja jednak nadal trzymałem oszałamiacz w pogotowiu. Nigdy nie używałem go dotąd, nawet wobec zwierząt w Rezerwacie. Poza tym nigdy jeszcze nie widziałem człowieka na tyle rozszalonego, by trzeba było wobec

niego gwałtownie reagować. A jednak czulem ogromną złość, emanującą z tych dwóch, kiedy wsiadali do swojej maszyny. Zadrzałem ze złości. Byłem przekonany, że ci dwaj Niemili mężczyźni są jedynie zapowiedzią szykujących się kłopotów.

-Czego oni chcieli? - zapytałem, kiedy maszyna obcych, wzbudzając tumany kurzu, odleciała, zatoczywszy jeszcze szeroki krąg nad Butte.

-Twierdzili, że szukają pracy. - Lugard dopiero teraz odsunął od siebie bron. - Trudno było się spodziewać, że nie dotrze do nich ta historia o skarbach.

-A więc, wróca zapewne w większej liczbie - zauważyłem. - A pan jest tutaj sam.

Na te słowa Lugard rozesmiał się.

-Pamiętaj, że te osady zbudowało Bezpieczeństwo. Wciąż znajdują się tu różne urządzenia obronne, które mogę uruchomić, jeżeli tylko będę chciał. Mieszkam w fortecy nie do zdobycia. Powiem ci jednak coś, Vere. W momencie, kiedy Komitet ich tutaj zaprosił, było to równoznaczne z wpuszczeniem na planetę zarazy, możesz mi wierzyć. Powiedz mi jednak, z czym przybywasz?

Przypomniałem sobie, co chciałem mu powiedzieć.

-Wkrótce otrzymam pracę. W Rezerwacie Aniav.

-Kiedy?

-W przyszłym miesiącu.

Odniosłem wrażenie, że Lugard nie ucieszył się, kiedy opowiadałem mu o szczęśliwym zbiegu okoliczności, który sprawił, że wreszcie mogę podjąć upragnioną pracę. W jego oczach pojawił się jakby strach. Ale dlaczego? Przecież praca w Rezerwacie była dla mnie jedyną przyszłością na tej planecie. Było niemal cudem, że pozwolono mi ją podjąć, mimo że nie miałem jeszcze formalnego wykształcenia.

-W przyszłym miesiącu - powtórzył. - Hmm, mam nadzieję, że nie wcześniej, niż przed Dwunastym Dniem. Może w takim razie urządzimy tu sobie już teraz małą uroczystość z okazji Dwunastego Dnia i podjęcia przez Ciebie pracy? Zapraszam do siebie wszystkich Wedrowców i Annet, jeżeli tylko będzie mogła przybyć; namów ją do tego, Vere. Odnoszę wrażenie, że niedługo dotrą do skarbow, których poszukuje. Być może będziemy mieli jeszcze jedną okazję do celebrowania.

Jego wzmianka o możliwym szybkim znalezieniu skarbow zaskoczyła mnie. Nie mówiłby tego, gdyby nie był pewien sukcesu.

Ponieważ miałem trochę czasu, pomogłem mu przy przygotowywaniu do pracy nowej

maszyny, zasadniczo przeznaczonej do transportowania zaopatrzenia, jednak mogła ona w razie potrzeby również usuwać gruz, kiedy już dostaniemy się do upragnionej groty.

Gdy powróciłem do Kynvet, Ahren niemal wyrzucił mnie z helikoptera i natychmiast gdzieś w pośpiechu poleciał. Wszedłem do domu, aby zapytać Annet, co się dzieje. Tym razem nie była zajęta żadną pracą domową, stała natomiast w oknie i obserwowała, jak maszyna z jej ojcem odlatuje coraz dalej. Na jej twarzy widoczne było zmartwienie.

-Co się stało? - zapytałem.

-Na orbicie pojawiły się kolejne dwa statki. Ich załogi mówią, że chcą dołączyć do uciekinierów, którzy już tutaj wylądowali. Twierdzą, że obiecano im miejsce na Beltane.

-Zdaje się, że zgodziliśmy się tylko na jeden statek. Taki zawarliśmy układ.

-Utrzymują, że to pomyłka, że pierwszy statek miał zawrzeć układ osadniczy w imieniu wszystkich. Komitet zamierza rozmawiać z ich przedstawicielami. Właśnie wylądowali na Beltane w kapsule ratunkowej.

Pomyślałem o zlekceważonym ostrzeżeniu Lugarda, o mężczyznach, których widziałem w Butte i o bezbronnym porcie. Znowu ogarnęło mnie zimne poczucie zagrożenia, które odczułem tak niedawno w Butte. Czy Lugard wiedział, co się dzieje. Czy wiedząc, będzie w stanie bronić ludzi, którzy nie podejmą żadnego działania, by obronić samych siebie?

-Doktor Corson twierdzi, że nowi przybysze sprawiają całkiem rozsądne wrażenie - kontynuowała Annet. - W końcu chcą tylko połączyć się z przyjaciółmi i rzeczywiście mogło zajść jakieś nieporozumienie. Komitet w każdym razie zamierza przeprowadzić pełne głosowanie, z udziałem wszystkich dorosłych mieszkańców planety. Vere, a jak Griss zareagował na twoje wiadomości?

Powiedziałem jej o zaproszeniu. W odpowiedzi pokiwała głową.

-Myślę, że będziemy mogli go odwiedzić. Uciesze się, jeżeli pierwsi poznamy efekty jego poszukiwań.

Wiecej już nie rozmawialiśmy o uciekinierach. Odnosiłem wrażenie, że Annet celowo unika tego nieprzyjemnego tematu. Nie miałem wątpliwości, że od tego dnia wszyscy na Beltane myśleć będziemy o tym samym, nawet jeżeli nie będziemy się do tego wobec siebie przyznawali.

Rozdział piąty

Komitet rzeczywiście zdecydował, że w sprawie obcych statków przeprowadzone zostanie pełne głosowanie, a to oznaczało, że wszyscy dorośli z Kynvet, jak i z pozostałych osiedli na planecie, muszą zgromadzić się w porcie. W tej sytuacji Ahrenowie i rodzice

innych Wedrowcow z zadowoleniem przyjele nasz plan udania sie w tym czasie do Butte. Spodziewalem sie, ze tym razem zdania wsrod zgromadzonych beda podzielone i dyskusja nad tym, czy zezwolic statkom na ladowanie, przedluzy sie. Byc moze bardziej czujni "czlonkowie Komitetu uwazniej przyjrza sie ostrzezeniom Lugarda. W porcie wciaz znajdowaly sie jakies urzadzenia obronne, jednak tak naprawde nikt nie wiedzial, jakim zniszczeniom ulegly podczas wielu lat bezczynnosc. Inne pytanie brzmialo, czy garstka weteranow, ktorzy powrocili z wojny, zdola je uruchomic. Na razie nie podjeto jednak zadnych dzialan w tym kierunku. Wyruszyliśmy wczesnym rankiem na trzy dni przed Dwunastym Dniem - wszyscy Wedrowcy w komplecie: Dagny i Dinan Norkot, Gytha, Sabian Drax, Emrys Jesom, Ifors Yuhlan, Pritha, Thad oraz Annet. Wiezliśmy ze soba sprzęt do rozbicia biwaku na pustkowiu, gdyz szykowala sie prawdziwie dluga wyprawa do krainy lawy. Helikopter zaladowany byl do granic mozliwosci, dlatego, poza krotkimi przelotami nad terenem, ktorego nie dalo sie przebrnac na kolach, wiekszosc drogi pokonalismy tym razem na ziemi. Nic wiec dziwnego, ze kiedy dotarlimy do Butte, byla juz godzina dziewiata. Lugard czekal na nas od dawna, siedzac w kokpicie maszyny, ktora kiedys byla transporterem wojskowym. Widac bylo, ze niecierpliw sie, jednak pozostawil nam rozladowanie helikoptera, a sam zniknal na chwile w osadzie. Kiedy wyszedl na zewnatrz, drzwi Butte zatrzasnely sie za nim z glosnym trzaskiem. Odwrocilem sie w jego kierunku akurat w pore, by zobaczyc, jak chowa do kieszeni metalowa plytke, bedaca kluczem do Butte. Czyzby wiec obawial sie nieproszonych gosci podczas swej nieobecności? Nie zastanawialem sie jednak dlugo nad tymi srodkami bezpieczenstwa.

W transporterze byloby ciasno, gdyby miejsca zajelo tylu doroslych, ilu zgromadzilo sie tutaj Wedrowcow. Annet usiadla obok Lugarda, natomiast pozostali sposrod nas w przedziale pasazerskim. Kiedy ruszyliśmy, zaczalem rozgladac sie za bronia, ktora juz widzialem u kapitana, jednak olstra transportera byly puste. Jezeli zabral na te wyprawe jakas bron, starannie ja przed nami ukrywal.

Wszyscy zalozylismy okulary z przyciemnionymi szklami, gdyz slonce w krainie lawy bylo tak ostre, ze nie mozna bylo otwierac oczu bez tej oslony. Lugard prowadzil transporter pewna reka; pomyslalem, ze jechal juz ta droga wiele razy. Jednak nas zabieral w glab tego zapomnianego terytorium po raz pierwszy.

Siady na ziemi wskazywaly, ze niektore ze swoich wypraw Lugard podejmowal znacznie wiekszymi maszynami niz dzisiaj. Zaczalem zastanawiac sie, jakim jeszcze sprzetem dysponuje. Staral sie udawac obojetnosc i skrywana niepewnosc, czy znajdzie lodowa grota po tylu latach, jednak jego zdecydowane swiadczylo, ze bardziej jest pewny swego, niz pragnie to okazywac.

Teraz prowadzil transporter po wyboistym szlaku z taka predkoscia, jakby godzina naszego przyjazdu na miejsce wykopalisk byla juz ustalona, a spoznienie nie wchodzilo w gre. Jak wyjasnil nam juz wczesniej, groty z lawy byly podziemnymi tubami, do ktorych mozna bylo dostac sie tylko wtedy, jesli dokonalo sie wwiertu od gory. Juz na poczatku podrozy Snelismy wiele takich obiecujacych dziur. Dwukrotnie przejechalismy "mostki",

pro wizorycznie zalozone nad dziurami. Gdzeniegdzie widzielismy jasne porosty i polacie mchu. Zakrecalismy tak wiele razy, ze gdyby w transporterze nie bylo kompasu, nie wiedzialbym, czy Butte lezy za nami, czy przed nami. W krainie lawy trudno bylo o jakiegokolwiek punkty orientacyjne. Jeszcze nigdy na Beltane nie widzialem takiej dziczy. Wszystkie kratery, stozki, koryta, w ktorych kiedys plynely strumienie, byly tak do siebie podobne, jakby komus celowo zalezalo, zeby smialek, ktory sie tutaj zapusci, stracil wszelkie poczucie orientacji.

Trudno takze bylo zachowac poczucie czasu. Zmeczeni upalnymi promieniami slonca, wszyscy odnosilismy wrazenie, ze wyjechalismy z Butte juz bardzo dawno. A jednak, kiedy pierwszy raz po nieskonczenie dlugim czasie popatrzyłem na zegarek, stwierdzilem ze zdumieniem, ze nie minela nawet godzina od naszego wyjazdu. Na zewnatrz przez caly czas nie widzielismy zadnych zwierzat, jednak byc moze to gasienice naszego transportera, glosno rozgniatajace grunt, ostrzegaly stworzenia, ktore pustkowiu obraly za swoja ojczyzne.

Okrazylismy wreszcie jakis sciety stozek, ktory mial wysokosc wzgorza o dosc ostrych zboczach i ujrzelismy, ze slady, ktorymi kierowal sie Lugard, prowadzi prosto do krateru, ponad ktorym rozposcieraja sie rusztowania wiezy wiertniczej.

Do srodka nalezalo opuszczac sie na malej, prowizorycznej platformie, wiec kapitan zasugerowal, bym zjechal na dol jako pierwszy, razem z Thadem.

Nie bylem speleologiem, dlatego zajalem miejsce na platformie z pewna obawa. Obaj z Thadem, ktory przykucnal naprzeciwko mnie, chwycilismy sie mocno prowizorycznych barierok. Pod naszymi nogami Lugard umiescil troche sprzetu i liny. Gdy zaczelismy zjezdzac poczulem jak moj organizm odmawia mi posluszenstwa. Dobrze, ze droga w dol trwala tak krotko... Swiatlo na dole bylo slabe, jednak nie bylo zupełnie ciemno. Mimo to w pierwszej chwili mrok wydal nam sie straszny, jakby chcial nas polknac.

Bylo tu znacznie chlodniej, niz na gorze, co przynioslo i mnie i Thadowi znaczna ulge. Przypomnialem sobie, ze ruch powietrza pod ziemia jest bardzo wolny i juz po kilku krokach stwierdzilem, ze temperatura znacznie spadla. Lugard sugerowal, zebysmy zabrali ze soba grube plaszcze. Teraz, drzac, zrozumialem wreszcie, dlaczego.

Platforma odbyla kilka jazd w dol i w gore, zabierajac za kazdym razem dwoch pasazerow, narzedzia i zapasy zywnosci. Wszelkich narzedzi bylo naprawde mnostwo; Lugard opuscil w dol nie tylko to, co przywiezlismy ze soba z Butte, ale rowniez to, co czekalo na nas na stosie przed wejciem do groty.

Wreszcie sam dolaczyl do nas, nie korzystajac z platformy, lecz wykorzystujac line, przy czym uczynil to z taka latwoscia, ze nikt z nas nie mial watpliwosci, iz zjezdzal juz po niej wiele razy. Platforma pozostala w grocie. Podejrzewalem, ze tak wlasnie musi byc ze wzgledow bezpieczenstwa. Jak dotad, kapitan nie wspominal nic o ewentualnej kolejnej

wizycie ludzi ze statku, jednak mogli przecież zabezpieczyć się zarówno przeciwko nim, jak i przeciwko jakimkolwiek innym niespodziankom. Poza tym byłem niemal pewien, że nie zabralby tutaj dzieci, gdyby spodziewał się jakiegokolwiek poważnego niebezpieczeństwa.

Stanawszy wreszcie w grotcie, Lugard włączył ręczną lampkę, by wskazać nam dalszą drogę. W grotach było tak zimno jak w komorach do zamrażania. Powierzchnie ścian pokryte były lodem. Nic dziwnego; Lugard szukał przecież grotę lodową. Tymczasem w miarę, jak oddalaliśmy się od Wejścia, coraz bardziej odczuwaliśmy przenikliwy chłód.

Po kilkunastu krokach Lugard skierował promień lampy do góry. Spojrzawszy w tym kierunku, ujrzelismy na powierzchni, tak nisko, że wystarczyło wyciągnąć rękę, aby tego dotknąć, jakąś białą masę. Trwał na niej bezustanny ruch.

-Dziękuję muchy! - zawołała Gytha.

Drobne głowy o długich dziobach kołysały się i podskakiwały. Tak, były to dzikie muchy w gniazdach z wyschniętych fragmentów roślin i błota. Latały tylko w nocy i to wielkimi gromadami, atakującymi wszelkie przeszkody, pojawiające się na ich drodze. Były to szalone stworzenia, zdolne do zniszczenia dosłownie wszystkiego w poszukiwaniu żywności.

Na szczęście, gniazda znajdowały się blisko wejścia i szybko je minelismy. Korytarz zaczął stopniowo prowadzić w dół, na szczęście pod łagodnym kątem, dzięki czemu dalszy marsz nie stanowił trudności. Zaczęłam się rozglądać, chcąc upewnić się, czy tak jak podejrzewałem, maszyny Lugarda już tu pracowały. Jednak ani grunt, ani ściany nie zawierały żadnych śladów, ani zadrapan.

Na polecenie kapitana zrobiliśmy użytek z jedynej urzędnicy, które zdawało się mieć jakąś wartość w tym kamiennym tunelu: małego wózka, na który założyliśmy większość narzędzi, jakie wcześniej opuściliśmy do grotę. Nasze własne zapasy wszyscy jednak ponieśliśmy w plecakach.

I znów szliśmy mniej więcej godzinę. Dopiero po tym czasie Lugard zatrzymał pochód i zaproponował odpoczynek. Sam schował pakunki z wózka, postawił je pod ścianą i odwrócił się w kierunku, z którego przybyliśmy, jakby chciał powrócić do punktu wyjścia i zabrać resztę bagażu. Jednak nie miał już na to najmniejszej szansy.

Przez ściany grotę przebiegła głucha wibracja. Ziemia wokół nas zaczęła drzeć, sprawiając wrażenie, jakby świat, który dotąd uważaliśmy za stabilny i bezpieczny, nagle okazał się groźny i zdradliwy. Usłyszałem szalone krzyki przerażenia i w świetle lampy zauważyłem rozszerzone strachem oczy i otwarte usta dzieci, które nagle znalazły się w śmiertelnym zagrożeniu. Jakies drobne ciało przywarło do mojego i instynktownie przyciągnąłem Iforsę bliżej do siebie. Zrozumiałem, że chłopiec traktuje mnie jak ostatnią nadzieję na ocalenie.

Po chwili nastąpił drugi wstrząs, jeszcze gorszy od poprzedniego. Poteżne bryły lawy zaczęły odpadać od ścian, z grzmiotem, który zagłuszał wszystkie inne dźwięki. W grocie zaczął unosić się pył, niemal uniemożliwiający oddychanie.

-Uciekajmy! - zobaczyłem jak Annet, potykając się, próbuje uciekać w kierunku, z którego przybyliśmy. Sylwetka kogoś wyższego od niej, Lugarda, stanęła na jej drodze, próbując ją powstrzymać, ale, świadomie, czy też nie, Annet wyślizgnęła się kapitanowi i nadal nawoływała: - Uciekajmy! Tedy, dzieci!

-Złap ja! - zawołał do mnie Lugard, akurat w chwili, kiedy trzeci wstrząs pchnął mnie na którąś ze ścian. Ifors wciąż przywierał do mnie z siłą, jakiej w normalnych warunkach nigdy by z siebie nie wykrzesał.

Wolną ręką sięgnąłem do zapiecia mojego plecaka i tak długo szarpalem nim, aż uwolniłem się od ciężaru. Ujrzałem Thada, siedzącego na ziemi z wyrazem całkowitego osłupienia na twarzy.

-Za nią - wysapał Lugard. - Lawa w szybie wejściowym jest najluzniejsza. Ona może zginąć, jeśli tam dojdzie...

Próbowałem powstać na nogi, jednak ostatni wstrząs sprawił, że posypały się na niego narzędzia ze stosu i było po prostu niemożliwe, by sam się spod nich wydostał.

Uwolniłem się wreszcie od Iforsa. Trzymał się mnie z taką siłą, że wydarł mi z płaszcza spory kawałek materiału.

-Thad! Zajmij się nim! - zawołałem. Popchnąłem chłopca w jego kierunku. Dopiero wtedy rozejrzałem się dookoła. Na szczęście, żaden z Wedrowców nie sprawiał wrażenia mocno poszkodowanego. Gytha kłęcząc przy lampie, próbując rozjaśnić jej światło. Prima kucnęła obok niej. Emrys krecił głową i przecierał oczy, do których wpadło zbyt dużo kurzu. Zauważyłem też Sabiana... Brakowało jedynie bliźniaków i Annet.

Przestraszyłem się. Być może dotra nawet do szybu wejściowego i tam dopiero spotka ich śmierć. Bałem się tak samo jak Annet, ale jeśli zmierzała teraz prosto ku nowemu śmiertelnemu niebezpieczeństwu - a przecież Lugard znalazł tutaj wszystkie zagrożenia - należało ją powstrzymać. Nie byłem w stanie biec, jednak ruszyłem w kierunku szybu tak szybko, jak tylko byłem w stanie, co chwile wykrzykując jej imię.

Była słabsza, mniej wytrzymała ode mnie, nie wątpiłem więc, że szybko ją dogonię. Nie musiałem iść daleko. Annet zatrzymał wielki odłam lawy, który niemal zamknął tunel. Ponad skałą, wysoko w górę, widac było jasne niebo. Kiedy tam dotarłem, dziewczynka opierała się o ścianę i spoglądała właśnie ku niebu, ku wolności, która znajdowała się poza zasięgiem. Z ulgą zauważyłem również przytulone do niej bliźniaki.

-Wracaj - powiedziałem. - Lugard mówi, że im bliżej szybu, tym jest niebezpieczniej. -

Szarpnalem ja za ramie. Sprobowała wyrwac sie, jednak bylem od niej silniejszy i pociagnalem ja w swoim kierunku. Nie moglem jednak dowlec jej w ten sposob do reszty Wedrowcow. A przeciez w kazdej chwili mogli nastapic kolejny wstrzas.

-Uciekajmy! - tym razem krzyknalem. Probowała wyrwac sie w przeciwnym kierunku, mimo ze droge miała przeciez zablokowana.

-Musimy uratowac dzieci - powiedziała drzacym glosem.

-Tak, ale nie tedy. - Przycisnalem ja ramieniem do sciany, a moja twarz znalazła sie w odleglosci zaledwie kilku cali od jej twarzy. - Lugard mowi, ze droga powrotna jest zbyt niebezpieczna. On zna te groty i wie, ze sa tutaj jeszcze inne wejścia...

-Lugard! - wykrzyknela Annet ze zloscia. - On nie miał prawa zabierac nas tutaj, narazac dzieci...

-Przeciez nie mogli przewidziec, ze zadrzy ziemia. Daj mu spokoj, teraz najwazniejsze jest, zebysmy wydostali sie stad. Tam gdzie znajduje sie reszta grupy, jest glebiej i bezpieczniej. - Sam nie bardzo wierzyłem w to, co mowilem do Annet.

po dlugiej chwili milczenia pokiwała niechetnie glowa i dobrowolnie ruszyła za mna. Wzialesm na rece Dagny, ktorej drobnym ciałem wstrzasaly dreszcze. Nie plakala, jedynie ciezko dyszala, a oczy miała szeroko otwarte. Była tak przerazona, ze nic z tego, co w tej chwili dzialo sie wokol, nie docieralo do niej. Annet poprowadzila jej brata.

Zanim dotarlismy do pozostalych Wedrowcow, grota znów wstrzasnela seria drgan. Przywarlismy do sciany, przytrzymujac blizniaki pomiedzy nami, chroniac je naszymi ciałami tak dokladnie, jak tylko bylismy w stanie. Skaly odrywaly sie nie tylko od sklepienia, ale tez toczyly po pochylym korytarzu. To cud, ze zadna w nas nie uderzyła. Gdy wreszcie nastapila cisza, nowa obawa zagniezdzyła sie w mojej glowie. Znajdowalismy sie na terenie wulkanicznym. Czy przypadkiem dzisiejsze wstrzasy nie zostaly spowodowane jakas podziemna erupcja i czy nie zwiastuja kolejnej wielkiej katastrofy? Uznałem, ze Annet miała racje w swej instynktownej ucieczce, w pragnieniu, by jak najszybciej znalezc sie na powierzchni planety.

-Vere! Annet! - odglosy nawolywania zwielokrotnionym echem odbijaly sie od scian groty.

Ostroznie wstalem na nogi, obawiajac sie, ze nawet najmniejszy ruch wywola nowe wstrzasy, tak niepewny stal sie nagle nasz swiat.

-Tu jestesmy! - zawolalem. Moj glos miał chrapliwe brzmienie, gdyz kurz, ktorego sporo sie nalykalem, wysuszyl moje gardlo i usta.

Annet rowniez wstala. Znow zaopiekowalem sie dziewczynka, podczas gdy Annet poprowadzila chłopca. Ostroznie, krok po kroku, ruszyliśmy w kierunku grupy. Wreszcie

dotarliśmy do nich. Lugard siedział na wozku, z wyciągniętą przed siebie prawą nogą. Masował ją obiema rękami; bez wątpienia bardzo go bolała. Gdy zobaczył nas całych i zdrowych, w jego oczach błysnęła wyraźna ulga.

-Sięgnijmy do zestawu pierwszej pomocy - powiedział, nie przerywając swego masażu. - Daj Annet i bliźniakom po jednej zielonej tabletki, to im pozwoli wyjść z szoku.

Zapewne zdążył już poczęstować tabletkami pozostałych, gdyż Ifors siedział wygodnie, oparty o jakąś belkę, Pritha spokojnie piła wodę, a Thad próbował uporządkować porozsypywane narzędzia. Pomagali mu Emrys i Sabian. Gytha kleczała przy Lugardzie, z naczyniem w dłoni, gotowa podać mu wodę do picia.

Annet stanęła dokładnie przed nim.

-Jak się stąd wydostaniemy? - zapytała. - Dzieci...

-Zapewne w tej chwili są bezpieczniejsze tutaj niż na powierzchni.

-Tutaj? - zawołała z niedowierzaniem. - Przecież co chwila jakieś skały leca nam na głowy!

-Przenieśmy się w jeszcze bezpieczniejsze miejsce. Zaraz ruszamy.

-Czy takie trzęsienie ziemi - zapytałem Lugarda - nie zwiastuje aktywności wulkanicznej?

-Trzęsienie ziemi? - powtórzył Lugard. Jego usta wygięły się w grymasie bólu. - Ty biedny... - zaczął, ale zaraz poprawił się: - To nie było trzęsienie ziemi.

-Nie? - Annet przykucnęła przed Lugardem, chcąc spojrzeć mu w oczy. - Z czym więc mieliśmy do czynienia? Co to takiego było?

-Rozdzielacze.

Nogi ugięły się pod mną, chociaż Annet zapewne nie zrozumiała znaczenia tego słowa. Zadrzałem równie mocno jak Dagny, wciąż przytulona do mnie.

Rozdzielacze - niewinne określenie śmierci i takiego zniszczenia, jakiego Beltane jeszcze nie widziało. Wiedziałem jednak, że w przeszłości rozdzielacze zamieniały w pustkowia planety równie spokojne i szczęśliwe jak nasza.

-Uchodźcy? - zapytałem. Pomyslałem, że tylko oni na tej planecie mogli podjąć się czegoś tak okrutnego.

-Zapewne. - Lugard przerwał masaż. Wstał, jednak widac było, że wciąż cierpi. Ból wprost utrudniał mu oddychanie, kiedy stawiał prawą stopę na ziemi.

-Co to znaczy? - zapytała Annet głośno i Gytha przysunęła się bliżej nas. - Co to są

dystributory?

-Bomby. - Thad uprzedził odpowiedź Lugarda. Zauważyłem, że w tej chwili kapitan był zły na siebie za ujawnienie prawdy, chociaż przecież dobrze się stało, że poznali ja przynajmniej najstarsi spośród nas.

-Bomby! - Annet nie uwierzyła. - Tutaj? Na Beltane? Dlaczego? Kto rzuciłby tutaj bomby?

-Uchodźcy - odparłem. - Jaka jest szansa... - zacząłem mówić, ale w porę ugryzłem się w język. Pomyślałem bowiem w tej chwili o tych, których wybuchy zastały na powierzchni ziemi. Z wyrazu twarzy Thada odczytałem, że myśli o tym samym. A jednak uznałem, że najpierw musimy dać sobie radę z własną sytuacją, czułem się zobowiązany do wyprowadzenia z groty dzieci, które z taką bez troską tutaj przywiodłem. - Czy pan to wie, czy podejrzewa? - zwróciłem się wprost do Lugarda.

Lugard powoli pokiwał głową.

-Podejrzewałem od samego początku. Wczoraj wieczorem upewniłem się.

-Czy podpatrywał ich pan z pokoju dowodzenia?

Znow skinał głową, a ja cicho jęknąłem. Skoro Lugard wiedział, że nastąpi atak, sciągnął nas tutaj specjalnie, ponieważ...

Jakby czytał w moich myślach.

-To jest w tej chwili najbardziej bezpieczne miejsce na Beltane... albo w Beltane. Mówiłem ci już chyba, że jeszcze przed wojną drążyliśmy tu schrony. Przez ostatnie dni ponownie je otwierałem. Gdybym tylko miał więcej czasu, gdyby ci naiwni głupcy z Komitetu tylko mi uwierzyli, nikomu nic by się nie stało. W końcu, widzicie, my jesteśmy bezpieczni...

-Nie! - Annet zakryła usta brudnymi dłońmi, rozsmarowując kurz po swoich policzkach. - Nie wierze w to! Dlaczego ktokolwiek mógłby tak postąpić? Daliśmy im dom...

-A im pewnie chodziło jedynie o baze - powiedział Lugard. W jego głosie slychac bylo zmeczenie, byl jakby zrezygnowany. Teraz, gdy sprawdzily sie wszystkie jego najgorsze prognozy, opuszczala go dotychczasowa energia. - Sadze, ze w glosowaniu sprzeciwiono sie przyjeciu dwoch nowych statkow, lecz za pozno; nasi intruzi postanowili sami wziac to, czego sie im odmawia.

-Dokad teraz pojedziemy? - przerwałem cisze, która zapadła po ostatnich słowach Lugarda.

-Przed siebie - odparł. - Niedaleko przed nami znajduje się centralny schron.

Spodziewalem sie, ze Annet zaprotestuje, jednak milczala. Z ciezkim westchnieniem podniosla sie na nogi i wziela do reki zestaw do udzielania pierwszej pomocy. Lugard wyciagnal reke.

-Zrob mi zastrzyk - powiedzial. - Potem zapakujemy wszystkie nasze zapasy na wozek. Jeszcze przez jakis czas bedziemy mogli go uzywac, potem wszystko trzeba bedzie niesc na wlasnych grzbietach.

Annet zajela sie blizniakami, a wszyscy pozostali zaczeli zaladowywac wozek, chociaz nie mialo to wiekszego sensu. Lugard poruszał sie z takim trudem, ze nalezalo sie spodziewac, iz samodzielnie nie przejdzie zbyt dlugiego odcinka. Do dlugiego marszu nie byly tez przygotowane blizniaki, przynajmniej w szoku, w jakim obecnie sie znajdowaly. Bylem przekonany, ze miejsce na wozku powinni zajac przede wszystkim oni, a dopiero potem powinniśmy sie martwic o transport zapasow i narzedzi.

Razem z Thadem pociagnelismy wozek, a Gytha poprowadzila pochod u boku Lugarda, podtrzymujac i pomagajac mu, gdyz szedl z wielkim trudem. Annet niosla Dagny, ktora zasnela pod wplywem srodkow uspokajajacych, a Emrys i Sabian prowadzili pomiedzy soba Dinana. Ifors szedl obok wozka, poprawiajac ulozenie pakunkow, gdy te grozily spadnieciem na ziemie.

Bardzo czesto zatrzymywalismy sie. Podczas jednego z postojow namowilem Annet, by polozyla Dagny na wozku. Uczynila to, jednak sama zabrala z niego jeden z pakunkow, aby go niesc. Byla juz spokojna i nikogo nie winila o to, co sie stalo. Mialem watpliwosci, czy wierzy w wyjasnienia Lugarda, dotyczace przyczyn naszej niebezpiecznej przygody. Podejrzewalem, ze nie moze doczekac sie wyjscia na powierzchnie planety, gdy wreszcie bedzie mogla udowodnic, ze kapitan pomyllil sie.

Dwukrotnie nasz korytarz krzyzowal sie z innymi, jednak Lugard bezblednie wskazywal wlasciwa droge. Pocil sie, a od potu lsnila jego twarz i koszula, ktora mial zupełnie mokra. Oddychal plytko, szybko, lacyjwie. Postoje nastepowaly jednak na moja prosbe; on sam za nic nie przyznalby sie, ze marsz sprawia mu bol niemal nie do zniesienia.

Moj zegarek wskazywal, ze znajdujemy sie pod ziemia dwie godziny, gdy zrobilismy dluzsza przerwe na posilek. Patrzylem, jak Annet wyciaga paczki z prowiantem i staralem sie odgadywac jej mysli. Jeszcze nie wierzyła w to, co sie jej przydarzylo; przeciez zaledwie przed kilkoma godzinami w domu, w Kynvet, pakowala chleb i owoce w folie, zartowala...

Wlasnie... Czy Kynvet jeszcze istnialo? Lugard tylko udawal, ze je, za to dzieci byly juz glodne i z apetytem zjadly wszystko, co im Annet podala. Zaczynalem zastanawiac sie, czy nie powinniśmy przypadkiem oszczedzac zywnosci. W koncu, kto wie, jak dlugo bedziemy musieli pozostac w tych podziemiach?

A jesli wyjdziemy na zewnatrz, co zastaniemy? Jezeli uciekinierzy calkowicie zapanowali

nad planeta, co wtedy - zastanawiałem się, chociaż umysł bronił się przed tą myślą. Co się z nami stanie, jeżeli ukazemy się im jako jedyni, którzy ocalili z masakry? Chociaż, Lugard musiał widzieć szansę na nasze przetrwanie, inaczej nigdy nie ukrywałby nas tutaj.

Odłożywszy ostatecznie jedzenie, kapitan wydobyl z faldow tuniki swoja fujarkę. Annet poruszyła się obok mnie niespokojnie, jakby chciała zaprotestować przeciwko muzyce, jednak ostatecznie nie odezwała się.

Zagrał więc Lugard w glebiach ciemnej groty, w podziemiach naszego świata, wobec którego nie mieliśmy nawet pewności, czy istnieje. Natychmiast ogarnęła nas magia jego muzyki. Wypływało z niej ukojenie, spokój i nadzieja. Czulem, że dźwięki fujarki uspokajają mnie, moje wirujące myśli z każdą chwilą męczyły mnie coraz mniej, powracała do mnie wiara w szczęśliwe zakończenie niebezpiecznej przygody.

Na zawsze zapamiętam te godziny, chociaż nie potrafiłbym powtórzyć żadnej z melodii, granych przez Lugarda. Pamiętam jednak poczucie ciepła i rozkoszy, jakie we mnie zostawiły i żałuję, że nigdy ich już nie zaznam od tej magicznej muzyki. Tego pamiętnego dnia dodała mi ona jednak sił, tak potrzebnych, by stawic czoło najgorszemu nieszczęściu, jakie człowiek może zgotować człowiekowi.

Lugard nieznanym nam zmysłem wyczuł zbliżające się zagrożenie, bowiem w jednej chwili odłożył fujarkę, zrywając zaklecie, które niosło tak wielkie ukojenie. Usłyszeliśmy zupełnie inny dźwięk, nie mający nic wspólnego z muzyką.

-Cofnijcie się pod sciany! - krzyknął.

W jednej chwili wszyscy zapadliśmy pod scianami, jakby krzyk kapitana był spychaczem, który popchnął nas w ich kierunku. Prawie wszyscy...

-Dagny! - zawołała Annet.

Dziewczynka spała spokojnie na kocach, rozłożonych obok wózka. Zagrożenie było już zbyt wielkie, żeby ktokolwiek z nas odważył się jej pomóc. A jednak Lugard nie przestraszył się. Ujrzałem, jak pelźnie w jej kierunku, ściągają z kocow i odpycha w naszym kierunku. Chciał ruszyć jej śladem, jednak zraniona noga odmówiła mu posłuszeństwa. Potknął się, przewrócił i w tej samej chwili, zanim ktokolwiek z nas zdolał zareagować, za jego plecami pojawiła się wielka skala, tocząca się po stromym korytarzu. Nie byliśmy w stanie mu pomóc, kiedy toczyła się po jego ciele, niczym potężna fala na wezbranej rzece.

Rozdział szosty

Ta sama skala przewróciła lampę i po chwili ogarnęła nas ciemność, w której slychac było nasze pokasywania, gdyż w gardłach mieliśmy pełno kurzu. Zaczalem nerwowo szukać latarki, która zawsze nosilem zatknęta przy pasku. Po chwili ją włączyłem. Zamiast jasności specjalnej lampy do oświetlania podziemi, teraz ciemność rozświetlił tylko słaby promień.

To, co w tym swietle zobaczyłem, spowodowało, że natychmiast wyłączyłem latarkę. Nasz ciezki, załadowany wozek zadziałał jak zaporę, gdyż skala, która do nas dotarła z góry, zatrzymała się właśnie na nim. Impet jej uderzenia był taki, że pękła na kilkadziesiąt części, przy okazji niszcząc większość naszych zapasów. Przy wozku utworzyła się gigantyczna góra kamieni, zmieszanych z naszymi narzędziami i zapasami. A Lugard... Lugard z całą pewnością znajdował się pod tym zwalowiskiem.

-Gytha! Dinan! Thad! - Głos Annet, tak słaby, że ledwie rozróżniałem poszczególne imiona, zabrzmiał zza moich pleców. Nigdy nie zapominająca o obowiązkach Annet robiła zbiorke, sprawdzała, czy wszyscy żyją.

Po kolei wszystkie dzieci odpowiadały jej. Ja jednak nie słuchałem tego. Zaczęłem rozgarniać górę, która utworzyła się przed wozkiem; już po chwili dołączył do mnie Thad. Musielismy pracować bardzo spokojnie i powoli, gdyż każdy nieopatrny ruch mógł pociągnąć za sobą lawinę. Wkrótce dołączyła do nas Gytha, również oświetlając korytarz osobistą latarką, i Emrys. Dzięki dwóm latarkom widoczność mieliśmy już dobra. Annet odbierała ode mnie kamienie, które odkładała na boku. Pozostali pracowali w podobnie zorganizowanych parach.

Milczeliśmy, kaszłając jedynie od czasu do czasu, gdyż unoszący się pył drażnił nasze gardła. W obawie przed kolejnymi wstrząsami musielismy pracować bardzo powoli, gdyż od tempa, w jakim uporamy się z górą, która zasypała Lugarda, zależał jego los.

Wreszcie dotarliśmy do niego. Okazało się, że największy spośród kartonów z narzędziami ułożył się tak, że kapitan nie został całkowicie przygnieciony. Karton oparł się o dwie belki, pomiędzy którymi znalazł się Lugard i w ten sposób ocalił mu życie.

A jednak bałem się go dotknąć, gdy go ujrzałem, spoczywającego twarzą do dołu i nie reagującego na nasze słowa. Wtedy nie byłem jeszcze pewien, czy żyje. Nie wydawał żadnego dźwięku i bałem się, że już go straciliśmy. Szybko oczyszciliśmy z gruzu przestrzeń wokół niego, a Annet rozwinęła obok kilka koców. Z trudem przeniesliśmy go na nie, kładąc go tym razem twarzą do góry, dodatkowo podkładając zrolowany koc pod jego głowę.

Oczy miał zamknięte, a z kącika ust wyciekła mu cienka stróżka czegoś ciemnego. Nie jestem medykiem, a moja wiedza w tym zakresie ograniczała się wówczas do umiejętności udzielania pierwszej pomocy ofiarom wypadków. Byłem jednak pewien, że Lugard ma polamane kości i pewnie jeszcze jakieś obrażenia wewnętrzne. Annet szybko otworzyła zestaw pierwszej pomocy. Szczęśliwie nie uległ żadnym zniszczeniom; znajdował się pod ścianą dokładnie w tym miejscu, w którym kapitan przetrwałby niebezpieczeństwo, gdyby nie skoczył na ratunek Dagny. Jednak w zestawie właściwie nie było środków, które mogłyby mu pomóc. Lekarstwa mogły tylko na krótki czas usmierzyć ból rannego. Każdy ruch mógł poza tym być dla niego niebezpieczny. Próba przeniesienia Lugarda na wózek mogła zakończyć się jego śmiercią, a jednak w tym widziałem jedyną szansę ocalenia go.

-Oproznij wozek - polecilem Thadowi. - Potem rozbierz go na czesci.

Pokiwal glowa i nakazal pozostalym chlopcom, by pomogli mu wykonac zadanie. Annet zrosila twarz kapitana woda, po czym przemyyla ja kawalkiem materialu. Pod wplywem jej dotyku zolnierz otworzyl oczy. Zalowalem, ze odzyskal przytomnosc. Rany, ktore odniosl, z pewnoscia sprawialy mu ogromny bol.

Ujrzałem, że poruszają się jego usta i pochylilem się nad nim.

-Niech pan nie próbuje mówić...

-Nie... - wyszeptał z trudem. - Mapa... w wewnętrznej, zaszytej kieszeni... Zabierz ją. Ona was zaprowadzi w bezpieczne miejsce...

W tym momencie jego ciało zwiotczało, a z ust popłynęła ciemna piana, która Annet natychmiast wytarła.

Zbadalem puls, dotykając palcami jego szyi. Bałem się dotknąć jego klatki piersiowej. Kapitan żył, wciąż żył...

Nie wierzyłem jednak, że jest w stanie przetrwać próbę przetransportowania na wozek. Szczególnie groźna mogła okazać się dla niego próba przenoszenia na kocu. Wcześniej wspominał, że przed nami znajdują się jakieś zapasy. A jeśli wśród nich znajdowały się środki medyczne? Przecież, wiedząc o niebezpieczeństwie, zapewne spróbował uratować wszystko, co dało się wynieść z Butte. W takim wypadku rzeczywiście środki, które znajdziemy, mogą mu pomóc. Uchwyciłem się tej myśli, mimo że rozsadek podpowiadał mi, że Lugarda może ocalić jedynie szybka hospitalizacja.

Ale przecież nie można było siedzieć z założonymi rękoma i czekać na jego śmierć, skoro naszym zadaniem była teraz walka z agresorami. Annet była najwyraźniej tego samego zdania, gdyż popatrzyła na mnie znacząco.

-Zabierz te mapy. Może dzięki temu go uratujemy... - Jakby wyczuła moje niezdecydowanie. - Nic innego nie możemy dla niego zrobić. Teraz nie możemy go ruszać, a tam może znajdziemy nosze i inne rzeczy...

-A jeśli nastąpią kolejne wstrząsy?

„ Oślonimy go jakos na razie - odparła, wciąż zajęta scieraniem piany z jego twarzy. - Tyle jesteśmy w stanie dla niego zrobić. Zostaniemy tu przy nim. Nie możemy go zostawić a on nie może czekać wiecznie na pomoc. Ty, Vere, musisz ją uzyskać. Musisz coś znaleźć, odpowiednie lekarstwa i może jakiś wygodny wozek? Wez mapę i ruszaj w drogę, Vere, sam.

Z najwyższą delikatnością przesunelismy Lugarda pod sciane. Tak ostrożnie, jak tylko

potrafilem, przeszukałem jego tuniki i wyciągnąłem z niej złożoną na cztery części plastmapę. Gdy poswieciłem na nią latarkami, ujrzałem, że pewne szlaki zaznaczono na niej ciemnym atramentem; z całą pewnością używano jej w warunkach ograniczonej widoczności. Przez długą chwilę przyglądałem się mapie, zanim zlokalizowałem tunel, w którym właśnie się znajdowaliśmy. Gdy tylko go znalazłem, stwierdziłem ze zdumieniem, że droga, która się posuwamy, jest zadziwiająco prosta. Zapewne też bezpieczne miejsce, do którego zamierzał zaprowadzić nas Lugard, znajdowało się już niedaleko.

Thad tymczasem odnalazł lampę i zajął się jej naprawą. Przystosowana była do używania w trudnych warunkach, dlatego jej uszkodzenia nie okazały się poważne i po chwili znów oświetlała go jasnym blaskiem. Podniosłem jedną z manierek, chcąc się napić, lecz rozśadek nakazał mi hamować pragnienie tak długo, jak to tylko było możliwe. Postanowiłem oszczędzać wodę, tym bardziej, że okazało się, iż zbiornik na wozku wypełniony jest tylko w połowie i na dodatek przecieka. Annet czym prędzej zaczęła poszukiwania wszelkich dostępnych naczyń, by uratować przynajmniej część jego zawartości.

Zanim wyruszyłem w samotną wędrowkę, długo stałem nad Lugardem. Wciąż oddychał, a przecież tak długo dopóki człowiek żyje, należy mieć nadzieję... Uczępiwszy się tej myśli jak ostatniej deski ratunku, udałem się w drogę. Lampa jeszcze przez chwilę oświetlała drogę przede mną, ale gdy korytarz groty skreślił, pozostała mi już tylko latarka. Wkrótce doszedłem do rozgałęzienia i, zgodnie ze wskazaniem mapy, skierowałem się w bok.

Groty mają swoich mieszkańców, których populacja różni się, zależnie od głębokości, wilgotności, budowy i tym podobnych czynników. Widywałem w laboratoriach na Beltane ślepe stworzenia, które wydobyto z wiecznych ciemności dla celów badawczych. Mielismy nawet mały departament biospeleologii, jednak kiedy zmarł Yain Takuat, nikt już nie zastąpił go w jego specjalności.

Jednak istoty, które mieliśmy w laboratoriach, pochodziły z wilgotnych grot, uformowanych przez wodę, tymczasem w tej chwili znajdowałem się w całkowicie innym środowisku. Uwaznie badałem latarką cały teren przed sobą, chcąc zawczasu zauważyć wszystko, co nie było twarde, martwa skala. Nie miałem ochoty otrzeć się o żadną podziemną dziurkę, ani o żaden ślad, czy brud, pozostawiony tu przez żywą istotę.

W pewnej chwili promień mojej latarki natrafił na kości i skóra, leżące pod ścianą. Przystanąłem nad znaleziskiem. Moje pierwsze przeczucie, na szczęście, nie sprawdziło się; nie były to szczątki ludzkie, lecz wysuszone resztki po jakimś pryszczorogu, o wiele większym niż ten, którego widziałem na ekranie w Butte. Pryszczorogi potrzebowały jednak do życia wiele wilgoci i tylko na takich terenach, wśród bagien i mokradel, można było się na nie natknąć. Po co więc ten osobnik przybył aż tutaj? Czy obecność tych resztek mogła dowodzić, że gdzieś blisko znajduje się woda?

Przeszedłem jeszcze kilkadziesiąt kroków i dotarłem do miejsca, o którym Lugard

powiedział, że nie przebedzie go wozek. Niemal gładka nawierzchnia tunelu, opadająca w miarę łagodnie w dół, niespodziewanie zastąpiona została przez wielkie polki skalne, tworzące gigantyczne schody. Różnica pomiędzy poziomami kolejnych polek znacznie przekraczała wzrost dorosłego człowieka. Zdesperowanym wzrokiem po natrzyłem na tę przeszkodę. Przecież nigdy nie przetransportujemy wtedy rannego Lugarda, zdani na własne siły...

Pomyślałem o noszach, o jakiejś skrzynce, pudle. Czy będzie można umieścić go w czymś takim i po kolei opuszczać? Desperacja podpowiadała mi różne pomysły, jednak czy którykolwiek z nich możliwy był do zrealizowania? Zacząłem opuszczać się z polki na polkę, starannie patrzac pod nogi przy każdym zeskoku, gdyż ich powierzchnie pokryte były twardym gruzem.

Z każdą kolejną polką, na jaką opadałem, powietrze było chłodniejsze. W pewnej chwili trudne stało się dotykaniem dłońmi powierzchni polek, gdyż pokrywała je gruba warstwa szronu. Dotarłem jednak jakos do końca tych dziwnych schodów i zacząłem iść po osypisku, gęsto uściętym wielkimi kamieniami. Po chwili dojrzałem jednak wśród nich ścieżkę. Ciężkie kamienie odrzucone były na bok, dzięki czemu trasa mojej wedrowki znowu była wygodna. Pomyślałem o ogromnej pracy, jaką musiał tu wykonać Lugard. A może to nie on, może miałem przed sobą efekt działania tych, którzy przystosowywali podziemia na schrony wojenne, jeszcze zanim zamknięto Butte Hold?

Grota, do której trafiłem, z każdą chwilą coraz bardziej się rozszerzała. Jednak przez dłuższą chwilę patrzyłem jedynie pod nogi i nie zdawałem sobie z tego sprawy. W pewnym momencie skierowałem wreszcie światło na boki i to, co zobaczyłem, sprawiło, że zatrzymałem się w miejscu jak wryty. Ujrzałem trzy wielkie konstrukcje, niby bloki, wykonane z masy nieznanego mi pochodzenia, tak wysokie, że moje światło nie dosięgało ich szczytów. Pomiedzy nimi znajdowało się mnóstwo skrzyn, pudeł i pakunków. Tego składu nie mógł już stworzyć sam Lugard. Stanowił zapewne owoc planu, który nigdy nie został wcielony w życie. Do każdej konstrukcji prowadziły pojedyncze drzwi. Poza tym nie miały one żadnych innych otworów.

Jeżeli kiedykolwiek konstrukcje te były zamknięte, z pewnością pootwierał je Lugard. Zapewne użył tego samego klucza, czyli metalowej płytki, którą otwierał Butte. Pierwszy z bloków, który zwiedziłem, przeznaczony był na centrum dowodzenia, a może i centrum łączności. Miał trzy poziome, na każdym z nich znajdowały się dwa pomieszczenia. W jednym z nich natknąłem się na dwa biurka, mnóstwo skoroszytów, i stanowisko do pracy z komputerem. W kolejnym znajdowały się urządzenia i przyrządy niemal tak skomplikowane jak w pokoju dowodzenia w Butte Hold. Spróbowałem uruchomić system. Nie wiem, czego się spodziewałem - może tego, że dowiem się, co dzieje się na powierzchni planety; w każdym razie po kilku próbach zaniechałem moich wysiłków, niczego nie osiagnawszy. Na najwyższym poziomie konstrukcji znajdowały się cztery łóżka, ustawione w prostych pomieszczeniach mieszkalnych. Rozejrzawszy się po nich stwierdziłem, że nikt nigdy ich nie używał.

W kolejnym budynku, w pomieszczeniach zajmujących całe pietra, znajdowały się jedynie łózka i, na środku, wielkie stoły. W rogu wydzielone były małe pomieszczenia kuchenne, ze wszelkimi możliwymi urządzeniami do przygotowywania posiłków. Były tu nawet zlewy, a z kurków ciekła czysta, zdrowa, chłodna woda.

Trzeci budynek pełen był pulpitu kontrolnych, jednak z całą pewnością nie miały one nic wspólnego z łącznością. Przyjrzawszy się im bliżej, uznałem, że to miejsce miało służyć do odpalania rakiet i innych śmiercionośnych ładunków. Tych jednak zapewne nie zdążyli zainstalować na powierzchni planety, a jeśli nawet je zamontowano, to zamiary ich uaktywnienia spełzły na niczym w momencie, kiedy ostatni oddział Bezpieczeństwa otrzymał rozkaz wylotu w przestrzeń.

Powróciłem do bloku, w którym znajdowały się łózka. Ich ramy uznałem za jedyne konstrukcje, które mogłyby posłużyć jako nosze. Długo czasu straciłem, zanim oderwałem jedną z nich. Popatrzyłem na zegarek. Na powierzchni Beltane zapewne zapadł już zmrok, chociaż tutaj nie miało znaczenia, czy jest dzień, czy noc. Sprawdziłem, że wszystkie budynki mają urządzenia do ogrzewania powietrza. Wszystkie funkcjonowały znakomicie. Uznałem, że natrafiłem oto na lepsze schronienie, niż mogłem się spodziewać.

Rama, wyrwana z łózka, okazała się trudniejszym bagażem, niż przypuszczałem. Poza tym, nie znalazłem żadnej liny, która posłużyłaby do przywiązania do niej Lugarda i opuszczania go w dół podczas pokonywania schodów, złożonych ze skalnych polek. Zabrałem na wszelki wypadek kilka przescieradeł; być może da się je podrzucić na pasy, które zastąpią liny.

Wspinaczka w górę kosztowała mnie tyle sił, że, gdy wreszcie dotarłem na najwyższą półkę, oddychałem z ogromnym trudem. Moje nogi buntowały się przed dalszym marszem, jednak zdawałem sobie sprawę, że nie czas teraz na odpoczynek. Powoli ruszyłem w kierunku czekających na mnie Wedrowców.

Ramię ciągnąłem za sobą, co chwile zmieniając ręce. Podskakiwała na skalach, obijała się o ściany, co wywoływało taki hałas, że wkrótce rozboleła mnie głowa. Spieszyłem się, a jednak co jakiś czas musiałem przystawać i rozprostowywać palce.

Stanowczo zbyt długo trwało, zanim wreszcie wyszedłem z bocznego tunelu i, minawszy ostatni zakręt, ujrzałem przed sobą światło lampy. Ujrzałem przed sobą jakiś cień i po chwili promienie mojej latarki padły na Thada. Przypatrywał mi się przez chwilę z niedowierzaniem, po czym, od razu prawidłowo oceniwszy sytuację, chwycił za ramię. Ręce boleły mnie tak bardzo, że sam ja puściłem, pozwalając mu ciągnąć ją na ostatnim odcinku. Powoli ruszyłem za nim potykając się i wtedy dopiero zrozumiałem, jak bardzo jestem zmęczony.

-Jak sytuacja? - rzucił Thad przez ramię.

-W porzadku - odparlem z trudem. - A co z Lugardem?

-Wciaz zyje.

Kazalem mu powtorzyc, gdyz nie uwierzylem. Gdy jednak dotarlo do mnie, ze ciezko ranny Lugard mimo wszystko nie umarl, odzyla we mnie nadzieja; jesli tylko uda nam sie przetransportowac go do schronu, znajdziemy srodki medyczne, ktore pozwola mu odzyskac zdrowie.

Gdy dotarlismy do Wedrowcow, ciezko opadlem na kolana. Popatrzyłem na Lugarda. Annet szczelnie opatulila go kocem, pozostawiajac odkryta jedynie twarz.

-Przywiazcie go do ramy - powiedzialem. - A potem polozcie na wozek. Bedziemy musieli przetransportowac go do bazy, ktora dawno temu zalozyli ludzie z Bezpieczenstwa. Baza jest bardzo wygodna, sa tam nawet domy...

-Domy? - powtorzyla Annet jak echo. Jednoczesnie wyciagnela w moim kierunku kubek z ciepla zupa. Jej zapach byl tak wspanialy, ze natychmiast siegnalem po nia reka. I wypuscilbym kubek, gdyby Annet nie przytrzymała go, tak zdretwiały były moje palce. Przylozyla naczynie do moich ust, a ja pilem ozywczy plyn. Jego cieplo i witaminy w nim zawarte natychmiast zaczely odpedzac ode mnie zmeczenie.

-W domach znajduja sie rozne instalacje komunikacyjne i wojenne. Ale jest tez jeden blok mieszkalny - powiedzialem w przerwach pomiedzy kolejnymi lykami. - Mozemy tam na razie sie zatrzymac.

Annet popatrzyła na Lugarda.

-Wciaz jest nieprzytomny...

-Tym lepiej dla niego - odparlem. Taka byla bowiem prawda. Musial przebyc przeciez bardzo uciążliwa droge. Wolalem nie wyobrazac sobie, jaka bylaby dla niego tortura, gdyby przez caly czas byl przytomny. Jednak nie mielismy wyboru. Pozostanie na miejscu oznaczaloby dla niego nieunikniona smierc, natomiast w doskonale wyposazonym schronie mial jeszcze jakas szanse. Poza tym, wciaz grozily nam kolejne wstrzasy, chociaz Annet troche uspokoila mnie, mowiac, ze podczas mojej nieobecności nic groznego sie nie wydarzylo.

Z najwyzsza ostroznoscia ulozylismy Lugarda, opatulone go w koce, na ramie, po czym przywiazalismy go do niej pasami, ktore zrobilismy z przescieradel. W ten sposob sprawilismy, ze przez caly czas mogl spoczywac w miare nieruchomo.

Wszystkie zapasy, z wyjatkiem tego, co pomiescilo sie w naszych malych plecakach, zlozylismy pod sciana. Rame z Lugardem umiescilismy na wozku.

Wreszcie ruszyliśmy w drogę. Annet szła razem z dziećmi na czele, a dopiero za nimi jechał wózek, popychany i eskortowany przeze mnie i Thada. Gytha oświetlała lampą drogę przed wozkiem, dzięki czemu mogliśmy prowadzić go w miarę płynnie. Zdawałem sobie sprawę, że stan Lugarda może pogorszyć najmniejszy nawet wstrząs.

Annet co jakiś czas podchodziła do żołnierza i oglądała jego twarz. Wszystkie znaki świadczyły, że wciąż jest nieprzytomny. Miałem nadzieję, że tak jest naprawdę. Wreszcie dotarliśmy do rozgalezienia.

-Musimy wyjść na powierzchnię - powiedziała Annet niespodziewanie. - On potrzebuje pomocy medycznej. Doktor Symonz w porcie...

Jeżeli wciąż istnieje doktor Symonz i port, pomyślałem. Annet albo uparcie wierzyła, że Lugard nie miał racji i Beltane nie została zniszczona, albo pragnęła podtrzymać tę wiarę w innych dzieciach. Nie miałem zamiaru zastanawiać się teraz, co nią powoduje. Zbyt przejęty byłem dążeniem do schronienia naszej grupy w jedynym w tej chwili naprawdę bezpiecznym miejscu.

-Patrzcie! - zawołał nagle Emrys, wskazując na resztki po pryszczorogu. - Co to takiego?

-Pryszczorog, gluptasie - odpowiedziała mu Gytha. - Pewnie zablądził tutaj i zdechl. Ale skoro dotarł aż tutaj, pewnie gdzieś niedaleko jest woda...

Rozumowała podobnie jak ja.

-Woda jest niżej - powiedziałem. - Doprowadzają ją rury.

Jednak ta woda musiała przecież skądś pochodzić. A rury mogły być najlepszym drogowskazem, jeżeli kiedyś chcieliśmy wydostać się na powierzchnię planety.

Dotarliśmy wreszcie do skalnych schodów i Gytha poswieciła lampą w dół, by zorientować się, co nas jeszcze czeka. Usłyszałem pełen przerażenia jęk Annet.

-Przecież my go nigdy tam bezpiecznie nie spuścimy!

-Musimy - odparłem. Zresztą wszyscy dobrze wiedzieliśmy, że nie mamy innego wyjścia.

Patrzac w dół załowałem, że nie mamy lin. Zacząłem zastanawiać się, w jaki sposób opuścić Lugarda do schronu, jednak im dłużej o tym myślałem, tym większa miałem w głowie pustkę. Z rozmyślań wyrwał mnie niespodziewanie głos Thada:

-Emrys, Sabian, rozwincie to, co znaleźliśmy.

Na jego polecenie dwóch młodszych chłopców wydobyło spod swych tunik kilka szerokich i długich brezentowych pasów, używanych do mocowania ciężkich pakunków podczas

transportu. Każdy pas z obu stron zakończony był mocnym stalowym hakiem.

-Znaleźliśmy je w narzędziach Lugarda. Już je chcieliśmy wyrzucić - mówił Thad - ale... Zdaje się, że to jest to, czego teraz potrzebujemy.

Nie było wątpliwości, że nic lepszego nam nie trzeba. Radość wprost odebrała mi mowę, dlatego jedynie skinąłem głową. Mielismy teraz wszelkie możliwości, żeby po kolei, spokojnie opuszczać Lugarda z jednej polki na drugą. Jedyne problem tkwił w tym, czy wystarczy nam siła.

-Zejdź pierwsza z dziećmi - powiedziałem do Annet. - Thad, Emrys, Sabian i ja będziemy opuszczać ramę z Lugardem. Wasze zadanie będzie polegało na przechwytywaniu jej i łagodnym układaniu na każdej kolejnej polce. Gdybyśmy ją opuszcili lub gdyby ktokolwiek z nas spadł, usuwajcie się, nie próbujcie łapać, bo może to się jedynie źle dla was skończyć.

Wiedziałem, że zadanie, które mamy wykonać, jest niebezpieczne dla wszystkich. A jednak - który już raz podczas tego długiego dnia powtarzałem sobie to samo - nie mieliśmy innego wyjścia.

Patrzyłem w milczeniu, jak Gytha opuszcza się w dół, eskortowana przez Annet. Zejście na niższą polkę nie sprawiło jej wielkiego wysiłku, ja pamiętałem jednak, że to dopiero pierwszy stopień. Znalazszy się na nim, odebrała od Annet lampę i ustawiła ją obok siebie, by następne dzieci dokładnie wiedziały, gdzie jest ich cel. Następnie odbierała je z góry, jedno za drugim, po kolei Prithe, ostrzegając ją, by nie patrzyła w dół, jeżeli ma lekkość, Iforsa, Dinana i Dagny. Gdy w pewnej chwili poslizgnęła się noga dziewczynki, zadrzałem, i to bynajmniej nie z zimna. Na końcu zeszła Annet. Teraz dopiero przyszła kolej na Lugarda i na nas.

-Jak sobie z nim poradzimy? - chciał wiedzieć Thad. Widziałem tylko jeden sposób, może nie najlepszy, ale chyba jedyny możliwy do zrealizowania.

-Musimy przymocować liny do jednego brzegu ramy. Trzech z nas będzie ją opuszczało, a czwarty będzie od dołu uważał, żeby jej powierzchnia przez cały czas trzymała poziom.

Thad pokiwał głową.

-Sabian zejdzie na dół.

Sabian był najmłodszy i najsłabszy z nas czterech. Funkcja, którą miałby sprawować, wymagała najmniej siły. Popatrzyłem jednak na niego pytającym wzrokiem.

-Dasz sobie radę?

-Nie wiem - odpowiedział szczerze. - Nie odpowiem ci, dopóki nie spróbuję.

Nie czekając na moja reakcje, opuścił się szybko na niższą polkę, pomiędzy dziewczynki i najmłodsze dzieci.

Zaczepiliśmy haki o rame i sprawdziliśmy umocowanie. Wszystko było w porządku. Odczekałem jeszcze chwile, po czym głęboko westchnąłem i przystąpiłem do tego, co wydawało mi się wówczas najtrudniejszym zadaniem w moim życiu.

Wedrowka z jednej skalnej polki na drugą trwała ponad dwie godziny. Na każdej z nich odpoczywaliśmy, dokładnie sprawdzaliśmy mocowania haków i upewnialiśmy się, czy nie są przetarte pasy. Pochylaliśmy się też nad Lugardem, chcąc mieć pewność, że wciąż mamy do czynienia z żywym człowiekiem. Opuściło mnie wszelkie wyczucie czasu. Wysiłek sprawiał, że przed oczyma miałem jakby mgłę, na mojej twarzy perlily się grube krople potu i w ogóle nie odczuwałem przenikliwego zimna, panującego w grocie. Praca, która wykonaliśmy, była tak wyczerpująca, że gdy wreszcie pokonaliśmy całą drogę w dół, padłem na ziemię bez ruchu, szybko i gwałtownie oddychając. Pozostali chłopcy nie wyglądali lepiej. Emrys leżał obok ramy, a Thad kucal obok niego. Jedynie Sabian stał na nogach, ale on stracił najmniej siły.

Mimo zmeczenia, usłyszałem radosne okrzyki powitania. Annet pierwsza znalazła się przy mnie. I znowu przycisnęła mi do ust kubek z gorącą zupą, znowu podtrzymywała go, kiedy piłem, gdyż wiedziała, że nie byłbym w stanie utrzymać go w rękach. Takie porcje, znajdujące się w zestawach podróżnych, zawierały środki regeneracyjne, wypiłem jednak, czy tym razem cokolwiek zdoła postawić mnie na nogi.

W końcu jednak wszyscy powstaaliśmy i teraz Annet, Gytha, Prima i Ifors zajęli się ramą z Lugardem. Ja nie byłem w stanie im pomóc. Początkowo nie czułem własnych rąk, jednak z każdą upływającą minutą czułem je coraz bardziej, tyle że teraz pulsowały potężnym bólem, wzrastającym z każdą upływającą minutą.

Potykalismy się i zataczaliśmy, jednak grotę przed nami rozszerzała się i z każdą chwilą nieuchronnie zbliżaliśmy się do tymczasowego celu naszej podziemnej wędrowki. Wreszcie ujrzałem światło, wydobywające się przez drzwi z budynków. Pamiętam, jak przekroczyłem próg jednego z nich, rozejrzałem się dookoła tępym wzrokiem i... nie pamiętam już nic więcej.

Kiedy obudziłem się, leżałem na podłodze, a pod moją głową znajdowała się poduszka z łożką, które rozebrałem, przygotowując rame dla Lugarda. Bolało mnie całe ciało, nieznosnie pulsujące przenikliwym bólem. Ramiona czułem, jakby wyrwano mi je wcześniej ze stawów. W kregosłupie odczuwałem takie napięcie, że gdy teraz o tym myślę, dziwie się sobie, w jaki sposób je zniosłem.

Być może wydobyłem z gardła jakiś dźwięk. Ogromnego wysiłku wymagało ode mnie nawet zwykłe przekroczenie głowy. Ujrzałem nad sobą twarz Annet, twarz z szarymi cieniami pod oczyma i o ustach takich, jakich jeszcze nigdy w życiu nie widziałem.

-A wiec, obudziles sie. - Jej glos byl ostry, twardy i pelen wyrzutu, jakby miala do mnie pretensje.

Sprobowalem usiasc, ale szybko okazalo sie, ze jest to dla mnie zbyt wielki wysilek. Annet nie zrobila nic, zeby mi pomoc, kucala natomiast nade mna nadasana, zniecierpliwiona, jakbym przez to, ze przez dlugi czas sie nie ruszalem, uczynil cos zlego.

Z trudem przetarlem rekami twarz i poczulem na dloniach drobne kamienie. Zamrugalem oczyma.

-A Lugard? - zapytalem.

-Nie zyje - odparla glucho.

Na dzwiek tych slow chyba rozzloscilem sie. Jak to? To tak ogromny wysilek poszedl na mame? Lugard osmielil sie odejsc, po tym, kiedy zrobilismy tak wiele, zeby zachowac go wsrod zywych? Po tej mysli przyszla nastepna: co teraz poczniemy, bez Lugarda? Dopoki jedynym problemem bylo przetransportowanie go w bezpieczne miejsce, nie wypatrywalem dalej w przyszosc. Gdy dotarlismy wreszcie do tej groty, odetchnalem z ulga, jakby najtrudniejsza rzecz byla juz za mna. A przeciez prawda wygladala zupełnie inaczej.

Jakos udalo mi sie powstac na nogi. Thad lezal na lozku po mojej lewej stronie. Na nastepnym zauwazylem dwoje blizniat. Z przedzialu kuchennego dotarl do mnie szmer glosow.

-Vere, obudziles sie!

Powoli odwrocilem glowe. Odnosilem wrazenie, ze jesli wykonam jakikolwiek gwałtowny ruch, rozpadne sie na kawalki. Ujrzałem Gythe. Złapala mnie za ramie.

-Chodz, wlasnie przygotowalismy kolacje. Spales prawie przez caly dzien.

Na jej uscisk zareagowalem glosnym jekiem. Uslyszala go Annet, bo natychmiast wybiegla z kuchni i ujrzawszy mnie, podeszla, zeby pomoc mi isc.

-Mamy tu duzo jedzenia - powiedziala radosnie. - Zapraszam na uczte, z doskonalej kuchni i od najlepszej kucharki.

Byc moze zapachy z tej kuchni nie byly tak wspaniale jak w Kynvet, jednak w tej chwili nie potrzeba mi bylo nic wiecej, zeby uswiadomic sobie, jak strasznie jestem glodny.

Rozdzial siodmy

Musialem polozyc oba lokcie na stole, by moje rece przestaly drzec. W przeciwnym wypadku nie dalbym rady uniesc do ust kubka z parujaca kawa. Kiedy pierwsze krople

goracego plynu wplynely do mojego gardla, zaczalem budzic sie do zycia. Podnioslszy wzrok ujrzałem Annet siedzaca przy stole naprzeciwko mnie. Jej dlonie lezaly na stole, a ona sama, przyjawszy sztywne pozycje, wpatrywala sie we mnie z napieciem. W miare jak odzyskiwalem zdolnosc do logicznego rozumowania, coraz wyrazniejszy stawal sie dla mnie powod jej niepokoju. Niespodziewanie odezwala sie do mnie: - On oszalal. Z cala pewnoscia, oszalal.

- Czulas przeciez wstrzasy. - Postanowilem postepowac w taki sposob, by na prozno nie robila sobie nadziei. Widzialem przeciez, jak rozmawial w Butte z dwoma ludzmi ze statku i wierzyłem, ze to, co podslychal w pokoju dowodzenia, wystarczylo mu, by dojsc do wniosku, ze zagrozenie jest smiertelnie powazne. Dzieki jego natychmiastowemu dzialaniu, ocalilismy zycie. Dlatego nie mogłem uwazac Lugarda za szalenca; wręcz przeciwnie, okazal sie najtrzeźwiej myslacym i najrozsadniejszym czlowiekiem na calej planecie. Teraz jednak...

- Czy odzyskal przytomnosc, zanim... zanim odszedl?

Potrzasnela glowa.

- Ciezko, z trudem oddychal. A potem, w jednej chwili, wszystko sie urwalo. Vere, co teraz? Dokad pojedziemy, skoro nie mozemy isc tam, skad przyszlyśmy?

Odstawilem kubek, zeby wyciagnac mape. Rozlozylem ja na stole. Przesunalem palcem po calej trasie, jaka dotad prze bylismy pod ziemia. Z wielkiej groty, w ktorej znajdowalismy sie w tej chwili, prowadzily trzy wyjscia. Dwa z nich z cala pewnoscia prowadzily na powierzchnie. Przypomnialem sobie jednak slowa Lugarda, ze cala sekcja zostala zamknieta przez Bezpieczenstwo w czasach, kiedy funkcjonowal jeszcze garnizon w Butte Hold. Wejscie, dzieki ktoremu znalezlismy sie pod ziemia, otworzyl ciezko pracujac i zapewne nie mial dotad dosc czasu, by otworzyc pozostale dwa, nawet jezeli zamierzal kiedyś to uczynic.

Nie bylo sensu nastawiac sie na najgorsze, zanim nie przekonalismy sie, ze to najgorsze jest rzeczywistoscia. Do takiego wniosku doszlismy teraz z Annet. Zaczela mnie namawiac, zebysmy wszyscy jak najszybciej ruszyli w dalsza droge.

Ja jednak nie chcialem narazac dzieci na niepotrzebne trudy, skoro mogly sie one okazac daremne. W koncu ustalilismy, ze najpierw ja sam, poslugujac sie mapa, sprawdzę oba wyjscia z podziemi.

Przed wyruszeniem w droge czekal mnie jeszcze jeden obowiazek, i to bardzo trudny. Nalezalo pochowac kapitana.

Nikt nie powinien odczuwac pretensji wobec zmarlych, ja jednak wyczuwalem, ze Annet traktuje Lugarda jak szalenca, ktorego nieuzasadnione obawy wciagnely nas w katastrofe. Oczywiscie, nie zyczyla mu smierci, a jednak nie uronila nad nim ani jednej lzy. Bez slowa

sprzeciwu pomogła mi zawinac jego ciało w pledy, które znaleźliśmy w jednym ze schronów.

Podczas tej czynności z faldów tuniki kapitana wysunęło się coś, co pozwoliło mu przetrwać tak wiele podczas tej podróży w mroku.

Był to kawałek fujarki, na której wygrywał swoje magiczne melodie. Zapewne w chwili, kiedy przez jego ciało przetoczyła się ciężka skala, fujarka złamała się. Z ciężkim westchnieniem poszukałem przy weteranie dalszych jej fragmentów. Gdy je zebrałem, przez chwilę przyglądałem się zniszczonemu instrumentowi, po czym wsunąłem go do jednej z kieszeni zmarłego. Następnie wszyscy, z wyjątkiem Dagny, wciąż śpiące pod wpływem dużej ilości środków uspokajających, poprowadziliśmy mały kondukt żałobny. Nie mogliśmy wykopać Lugardowi grobu w twardej skale, dlatego wsunęliśmy jego ciało w skalną szczelinę, a potem zakryliśmy ją kamieniami i odłamkami skal. Chciałem znaleźć laser, który stopiłby kamienie i uczynił miejsce ostatecznego spoczynku dzielnego żołnierza niedostępnym dla nikogo, jednak mimo tylu zgromadzonych w schronie materiałów, nie było tu żadnej broni. Mielismy ze sobą jedynie trzy oszalamiacze: Annet, Thada i mój własny. Gdy odchodziliśmy od grobu, ujrzałem lzy na twarzy Gythy.

-Szkoda, że już nigdy nie zagra nam na swojej fujarce - powiedziała do mnie. - To był taki... taki delikatny człowiek, Vere.

Moim zdaniem słowo "delikatny" nie bardzo pasowało do Grissa Lugarda, pamiętałem jednak, jak odnosił się do dzieci i wiedziałem, że Gytha ocenia go ze swojego punktu widzenia. Ucieszyłem się, że takim właśnie zostanie zapamiętany: jako człowiek delikatny, odważny i pełen wiary, że to, co robi, jest jego misją. Nie miałem wątpliwości, że w ostatnim dniu swojego życia jego jedynym celem było ocalenie nas, mimo że Annet była innego zdania.

Postanowiłem wyruszyć na swój rekonesans dopiero rano, chociaż noc, dzień, poranek, południe czy wieczór, były w tych podziemiach pojeciami względnymi i oznaczały je tylko godziny na moim zegarku. Tymczasem zrobiliśmy przegląd zapasów jakie mieliśmy do dyspozycji, znajdując nowe koce, żywność w koncentratkach - wystarczająca naprawdę na bardzo długo - i narzędzia: do kopania, wiercenia i tym podobne. Nigdzie nie było żadnej broni, a poza tym urządzenia do łączności w pokoju dowodzenia w dalszym ciągu były głuche, mimo że uparcie i na wszelkie sposoby staraliśmy się je uruchomić. Zapewne Lugard zdążył aktywować tylko część znajdujących się tutaj instalacji, tylko te, które najbardziej były mu potrzebne. W końcu funkcjonowało ogrzewanie, oświetlenie, kuchnia i mieliśmy wodę. Bez tych udogodnień nie mielibyśmy najmniejszej szansy na przeżycie.

Znaleźliśmy trochę ubrań, a właściwie mundurow Bezpieczeństwa. Pasowały jedynie na Annet i na mnie, i to tylko te najmniejsze. Natknęliśmy się też na przenosne lampy, wszystkie sprawne, a także liny.

Wszystkie dzieci z duża energią przerzucali nasze znaleziska, oddzielając to, co mogło mieć dla nas jakąkolwiek wartość, od tego, co nie mogło przydać się nam do niczego. W pewnej chwili, przebierając w pudełku z konserwami, podniosłem głowę i ujrzałem zamyszonego Thada, stojącego w drzwiach bloku, w którym, jak sądziłem, znajdowały się urządzenia do sterowania naziemnymi pociskami i wszelka inna broń. Zostawiłem pudełko swojemu losowi i podszedłem do niego.

-O czym myślisz? - zapytałem.

Drgnął, usłyszawszy moje pytanie i odwrócił głowę. Unikał mojego wzroku.

-Tu jest centrum sterowania środkami bojowymi, prawda? - zapytał.

-Chyba tak.

-A więc, gdybyśmy mogli ich użyć, pewnie zdmuchnelibyśmy tych... tych diabłów z powierzchni Bekane?

-Wciąż ty wierzysz, że Griss Lugard miał rację? - odpowiedziałem mu pytaniem na pytanie. Mając wciąż do czynienia z upartą kontestacją Annet i jej twierdzeniem, że jesteśmy ofiarami szaleńca, byłem niemal zdziwiony słysząc, że młody Thad podziela mój punkt widzenia.

-Tak. Vere, czy moglibyśmy użyć tej broni?

-Nie. Pociski, które miały być odpalane z tej groty, zostały dawno temu zdemontowane, albo w ogóle nigdy ich nie zainstalowano. Kiedy zamykano te bazy, z pewnością nie pozostawiono jej najważniejszego elementu swemu własnemu losowi. Poza tym, nawet gdyby ten system był sprawny, przecież nie byłoby nam wolno strzelać na ślepo.

-Zapewne. Ale, Vere, jeżeli ostatecznie przekonamy się, że nasza planeta została podbita przez najeźdźców? Co wtedy?

Głośno wypowiedział pytanie, które nurtowało mnie już od dłuższego czasu. Lugard, sądząc po przygotowaniach, jakie zdążył przedsięwziąć, zamierzał spędzić tu z nami dłuższy czas. Zdawałem sobie jednak sprawę, że Annet, o ile nie zostanie przekonana, że większe niebezpieczeństwo grozi nam na powierzchni, niż w podziemiach, nigdy na coś takiego się nie zgodzi. Miała dość silnej woli i determinacji, by, o ile ja nie chciałbym udać się na poszukiwanie drogi wyjścia z podziemi, zrobić to osobiście. Wiedziałem więc, że nie mam wyboru, ale byłem też skłonny do najwyższej ostrożności, by nie wpasć ślepo w jakąś z pułapek, przed którymi chronić nas, Lugard oddał życie.

-Będziemy żyli jak harcerze. Nikt raczej nie będzie interesował się pustkowiami w krainie lawy - zacząłem mu odpowiadać, jednak zaraz zastanowiłem się nad własnymi słowami. Czy plotki o skarbach Prekursora zainteresują ludzi ze statku, jeżeli będą sprawować

absolutna władze na Beltane?

A jednak, własnie kraina lawy doskonale nadawala sie na kryjowke. Tym bardziej, gdy bedziemy znali droge, prowadzaca do tej bazy, dajaca w kazdej chwili schronienie...

-Czy bedziemy prowadzic wojne partyzancka? - zapytal Thad.

-Wojne? Wedrowcy? Badz rozsadny, Thad. Jezeli bedzie taka potrzeba, mozemy zyc w ukryciu, nawet przez wiele lat. A na razie nie wiemy jeszcze, co sie wlasciwie stalo, wiec chocby z tego powodu mowienie o jakiegokolwiek wojnie nie ma sensu.

Widzialem, ze moje slowa go nie usatysfakcjonowaly, jednak na razie nie musialem obawiac sie z jego strony zadnych nieprzemyslanych dzialan. Upewnilem sie jeszcze co do tego, apelujac do jego poczucia odpowiedzialnosci i czyniac go dowodca calej grupy podczas mojej nieobecnosci. Reszte okresu wyznaczonego przez nasze zegarki jako "noc" przespaliśmy. Dopiero o osmej nad ranem nastepnego dnia, trzeciego poranka naszej wedrowki przez podziemia, wyruszylem w moja misje. Zalowalem, ze nie mam ze soba recznej radiostacji, ktora pomoglaby mi utrzymywac lacznosc z baza, jednak tego typu urzadzen brakowalo tak samo jak broni. Prawde mowiac, w skrzynkach z zapasami znajdowaly sie dziwne braki i podejrzewalem, ze to Lugard troche je przetrzebil. Czy radiostacji nie bylo dlatego, zebysmy nie mogli nadac zadnego sygnalu na powierzchnie i w ten sposob sciagnac na siebie uwage tych, ktorych w tej chwili powinnismy smiertelnie sie obawiac?

Skopiowalem mape na kawalku piasty, zostawiajac kopie Annet. Wymoglem tez na niej obietnice, ze nie podejmie zadnych gwałtownych przedsiwziec, dopoki ja nie powroce i na wszelki wypadek na osobnosci poprosilem Thada, aby pilnowal jej realizacji. Nastepnie, zabierajac ze soba tylko lekki plecak, dziarskim krokiem ruszylem w swoj a wedrowke. Gdy wyszedlem z kregu swiatla, roztaczajacego sie wokol obozu, odwrocilem sie ostatni raz, by popatrzec na tych, ktorzy mieli oczekiwac na moj powrot. Ktos z nich, chyba to byla Gytha, pomachal mi jeszcze na pozegnanie, a ja odpowiedzialem podobnym gestem.

Na poczatek wybralem korytarz odchodzacy w lewa strone, poniewaz z dwoch mozliwych byl szerszy. Mimo to w porownaniu z naszym schronem byl jedynie waskim tunelem. Juz wktotce wstapila we mnie przemozna wiara, ze dokonalem wlasciwego wyboru, bowiem promienie mojej latarki natrafily na zadrapania na scianach, swiadczace, ze ten wlasnie korytarz byl poszerzany. Nie opadal w dol jak wszystkie, ktore przebylismy do tej pory, lecz przez caly czas biegł w poziomie. Jednak po godzinie wedrowki dotarlem do zapory, ktora uniemozliwila mi dalsza wedrowke.

Ktos bardzo umiejetnie wykorzystal laser. Droge zagradzala mi sterta skal i kamieni, stopionych promieniami laserowymi w wielka, bezkszaltna mase w taki sposob, ze tunel zakorkowany zostal raz na zawsze. W masie tej zauwazylem takze fragmenty maszyn roboczych, ktore pozostawiono w zaporze zapewne po to, by miec dodatkowa pewnosc, iz

nigdy nie zostanie ona przebyta.

Z całą pewnością nie zrobił tego Lugard. Z pewnością całą operację przeprowadziło Bezpieczeństwo. Byłem zaskoczony. Dlaczego uczynili to tak starannie? Czyżby mieli do ukrycia jakieś skarby? A może właśnie za tą zaporą ukryli broń?

Zaczęłem nad tym się zastanawiać. W końcu, Thad mógł mieć rację. Dysponując odpowiednią bronią, mielibyśmy szansę, by wyprzec najeźdźców z Beltane. Tyle, że nie mieliśmy pojęcia, jak jej używać, a wszelkie eksperymenty mogły skończyć się tragicznie, przede wszystkim dla nas. Nie, walka nie wchodziła w grę. Na razie zadowoląłem się myśla, że uczyniono kiedyś wielkie wysiłki, by zamaskować bazę, w której znaleźliśmy schronienie.

Gdyby Lugard żył, z całą pewnością dysponowalibyśmy teraz bronią. Niestety, jej sekret stał się dla nas niedostępny wraz z jego śmiercią. Przez chwilę zastanawiałem się, ile jeszcze tajemnic zabrał ze sobą do grobu.

Obejrzałem stopioną masę fragment po fragmencie, mając nadzieję na odnalezienie jakiegoś słabego jej punktu, być może pod sklepieniem tunelu, gdzie warstwa zapory z całą pewnością była najcieńsza. A jednak dokładne oględziny pozbawiły mnie całkowicie nadziei. Zrezygnowany odwróciłem się, postanowiwszy sprawdzić drugą drogę ewakuacji z podziemi. Kiedy doszedłem do wylotu tunelu, zerknąłem w kierunku naszego schroniska. Było ciemne, gdyż Wedrowcy pozamykali wszystkie drzwi, a budowle nie miały przecież okien. Czy powinienem pojsć najpierw do nich i powiedzieć im, że moja pierwsza próba zakończyła się niepowodzeniem? Uznałem, że w ten sposób straciłbym tylko czas. Najlepiej, jeżeli zamelduje o sukcesie, gdy sprawdzę drugą drogę.

Drugi tunel wiał się nieskonczenie długo; był wąski i miał liczne zakrety. Żadne ślady nie wskazywały, że ktokolwiek kiedyś go używał, zanim nie wyłowilem z mroku, do połowy przysypanego kamieniami, wózka, takiego jak ten, który używał Lugard. Porzucone narzędzie wywoływało wrażenie, jakby ktoś pozbył się go w wielkim pośpiechu. Dlaczego? Czyżbym znajdował się już niedaleko wyjścia? Czyżby właściciel wózka stracił nim zainteresowanie właśnie tutaj z tego powodu, że zbliżał się do powierzchni i już go nie potrzebował?

Mój spokojny chód zamienił się w trucht; zaczęło mi się spieszyć. Tunel zakreślił po chwili w prawo i zaczął prowadzić w dół, co rozczerowało mnie, choć przecież zdrowy rozsądek nakazywał wstrzymać się, by rozżarzona lava mogła uformować jakikolwiek korytarz pod górą. Po chwili nastąpiło drugie rozczerowanie, gdy natrafiłem na taką samą przeszkodę z kamieniami i skalami, jak w tunelu poprzednim. Gdy jednak uważniej przyjrzałem się zaporze, zauważyłem, że jest jakby inna, świeższa od poprzedniej. Nie miałem całkowitej pewności, lecz odniosłem wrażenie, że ta zapora nie liczy sobie dziesięciu lat, ale najwyżej kilka dni. Czyżby usypał ją Lugard?

Odniosłem wrażenie, że jest tu trochę cieplej. Po raz pierwszy, od chwili, gdy rozpocząłem te wędrówki, nie widziałem szronu na ścianach podziemnego tunelu. Niespodziewanie ujrzałem pod nogami błysk metalu i nachyliłem się. Oto... Oto miałem przed sobą te same, albo identyczna brzoza, którą widziałem w Butte, gdy Lugard rozmawiał z dwoma uciekinierami. Był to miotacz laserowy. Lśnił jak nowy; nie mógł leżeć tu dłużej niż kilka dni.

Podniosłem śmiertelny przyrząd i z drżeniem serca wycelowalem jego lufę w sam szczyt przeszkody spodziewając się, że w ten sposób ją zniszczy. Jednak gdy nacisnąłem guzik spustowy nic się nie stało. Zapewne cała amunicja zużyta została przy budowaniu barykady. W tej chwili byłem już zupełnie pewien, że uczynił to Lugard.

Ale dlaczego? Dlaczego chciał, żebyśmy trwali tutaj, odcięci od zewnętrznego świata? Dlaczego spodziewał się długiego obleżenia? Co aż tak śmiertelnego znajdowało się na powierzchni Beltane, że zastosował najdrastyczniejsze środki, by uniemożliwić wydostanie się tam? Czy chodziło tylko o nasze życie, czy też o jakiś sekret, którego nie mieliśmy prawa poznać? A może o jedno i drugie?

Usiadłem na ziemi, trzymając laser pomiędzy nogami i usiłowałem dojść do jakichś rozsądnych wniosków. Właściwie nie pozostało mi nic innego, jak powrócić do obozu i tam szukać jakichś nowych wskazówek, albo pozostawionych przez Lugarda, albo przez tych, którzy zbudowali te bazy. Uznałem, że im więcej się dowiem, tym większa będzie szansa nas wszystkich na wyjście z tej matni.

Ale istniało jeszcze trzecie przejście, to, którego nie uważałem za warte sprawdzania. Czy nie powinienem przypadkiem obejrzeć i jego, zanim powrócę? Nie wiedziałem, co powinienem zrobić. W końcu postanowiłem jednak wrócić. Brzoza pozostawiona przez Lugarda zabrałem ze sobą. Istniała niewielka szansa, że natknę się gdzieś na amunicję do niej i dzięki temu rozwalę przynajmniej jedną z barykad.

Dawno minęło już południe i byłem głodny, dlatego przed rozpoczęciem drogi powrotnej postanowiłem posilić się. Usiadłszy, przez chwilę trwałem ze wzrokiem wbitym w ziemię i wtedy ujrzałem na niewielkiej warstwie kurzu wyraźne ślady...

Wiedziałem już wiele o stworzeniach żyjących na Beltane w Rezerwach, jednak odciski, jakie zobaczyłem tutaj, nie należały do żadnego spośród mi znanych. Były tak długie jak moje dłonie, co dowodziło, że istota, która je pozostawiła ma spore rozmiary. Każdy z odcisków wyraźnie odbijał trzy palce u stóp, tak cienkie, że odnosiłem wrażenie, iż mogę mieć do czynienia z wędrującym szkieletem. Czyżby jeszcze jakaś inna zagubiona istota, poza przyszczorogiem, którego pozostałości widzieliśmy na początku podziemnej wędrówki, poszukiwała tutaj żywności?

Jej ślady z pewnością powstały już po postawieniu zapory.

Nie zauważyłem ich wcześniej wędrując tunelem, a przecież nie minąłem żadnego miejsca,

które mogłoby posłużyć jako kryjówka dla jakiegokolwiek większego stworzenia. W tej chwili bardziej niż kiedykolwiek żałowałem, że dawno temu zamknięto laboratorium biospeleologiczne i przez to miałem tylko mgliste pojęcie o istotach, bytujących pod ziemią.

Pochyliłem się i przyłożyłem moją dłoń do jednego ze śladów. Kurz był bardzo płytki i nie mogłem na podstawie odcisku ocenić wagi stworzenia, które tu było przede mną.

Jednak odcisk konczyny o trzech palcach nie podobał mi się i raczej po ewentualnym spotkaniu z nieznanym spodziewałem się najgorszego.

Po dokładniejszej oględzinach doszedłem do wniosku, że zwierze to przybyło tunelem z tego samego kierunku co ja, a jego śladów nie zauważyłem dlatego, że przez cały czas biegły pod samą ścianą. Zapora okazała się przeszkodą nie do przebycia tak samo dla niego jak i dla mnie.

Odechciało mi się jeszcze. Wyprostowałem się i oświetlając latarką powrotne ślady nieznanego stworzenia, zacząłem wycofywać się w kierunku schronu, w którym pozostawiłem Wędrowców. Ślady mogły powstać zaledwie godzinę przed moim wejściem do tego tunelu, ale mogły też mieć już dzień albo tydzień; pewne było tylko to, że powstały po postawieniu przez Lugarda barykady. Ciarki przebiegały mi po plecach na samą myśl, że gdzieś w okolicy naszego obozu przebywa jakiś obcy.

Jeżeli był to drapieżnik, albo po prostu głodny i silny osobnik, mógł w każdej chwili zaatakować. Oszalamiacz był dobrą bronią przeciwko znanym mi zwierzętom, żyjącym na powierzchni Beltane, lecz tutaj, pod ziemią, mógł okazać się zupełnie bezużyteczny. Jednym słowem - mogło zagrażać nam śmiertelne niebezpieczeństwo.

Uzmysłowiwszy to sobie, jeszcze bardziej przyspieszyłem kroku. Gdybym miał tylko amunicję do miotacza laserowego, który znalazłem... Nie musiałbym wtedy martwić się pierwszym lepszym stworzeniem, zagubionym w podziemiach. Laser, który służył do topienia skał, zdolny był do zniszczenia nawet niedzwiedziobizona - najniebezpieczniejszego drapieżnika, jakiego znalazłem. Bez amunicji był bezużyteczny.

Ślady wciąż biegły pod ścianą. W duchu cieszyłem się z tego, bo skoro zwierze nie lubiło otwartej przestrzeni, być może nie zdecydowało się wkroczyć do wielkiej groty, by zaatakować nasz oboz. Wreszcie, wciąż obserwując ślady, dotarłem do szczeliny, która, gdy popatrzyłem na mapę okazała się trzecią drogą, biegnącą ze schronu, tą, którą zamierzałem sprawdzić na koncu. Tutaj zauważyłem, że ślady kilkakrotnie prowadziły do szczeliny i na zewnątrz, co wzmogło moją czujność, ponieważ mogło okazać się, że istota, która śladem odwiedza to miejsce regularnie. Stanawszy u wylotu trzeciego tunelu, poczułem tak ogromny chłód, że szybko od niego odskoczyłem. Jaka żywa istota była w stanie znosić takie zimno? Jeśli chodzi o mnie, nie byłbym w stanie wejść do tego korytarza nawet, gdybym bardzo chciał. Odetchnąłem z ulgą, gdyż nie musiałem podejmować już żadnej decyzji. Nie miałem w tej chwili do wyboru żadnej drogi, którą mogłbym się

poruszać, poza drogą powrotną do obozu. Nie wahając się dłużej ani chwili rozpocząłem powrót.

Drzwi do budynku, w którym znajdowały się urządzenia do sterowania pociskami były do połowy otwarte, a w środku nie paliły się żadne światła. W budynku dowodzenia i łączności było podobnie. Pod wpływem impulsu nie poszedłem od razu do budynku mieszkalnego. W końcu nie określiłem, kiedy wrócić z rekonesansu, a poza tym chciałem, naprawdę, bardzo chciałem znaleźć amunicję do lasera Lugarda. Mogła się ona znajdować tylko w budynku dowodzenia; tylko jego właśnie do tej pory dokładnie nie przeszukałem.

Przystanąłem w pustym pokoju dowódców. W momencie, kiedy zatrzasnąłem za sobą drzwi, zapaliło się światło. Podobny mechanizm funkcjonował w pomieszczeniach mieszkalnych. A jednak w pokoju, z którego miały wychodzić impulsy określające cele pocisków światło nie zapalało się automatycznie. Czy powinienem z tego wnosić, że Lugard miał jakiś powód, by udostępnić nam na czas pobytu tylko część pomieszczeń w tym schronie? Wiedziałem już, że nie działa system łączności i jego uruchomienie jest niemożliwe. Czy podobną blokadę kapitan zastosował także i na inne, wybrane urządzenia. I co było kryterium jego wyboru?

Podszedłem do teczek z dokumentami. Miały założone zamki zabezpieczające, otwierane tylko po dotknięciu dłoni uprawnionej osoby. A jednak, kiedy dotknąłem pierwszej z nich otworzyła się bez trudu, ukazując puste wnętrze. Pusto było także w szafach przeznaczonych na mikrotasmy i tasmy do czytania. Nie znalazłszy niczego, co mogłoby mnie zainteresować zacząłem badać ściany w poszukiwaniu zagłębien, które mogłyby być następnymi zamkami, otwieranymi na przycisk właściwej dłoni czy palca. Szybko je znalazłem. Jeśli jednak te skrytki zawierały jakieś sekrety, dotarcie do nich było bardzo trudne. Na moje dotykanie zamki nie reagowały. Być może mógł je otwierać tylko Lugard, a może nawet mój ojciec, skoro nikt nie przebywał tutaj od chwili wybuchu wojny.

Usiadłem przy biurku i położyłem na niej mój miotacz. W biurku znajdowały się trzy szuflady, równie puste jak te czki. Po chwili poszukiwań odkryłem jednak czwartą szufladę, bardzo wąską i dość dobrze zamaskowaną. Cała mieściła się w wydrążonym, grubym blacie.

Przez długą chwilę nie potrafiłem jej otworzyć. Nie natknąłem się na żaden przycisk, uchwyt, ani klamkę. Nie widząc innego wyjścia, sięgnąłem po długi noż, który zawsze nosiłem przy sobie. Ostrożnie, by spowodować jak najmniejsze zniszczenie, podważyłem ostrzem zamek szuflady i wyciągnąłem ją na zewnątrz.

Była tak płytka, że mogła się w niej zmieścić tylko jedna warstwa piasty, takiej, na jakiej wykonana była moja mapa. I oto na piasku, która wyciągnąłem z szuflady, również narysowana była mapa. Położyłem ją na biurku, by porównać z moją własną, którą otrzymałem od Lugarda. Szybko zauważyłem, że obie mapy ukazują te same tereny, jednak ta, która właśnie znalazłem, prezentuje powierzchnie czterokrotnie większą. Zacząłem

uwaznie przypatrywac sie schematom podziemnych korytarzy. Zauwazylem, ze poza zaporami, do ktorych dzisiaj dotarlem, znajduja sie strzalke wskazujace na sciany, jakby krawedzie korytarzy skrywaly jakies pomieszczenia, badz instalacje.

A wiec, to tam zgromadzona jest bron? Przy kazdej strzalce wypisany byl jakis kod, tak malymi cyframi, ze z trudem potrafilem je odczytac. A jednak, skoro schowki z bronia znajdowaly sie na terenie dla nas niedostepnym, czy powinienem sie nimi przejmowac? Raczej powinienem zainteresowac sie trzecim korytarzem, tym, do ktorego nie wszedlem z powodu chlodu, ktory moglby mnie zabic. Na mapie Lugarda ten trzeci pasaz wyrysowany byl zaledwie cienka kreska. Nowa mapa ujawniala dokladniejsze szczegoly.

Wedlug niej tunel prowadzil do groty, ktora mogla byc tak duza jak ta, w ktorej znajdowal sie nasz schron. Mogly to tez byc dwie groty z szerokim lacznikiem pomiedzy nimi. Wejscie do nich oznaczone bylo dziwnym znakiem, jakby ten, kto rysowal mape, nie wiedzial, w jaki sposob do nich sie dostac.

Przypomnialem sobie opowiesc Lugarda o grocie lodowej, w ktorej znalazl antyczne przedmioty. Chlod docierajacy ze szczeliny, do ktorej nie odwazylem sie wejsc, mogl oznaczac, ze grota lodowa znajduje sie niedaleko. Jednak nigdzie nie bylo zadnej wskazowki, jak do niej wejsc. Najprawdopodobniej dwie groty byly starannie zamkniete i zdobycie ich nie wchodzilo w gre.

A powrot z podziemi droga, ktora tutaj przyszlismy oznaczal przyznanie sie do porazki, ktora od poczatku przewidywala Annet. Nie potrafilem sobie wyobrazic powrotnej drogi. Przeciez najezona byla ogromnymi niebezpieczenstwami, a szyb, ktorym opuscilismy sie w dol, na dobra sprawe nie istnial, a jesli nawet istnial - przeciez nie bylo zadnego sposobu, by powrocic nim na powierzchnie.

Zlozylem razem nowa i stara mape, po czym wsunalem obie do kieszeni tuniki. Dokladne przeszukanie pokoju komunikacyjnego, a potem pomieszczen mieszkalnych dowodcow nie przynioslo nic nowego. Opuszczajac jednak ten budynek, wzialem ze soba bron, zdecydowany prowadzic poszukiwania tak dlugo, dopoki nie znajde amunicji. Niczego nie potrzebowalem w tej chwili tak bardzo, jak amunicji do miotacza laserowego. Nie tylko ja zreszta; skuteczna bron potrzebna byla wszystkim Wedrowcom.

Zamykajac za soba drzwi budynku dowodzenia, uslyszalem wolanie:

-Dagny! Dagny! - Rozpaczliwy krzyk obijal sie zwielokrotnionym echem o wszystkie sciany. - Dagny! Dinan!

Drzwi budynku mieszkalnego staly otworem, dzieki czemu na zewnatrz pojawil sie pas swiatla. Na waskim pasku oswietlonej ziemi stala Annet. To ona krzyczala. Po chwili w polmroku ujrzałem Thada i kogos jeszcze, chyba Gythe, oddalajaca sie w kierunku skalnych schodow. Blyskawicznie podbiegłem do Annet, w jednej chwili przypomniałszy sobie o

swiezych sladach na ziemi i nieznanym niebezpieczenstwie, ktore moga one oznaczac.

-Annet, co sie dzieje? - zapytalem.

Odwrocila sie do mnie i zacisnela dlonie na moich ramionach.

-Vere! Dzieci... Nie ma ich - powiedziala i znow zaczela krzyczec: - Dagny! Dagny! Dinan!

Ktos zapalil latarke. Jej promienie zaczely przesuwac sie po scianach groty, az wreszcie dotarły do szczeliny, do ktorej biegly tajemnicze slady.

-Do domu... - tuz przy swoim uchu uslyszalem cicho wypowiedziane slowa. To byla Pritha. Popatrzyłem na nia, a ona pokiwała glowa, jakby w ten sposob chciala dodatkowo zaakcentowac to, co przed chwila powiedziala. - Dagny zatesknila za matka, zapragnela wrocic do domu. Ona nie rozumie, co sie stalo. Kiedy Annet wyszła po cos do jedzenia, uciekla. Nie zwracalismy na nia uwagi, bo spala, albo udawala, ze spi, dlatego udalo sie jej wymknac niepostrzezenie. A Dinan... On nigdy nie pozwolilby jej nigdzie isc samej.

To byla prawda. Tam, dokad szlo jedno z blizniat, natychmiast udawalo sie drugie, choc zdawalo sie, ze to zwykle Dinan czesciej decyduje o ich wspolnych drogach. W kazdym razie przenigdy nie zgodzilby sie, zeby jego siostra poszła gdzies sama, tym bardziej, ze zdawal sobie sprawe z niebezpieczenstw, jakie kryja sie w grotach.

Wciaz myslalem o tajemniczych sladach. W pewnej chwili scisnałem reke Annet i powiedzialem z naciskiem:

-Ucisz sie. Sprowadze ich z powrotem. Oboje.

Popatrzyła na mnie ze zloscia, jednak przestala krzyczec.

-Byc moze nie jestesmy tu sami - odezwalem sie. - Wszyscy musicie pozostac przy schronie i czekac. Na wszelki wypadek trzymajcie w pogotowiu swoje oszalamiacze.

W krag swiatla wbiegl Thad, ktory niespodziewanie wylonil sie z ciemnosci.

-Zostawili slady - powiedzial. - Vere, czy jest jakas droga...

Potrzasnalem przeczaco glowa.

-Nie ma zadnej drogi wyjścia. Gdzie sa te slady?

Mialem jeszcze niewielka nadzieje, ze nie uslysze za chwile najgorszej wiesci, jednak nadzieja ta nie spelnila sie. Siady blizniakow prowadzily dokladnie do szczeliny, z ktorej wialo tak okropnym chlodem.

-Annet, Thad! Nie pozwalajcie nikomu wychodzic ze schronu, A to... - podalem Thadowi

bezuzyteczny miotacz laserowy. - Zabierz to i staraj sie znalezc amunicje. Poza tym, badz nieufny wobec wszystkiego, co bedzie zblizalo sie do schronu, nie dajac sygnalow swietlnych.

Thad pokiwal glowa. Nie zadawal zadnych pytan. Annet miala juz jakies slowa na koncu jezyka, jednak uprzedzilem ja:

-Do srodka.

-A ty, dokad znow idziesz?

-Za nimi. - Zdazylem juz oddalic sie kilka krokow w kierunku szczeliny. - Aha - dodalem ostatnie ostrzezenie - miejcie latarke wciaz zapalona i swieccie w tym kierunku.

Nie wiedzialem, czy swiatlo odstraszy ewentualnego napastnika. Bylem jednak pewien, ze pozwoli odpowiednio wczesnie zorientowac sie o jego obecności.

Rozdzial osmy

Szybko znalazlem slady, ktore widzial Thad. Odciski malych butow nie pozostawialy watpliwosci, do kogo naleza. Przy szczelinie odcisnieto je dopiero po tym, jak ja od niej odszedlem, zaniechawszy dalszego sledzenia krokow nieznanego stworzenia. Gdy ten fakt do mnie dotarl, zacisnalem mocno piesci. Gdybym od razu powrocil do bloku mieszkalnego, zamiast prowadzic poszukiwania w budynku dowodzenia, pewnie zapobieglobym tej ucieczce. Westchnalem ciezko. Nie bylo teraz czasu na gdybania. Przez kilka chwil zastanawialem sie, czy wlaczyc latarke. Potrzebowalem swiatla, mimo ze moglo ono zwrocic uwage kogos niepozadanego. Uznałem, ze korzysci ze swiatla bede mial jednak wieksze niz problemy i postanowilem przez caly czas oswietlac sobie droge.

Chlod z kazda chwila byl coraz bardziej przenikliwy. Sciandy tunelu pokryte byly kryształkami lodu, wesolo polyskujacymi w swietle latarki. Nie potrafilem zrozumiec, co sklonilo dzieci, by obrac taka ryzykowna i nieprzyjemna trase. A moze, wiedzac, ze penetruje pozostale dwa tunele, chcialy po prostu mnie uniknac?

Lecz przeciez takie zachowanie zupełnie nie bylo podobne do blizniat. Bylem sklonny uwierzyc jedynie w to, ze po prostu szok, ktory ogarnal mala Dagny nagle pchnal te spokojna i rozważna dziewczynke do czegos nierozsadnego. Przypomnialem sobie jej rozszerzone oczy i strach, jaki sie w nich czail, kiedy tylko nie spala.

Brnac do przodu, nasluchiwalem, czy nie dotra do mnie przypadkiem glosy dzieci, bo przeciez nie mogly byc daleko przede mna. Przyznam tez, ze przez caly czas moje serce bilo jak oszalale; to byl chyba strach przed spotkaniem z czymś nieznanym i groźnym.

Znalazszy sie w tunelu ujrzałem slady swiadczone, ze droga ta uzywana byla przez ludzi. Zadrapania na scianie swiadczyly, ze przejechal tedy rowniez wozek transportowy. W

miare jak robilo sie chlodniej tunel opadal coraz bardziej w dol. Mimo ze sluch mialem wytezony, slyszalem jedynie odglosy moich wlasnych butow, stapajacych po lodowato zimnym gruncie. Uwaznie patrzylem przed siebie, podazajac za promieniami latarki, jednak nic istotnego dla mojej misji nie rzucalo mi sie w oczy. Ogluszacz trzymalem w pogotowiu przez caly czas w drugiej rece. Nastawilem go na najwieksza moc, chociaz zdawalem sobie sprawe, ze jezeli go uzyje, bardzo szybko wyczerpie sie amunicja. Sprobowałem przypomniec sobie, ile posiadám zapasowych ladunkow. Dwa miałem zatkniete za pasek i dodatkowo jeszcze kilka w plecaku, ale przeciez plecak pozostawilem w schronie. Ile ladunkow mialy dzieci? Powinienem byl to sprawdzic poprzedniej nocy, kiedy robilismy przeglad wszystkich zapasow, jednak cos tak oczywistego wylecialo mi akurat z glowy. Wtedy najwazniejsze wydawaly sie zapasy zywnosci i woda.

Popatrzyłem na zegarek. Była druga po południu, a więc słońce nad Beltane wciąż świeciło, wciąż był dzień. Ale takie myśli tutaj, w grotach, nie miały sensu. Powróciłem do troski o dzieci. Z pewnością znajdowały się niezbyt daleko przede mną. Nie zaryzykowałem jednak przyspieszenia kroku na nierównej i sliskiej powierzchni. Gdybym skrecił sobie teraz kostkę, oznaczałoby to katastrofę dla nas wszystkich. Zastanawiałem się, czy dzieci w pewnej chwili nie postanowią same, by wracać do schronu, mając dość nieprzenikniętych ciemności i przeraźliwego chłodu. Chciałem zawołać je głośno po imieniu lecz świadomość, że poza naszą trójką może przebywać tutaj ktoś jeszcze, nakazywała mi milczenie. Tunel ten był jakby mniejsza replika drogi, która przebyliśmy przed dotarciem do schroniska, bowiem kończył się nagłym spadem. Tym razem nie były to schody lecz płaska, stroma powierzchnia, do której przymocowano jednak uchwyty do rak. Byłem zaskoczony, że bliźniaki zdołały pokonać te przeszkody. Skoro jednak im się udało, nie powinna ona stanowić trudności dla mnie.

I wtedy usłyszałem zduszone, ale wystarczająco wyraźne, żalose krzyki dobiegające jakby spod moich stop. I ujrzałem słaby blask, który mógł jedynie być światłem odległej latarki. Uradowany, położyłem się na stromej powierzchni i pomagając sobie rękami i nogami, zacząłem spuszczać się w dół. Było to niezwykle trudne zadanie. W jaki sposób pokonały te drogie bliźniaki? - przemknęło mi przez głowę.

Szczęśliwie droga w dół nie była tak długa jak ta, która wcześniej prowadziła po kamiennych stopniach. W jej połowie przekreciłem się na plecy, postanawiając zeslizgnąć się do samego dołu, chociaż nie spodziewałem się miękkiego lądowania. Jednak gdybym nadal czepiał się dłońmi wszelkich wylomów, ułatwiających powolne schodzenie, z pewnością straciłbym czucie w rękach. Gdy zatrzymałem się na płaskiej powierzchni, szybko wstałem na nogi. Okazało się, że nie ucierpiałem wiele, trochę porwana miałem jedynie tunikę.

-Dagny! Dinan! - osmieliłem się teraz zawołać.

Odpowiedz usłyszałem już po chwili, chociaż głosy bliźniaków wcale nie docierały stamtąd, skąd docierało do mnie światło.

-Vere, prosze... Vere, chodz tutaj i zabierz nas... - To byl Dinan.

-Gdzie jestescie? - Wciaz wpatrywalem sie w swiatlo, nie mogac uwierzyc, ze nie tam znajduja sie poszukiwane przeze mnie dzieci.

-Tutaj!

A wiec troche bardziej w lewo i znacznie wyzej, o ile nie mylilo mnie echo. Ruszyłem przez osypisko w tamtym kierunku.

-Vere... - znow uslyszalem glos Dinana, tym razem bardzo slaby. - Uwazaj! Uwazaj na to! Ten stwor nienawidzi swiatla. Uciekl, kiedy rzucilem w niego latarka, ale moze wrocic. Vere, zabierz nas stad.

Skierowalem swiatlo latarki tam, skad dobiegal glos i wtedy ich zobaczylem. Znajdowali sie na swego rodzaju polce skalnej, jednak bardzo plytkiej. Dagny przyciskala sie plecami do skaly, Dinan stal przed nia, jakby zamierzal chronic ja przed wszelkim niebezpieczenstwem. Dagny plakala, mimo ze w jej oczach nie bylo ani sladu lez. Jedynie z jej gardla wydobywalo sie ciche zawodzenie, a z kacikow ust plynely strozki sliny. Jej widok przerazil mnie; nigdy dotad takiej jej nie widzialem.

Na twarzy Dinana takze widac bylo strach, jednak on przynajmniej reagowal na zewnetrzne bodzce, gdy tymczasem Dagny cala zamknela sie w sobie. Wyciagnal do mnie rece z cichym westchnieniem ulgi, jakby juz sama moja obecosc oznaczala dla niego, ze jest bezpieczny.

Polka, na ktorej staly blizniaki byla zbyt mala, abym i ja mogl na niej sie zmiescic. A sciagniecie na dol Dagny, o ile nie zechce mi w tym pomoc i nie obudzi sie z koszmaru, w ktory wpedzil ja strach, moglo okazac sie powaznym problemem.

-Dagny - dzieki malemu wylomowi w scianie moglem wspiac sie na tyle wysoko, by dotknac jej drobnych raczek. Byly chlodne, nie zareagowaly na moj dotyk, jakby dziewczynka w ogole nie zdala sobie sprawy z mojej obecosci.

Wciaz patrzyla tepo przed siebie, a jej ciche zawodzenie nie ustawalo.

Widzialem, ze w wypadku hysterii ostre uderzenie w twarz moze jej ofiare wyrwac ze stanu otepienia. Bylem jednak pewien, ze to, co przytrafilo sie Dagny, to nie tylko histeria lecz cos znacznie gorszego.

-Od jak dawna ona jest w takim stanie? - zapytalem Dinana. Bez watpienia nie byla taka w czasie calej ucieczki.

-Od momentu, gdy ten stwor probowal nas dopasc. - Jego glos drzal. - Ona... Ona w ogole mnie nie slucha, Vere. Po prostu placze i placze. Zrob cos, Vere, zeby sluchala nas

obu.

-Postaram sie, Dinan. Czy mozesz zeskokczyc i pomoc mi sciagnac takze ja?

Poslusznie dolaczyl do mnie, dzieki czemu mialem dosc miejsca, by otoczyc ramieniem jego siostre. Znow nie dala zadnego znaku, ze jest swiadoma mojej obecności. Obawialem sie, ze wkroczyła do swiata, do ktorego zaden z nas nie miał klucza. Tak jak Lugard, potrzebowała profesjonalnej pomocy, która można było znaleźć jedynie w swiecie, od ktorego znajdowalismy sie bardzo daleko.

Z trudem, ale udalo mi sie sciagnac ja z polki. Padła w moje ramiona zupełnie bezwładna, wciąż cicho lkajac i sliniac sie. Pomyslalem, ze za chwile bede musial zabrac ja w powrotna droge, wysoko do gory...

-Vere! Sluchaj...

Slyszalem jedynie cichy szloch Dagny. Ale, kiedy Dinan pociagnal mnie za ramie, uslyszalem i to, na co on staral sie zwrocic moja uwage. Uslyszalem jakis chrobot, który mógł dochodzic spod sterty kamieni w niewielkiej odleglosci od nas. Trudno mi bylo to stwierdzic z cala pewnoscia, gdyż echo sprawialo, ze nie można bylo dokładnie okreslac kierunku, z ktorego docieral odglos.

-Vere! To stwor!

-Co to takiego? - Zapragnalem poznac przynajmniej czesciowy opis tego, z czym za chwile bede miał do czynienia.

-Jest bardzo duzy, tak duzy jak ty i chodzi na tylnych lapach. Jest gorszy od pryszczoroga, w ogole nie ma futra i jest zly, zly! - Z kazdym slowem glos Dinana drzal coraz bardziej; jeszcze chwila i chlopiec nie bedzie w stanie kontrolowac swojego strachu.

-Dobrze. Posluchaj, Dinan. Powiedziales, ze ten stwor przyszedl po twoja latarke...

-Nie wiem, Vere, on w ogole nie ma oczu, zadnych oczu! - Przez jego slowa przemawialo przerazenie. - Ale swiatlo nie spodobalo mu sie. Kiedy rzucilem w niego latarka, odstepil od nas. Rzucil sie na latarke, gryzl ja, rzucal nia, a potem sobie poszedl.

Moze jego uwage wzbudzilo promieniowanie cieplne? Zapewne stworzenie zyjace w ciaglym mroku nie miało oczu, bo ich nie potrzebowało, ale reagowało na ciepło. Przeciez tylko w ten sposob drobnoustroje atakowały w wodzie swe ofiary, wyczuwajac emitowane przez nie ciepło. Niektóre można bylo wydobywac ze szczelin skalnych, przykladajac odkryte dlonie obok ich siedzib, tak natychmiastowa bywała ich reakcja na ciepło. Skoro stworzenie, z którym mialem własnie do czynienia również reagowało w ten sposob, moze pozbede sie go dzieki latarce, tak jak to udalo sie na krotki czas Dinanowi. Rozwazalem takie postepowanie, chociaz obawialem sie trudnej drogi z powrotem, bez swiatla i z

bezradna dziewczynka.

Latarka Dinana wciąż świeciła, chociaż teraz zaczęła mrugać. Nie było w tym nic dziwnego, skoro chłopiec rzucał ją, a nieznany stwor potraktował ją z ogromną agresją. Jego odgłosy, które w tej chwili usłyszeliśmy ponownie, dobiegały właśnie z okolicy latarki.

Nie widziałem sposobu wydostania Dagny z tej groty bez narazenia samego siebie na atak, wobec którego byłem właściwie bezbronny. A takiej sytuacji nie zamierzałem ryzykować. Istniało jednak jeszcze inne wyjście: wyprowadzenie bestii na otwartą przestrzeń i unieszkodliwienie jej przy pomocy oszalamiacza.

Sprawdziłem pasek Dagny, leżący przy mnie, z szeroko otwartymi oczyma skierowanymi prosto w skalną ścianę. Tak, wciąż miała swoją latarkę. Gdy wyciągałem ją Dagny nie reagowała, bezwładna jak lalka.

-Posłuchaj, Dinan. - Wiele zależało teraz od jego współpracy. Jeżeli miałem pokonać stworę, musiałem zmierzyć się z nim na dnie groty i to jak najdalej od dzieci. Skierowałem światło latarki na skałę, w kierunku, który mu siał być kierunkiem naszej ucieczki. Niezbyt wysoko nad moją głową widniała skalna polka, najszerza spośród tych, jakie udało mi się zauważyć podczas opuszczania się do groty, o wiele wygodniejsza niż fragment płaskiej skały, na którym tymczasowe schronienie znalazły dzieci. - Oto, co musimy zrobić. Nie mogę ryzykować wspinania się razem z Dagny, ponieważ jest... chora, a ta bestia w każdej chwili może nas zaatakować. Dlatego chce, żebyście oboje poczekali na tej polce. Zostawie wam latarkę. Pilnuj jej jak oka w głowie. Ja będę czekał na dole, z moją własną latarką jako przynętą. Kiedy stwor zaatakuje ją...

-Ale nie masz przecież żadnej broni! Nie masz, na przykład, miotacza laserowego? - Głos Dinana drżał, jednak chłopiec rozumował całkiem jasno.

-Nie, musi mi wystarczyć mój oszalamiacz. Nastawiony jest na pełną moc. Jeżeli będę ostrożny, a z całą pewnością będę, oszalamiacz powinien mi wystarczyć. Unieszkodliwie tego stworę, bo w sytuacji, gdy zdolny jest do ataku, wspinając się w górę, narazilibyśmy się na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Ujrzałem, jak Dinan kiwa głową i mocno zaciska dłonie na latarce, którą wydobyłem zza paska Dagny. Kostki na jego piściach zrobiły się białe.

Latarka, którą chłopiec rzucił poprzednio nieznanemu stworowi migiała coraz szybciej, a jej światło było coraz słabsze. Nasłuchiwałem, jednak odgłosy mojego przeciwnika umilkły i mogłem mieć tylko nadzieję, że nie oznacza to przygotowania do jakiegoś gwałtownego ataku.

Wysilek, jaki włożyłem w umieszczenie Dagny na polce, którą wybrałem na tymczasowe schronienie dla dzieci, potwierdził moje obawy, że droga do góry będzie niezwykle ciężka. Nie miałem co marzyć, że udało by się ją pokonać, mając odsłonięte plecy i będąc w każdej

chwili zagrożonym gwałtownym atakiem. Wiedziałem, że nie mam wyjścia; muszę unieszkodliwić stwora, inaczej nigdy nie powróce z dziećmi do schronu.

Kiedy dzieci były już w miarę bezpieczne, przez chwile odpoczywałem, równocześnie wydając Dinanowi ostatnie polecenia.

-Zejdź teraz w dół, niedaleko latarki, którą rzuciłeś. Włącz moją i wcisnij ją między skały. Znajdziesz się pomiędzy wami a bestią. Nie włączajcie swojego światła. To bardzo ważne. Jeżeli ten stwór reaguje na ciepło, zwróci uwagę przede wszystkim na moją latarkę, a wy będziecie bezpieczni.

-Tak, Vere.

Wrezyłem mu pojemnik z wodą i zapasy.

-Daj Dagny trochę wody, jeżeli potrafisz skłonić ją do picia. W tej torbie są racje energetyczne. Sprawdź, czy Dagny będzie jadła. Oboje potrzebujecie energii, żeby przetrwać w tym zimnie. A teraz wszyscy musimy być cicho. Jeżeli przez dłuższy czas niczego nie będziesz słyszał, Dinan, nie przejmuj się. Być może trochę będziemy musieli poczekać na naszego przeciwnika.

Miałem nadzieję, że nie potrwa to zbyt długo. Zimno panujące w tej grocie było tak straszliwe, że bez wątpliwości dzieci nie mogły znieść go w nieskończoność. Doskwierало reszta i mnie, z każdą chwilą coraz natręcyjniej. Obawiałem się, że im dłużej to potrwa, tym słabszy będę w ewentualnej walce.

Okresy ciemności, spowodowane migotaniem latarki Dinana, były coraz dłuższe. Jej blask był słabszy z każdą upływającą minutą. Zbliżyłem się do niej bardzo ostrożnie, powoli; byłem gotów do walki, chociaż wiedziałem, że szanse moje tutaj, pod ziemią, na terenie doskonale znanym przez przeciwnika, są o wiele mniejsze, niż byłoby to na powierzchni planety. Niepokoiła mnie przedłużająca się cisza, a wyobrażenia podsuwała mi obrazy stwora, czającego się w jakiejś skalnej szczelinie, doskonale zorientowanego w każdym moim ruchu, gotowego w każdej chwili do ataku tak błyskawicznego, że nie zdążyłbym zastosować mojego oszłamiacza. Wsunąłem latarkę między dwie skały, włączyłem ją i szybko ukryłem się w ciemności, czekając. Chłód usztywniał mnie, bałem się, że w wymagającym szybkiej reakcji momencie moje ruchy nie będą dość zwinne. Musiałem przez cały czas ruszać się, rozgrzewać, gdyż w przeciwnym razie zapewne bym zmarzł. Nie mogłem obserwować wskazówek na moim zegarku i nieswiadomość upływającego czasu stała się kolejną przyczyną mojej udreki.

Zaden dźwięk nie obwiescił zawczasu przybycia stwora, po prostu w pewnej chwili znalazł się przy mnie. Stał, z głową przechyloną lekko na bok, pyskiem skierowanym wprost na latarkę, przygarbiony, zainteresowany jedynie światłem, a może również mną, gdyż znajdowałem się za latarką, dokładnie na wprost niego.

Miał przerazająca szarobiała skóra. Dinan miał rację - w jego głowie widoczne były dwa małe zagłębienia, które mogły być miejscami na oczy. Oczu jednak nie miał, gdyż pozbawiła go ich wielowiekowa ewolucja. Dziwiłem się, jakim cudem tak wielkie stworzenie mogło znaleźć w tych czarnych czelusciach warunki wystarczające na przeżycie. Zawsze zdawało mi się, że w takich warunkach zdolne do samodzielnego bytowania były jedynie niewielkie istoty, żyjące bardzo krótko. Tymczasem to stworzenie miało wzrost równy mojemu i stało na tylnych nogach. W dodatku nie pozostawiało wątpliwości, że poruszanie się na dwóch nogach jest dla niego codziennością, ponieważ jego przednie kończyny miały wymiary o wiele mniejsze i zdawały się o wiele słabsze. Poza tym, trzymało je bardzo blisko brzucha.

Niesamowitości dodawał mojemu przeciwnikowi wygląd, jakby składał się z samego szkieletu i skóry. Jego ciało zdradzało, że jest w najwyższym stopniu wyglodniały. A jednak poruszał się czujnie, nie przejawiał żadnych objawów osłabienia, zatem musiał to być jego naturalny wygląd.

Jako dwunożny, sprawiał o wiele groźniejsze wrażenie, niż gdyby poruszał się na czterech łapach. Przyzwyczajeni jesteśmy kojarzyć wysoką inteligencję ze zdolnością do poruszania się na dwóch nogach, chociaż takie skojarzenie może być bardzo mylące. Tym razem jednak odnosiłem wrażenie, że nie mam do czynienia z bezmyślną bestią, lecz raczej z czymś, co rządzi tym podziemnym światem tak, jak człowiek rządzi na powierzchni planety.

Nie miałem jednak czasu na rozważania. Pozbawiony wzroku leb krecił się na lewo i prawo, jednak bez wątplenia w centrum jego uwagi pozostawała latarka. Stwor miał długą i wąską czaszkę oraz małe usta o grubych wargach, jakby żywił się jedynie ssac i żuć, a nigdy nie gryźć. Był w każdym razie potworem z najbardziej koszmarnego snu.

Teraz, bez żadnego ostrzeżenia, stwor zaatakował. Spóźniłem się z reakcją sekundę, albo dwie. Być może niesamowity wygląd przeciwnika tak mnie poraził, że straciłem na chwilę czujność. Miało mnie to drogo kosztować. Chwyciłem oszałamiacz i nacisnąwszy jego guzik spustowy, wymierzyłem prosto w głowę potwora, wiedząc, że właśnie leb jest miejscem najbardziej podatnym na działanie tej broni.

Mimo że oszałamiacz był skuteczny wobec większości żywych istot, teraz jakby nie wywarł żadnego wrażenia na stworze. A ja nawet nie zauważyłem, jak bestia zmieniła kierunek natarcia i teraz nie kierowała się na latarkę, lecz wprost na mnie. A łapy, które dotąd zdawały mi się tak słabe, teraz zamierzyły się na mnie, ukazując długie szpony, gotowe rozerwać mnie na strzępy.

Znowu użyłem oszałamiacza celując w leb bestii, jednak trucizna, która normalnie była w stanie powalić na ziemię o wiele większe istoty, tej nie wyrzuciła najmniejszej nawet krzywdy. Stwor natomiast nagle podskoczył i to tak wysoko, że jego tylne łapy znalazły się na wysokości mojej głowy. Myślałem, że zaraz opadnie na ziemię, on jednak wykonał swój skok tylko po to, by znaleźć się nade mną, na skale, pod którą kucalem. Natychmiast odwrócił się i z gory zamierzył się na mnie przednią łapą. Slepota najwyraźniej nie stanowiła

dla niego zadnego problemu.

Miałem szczęście, bo ostre szpony nie rozszarpały mi głowy, drac jedynie tunike na moim prawym ramieniu i lekko tylko zahaczając o skóre, na której zaraz pojawiły się krwawe pęgi. Zdaje się, że uratowało mnie to, iż polka skalna, na której stał zwierz, była bardzo mała i pochylając się, nie zachował należytej równowagi.

Rzuciłem się w prawo i schowałem za skalą, jednak w tym momencie stwor znalazł się pomiędzy mną a dziećmi. Wiedziałem, że gdy mnie pokona, dobiegnie do nich z łatwością. Dlatego musiałem odciągnąć go w przeciwnym kierunku, mimo iż nie miałem pojęcia, jak długo jeszcze będę w stanie prowadzić tę desperacką grę.

Oszalamiacz zdawał się bezużyteczną bronią. Dwa potężne strzały w głowę bestii, które oddałem, powinny były go powalić, a w rzeczywistości nie wyrzuciły mu nic złego. W tej sytuacji rzuciłem się po latarkę Dinana, wciąż migotająca na ziemi. Nie potrzebowałem jej wcale jako przynęty. Bestia była wściekła i nie pragnęła niczego poza zanurzeniem we mnie swoich szponów. A jednak promienie lampy jakby były dla niej ważniejsze. Niespodziewanie usiadła na jakiejś skale, dając mi czas na zebranie sił do kolejnego starcia, podczas gdy ona sama, z łbem przekrzywionym pod ostrym kątem, wpatrywała się w blask, którego nie widziała, ale który musiała wyczuwać jakimś innym zmysłem.

Uznałem, że w lodowatym zimnie, w jakim stwor ciągle przebywa, nawet latarka, źródło niewielkiego przeciw ciepła, musi stanowić dla niego źródło zainteresowania i niepokoju. Jeżeli tak właśnie jest, to wielka szkoda, że nie dysponuję laserem. Westchnąłem ciężko. Z równym powodzeniem mogłem teraz marzyć o pociskach międzyplanetarnych.

Zaczęłem cofać się, jak najdalej od osypiska i jak najdalej od dzieci, a bestia niespodziewanie oderwała się od skały i zaczęła iść powoli w moim kierunku, zachowując się przy tym tak, jakby coś ją ku mnie przywolywało, jakbym grał na fujarce Lugarda. Szła jednak, krok za krokiem, bardzo ostrożnie.

Idąc w ten sposób, krok za krokiem, ciągle tyłem, prowadziłem jak na sznurku swego przesładowce tak długo, aż w końcu dotarliśmy do bardzo dziwnego miejsca. Ujrzałem stalagmity lodu, wielkie filary, zwisające w dół niczym wielkie zęby, budzące się jakby tysiącami iskier z głębokiego snu, kiedy dotykało je światło latarki. Część podłoża pokryta była przezroczystymi płytami lodu, utworzonymi z heksagonalnych pryzm, stojących wertykalnie, a ich granice wyraźnie widoczne były na powierzchni. Część ścian, które mijaliśmy i które oświetlała moja latarka była jeszcze bardziej krystalicznie czysta, jeszcze bardziej przejrzysta. W innych okolicznościach widoki te zachwyciłyby mnie. Teraz byłem jednak spięty i po prostu bałem się, że na tym wspaniałym lodzie poślizgnę się i nic mnie już nie uratuje przed szponami mojego przesładowcy.

Bestia nie obawiała się zimna. Zapewne znajdowała się w środowisku, w którym spędzała cały żywot, chociaż jej postura przeczyła wszystkiemu, co ludzie wiedzieli o takim życiu.

Moje ramie i piers krwawily, a chlod przenikal moje ciało przez postrzepiona tunike. Jezeli ten marsz potrwa jeszcze troche, zimno stanie sie ostatecznym sprzymierzencem bestii. Nie majac nic do stracenia, po raz trzeci unioslem oszalamiacz i wystrzelilem, tym razem nie w glowe, lecz w korpus - i to z oszalamiajacym rezultatem.

Bestia zadrzala w swietle lampy i uniosla glowe. Nagle z jej paszczy wydobyl sie dziwaczny dzwiek, ktoremu natychmiast odpowiedzial nastepny i to, o zgrozo, zza moich plecow!

Przerazony, odwrocilem sie, uderzylem sie o jeden z lodowych filarow i natychmiast upadlem. Oszalamiacz wypadl mi z reki, cudem utrzymalem w dloni latarke. Moje ciało przekrecilo sie na sliskiej nawierzchni, mocno uderzylem o nia zdrowym ramieniem i nagle ujrzałem pod nia obiekty, które z cala pewnoscia nie powinny tam sie znajdowac. W miejscu, na ktore upadlem, lod niespodziewanie pekl.

Zapewne tkwily w lodzie juz od bardzo dawna, lecz cos lub ktos niedawno rozpoczal proces wydobywania ich z jego okowow. Widzialem ich cienie i ksztalty, pokryte lodem. Z pekniatego lodu wystawal natomiast pret, ktorego drugi koniec znajdowal sie we wnetrzu jednego z przedmiotow, lub przynajmniej wbity byl w dno dziwaczego pojemnika, w ktorym sie on znajdowal. Chwycilem ten pret majac nadzieje, ze okaze sie on uzyteczna bronia. Byl na tyle ciezkki, ze wydobywszy go z lodu, z trudem obracalem nim jedna reka.

Tymczasem uslyszalem kolejny odglos wydany przez bestie, o wiele glosniejszy od poprzednich. Nie tracilem czasu na powstawanie na nogi, podciagnalem sie tylko na kolana i zatoczyłem pretem szerokie kolo. Nagle z czubka tego tajemniczego preta wydobyl sie skrzacy promien i uderzyl w jeden z lodowych filarow. Natychmiast uslyszalem syk i ku gorze uniosl sie oblok pary, a lodowy filar w jednej chwili zamienil sie w gotujaca wode. Kolejny raz zatoczyłem pretem szeroki promien, tym razem juz jednak wiedzialem, czego chce. Promien dotarl do szyi mojego przesladowcy i blyskawicznie odcial mu leb, który z gluchym odglosem spadl na lod. Bestia jednak nadal stala na nogach i zmierzala w moim kierunku! Dopiero kolejny cios, który wymierzylem w jej piersi, zatrzymal ja, zachwial, az wreszcie przewrocila sie i znieruchomiala.

Tymczasem spomiedzy gestwiny lodowych filarow wytoczyl sie nastepny stwor. Wyczuwszy swiatlo, stal sie od razu bardzo czujny. Zaczal krazyc wokol mnie, poruszajac sie ze sprawnoscia, która mnie przerazala, bowiem moje własne reakcje spowolnione byly przez chlod i rany. Nie byłem w stanie celowac moim pretem. Po prostu unioslem go i zamierzylem sie bardzo szeroko, majac nadzieje, ze w ten sposob na pewno unieszkodliwie bestie.

Tak własnie sie stalo, bestia padla, ale narobilem przy tym nieopisanego zniszczenia. Lodowe filary zaczely pekac z hukiem jeden po drugim. Lodowa sciana jakby topila sie. Nagle powstala w niej wielka, czarna dziura i z tej dziury wydobyl sie przerazajacy, glosny dzwiek.

Przez chwile lezałem w miejscu, nie mając dość siły, by powstać na nogi. Wiedziałem jednak, że długo nie mogę pozostać w tej pozycji. Używając cudownego preta jako podporki, z trudem uniosłem się. Niepewnie podszedłem do czarnej dziury, która wyciała mój pret i zaświeciłem do środka latarką. Światło trafiło na skrzypiącą tafle wody. Pod ziemią płynęła rzeka; wypływała z jakiegoś czarnej czeluści i w takiej samej otchłani znikala.

Zaczęłem powoli cofać się do miejsca, w którym pozostawiłem dzieci, świecić do przodu latarką, aby Dinan wcześniej mógł zorientować się, że to właśnie ja wracam.

-Vere! Vere! - Usłyszałem znajome nawoływanie i oparłem się o skałę, by zastanowić się, co teraz poczwać. Resztki mojej podartej tuniki przycisnąłem tak mocno do ran, jak tylko mogłem. Krew ciągle saczyła się z nich grubymi strugami. Poza tym dreczyło mnie potworne zimno. Nie, nie byłem w stanie wspinać się do naszego obozu, obciążony bezwładną Dagny, a ze strony drobnego Dinana nie mogłem spodziewać się istotnej pomocy. Nie mogłem też pozostawić tutaj dziewczynki i oddać się w poszukiwaniu pomocy.

-Dinan...

-Tak, Vere? - zareagował natychmiast.

-Czy sądzisz, że bylbys w stanie wspiąć się po tym osypisku i wrócić do obozu? - zapytałem go. Prosiłem go o bardzo niebezpieczną rzecz. Nie byłem przecież pewien, czy dwa potwory, które zabiłem były jedynymi reprezentantami swojego gatunku w tej okolicy. Nie wiedziałem też, czy chłopiec rzeczywiście będzie w stanie, bez żadnej pomocy, dostać się do obozu. Droga była przecież wąska i ciągle prowadziła pod górę.

-Spróbuj, Vere.

-Musisz się udać, Dinan.

Nie mogłem okazać mu swojej niepewności. Musiałem być teraz zdecydowany, stanowczy głos powinien dodać chłopcu pewności, niezbędnej do pokonania trudnej drogi.

-Posłuchaj - odezwałem się znowu. - Mam tutaj bron. Nie wiem, co to jest, znalazłem to tam, dokąd zaprowadził mnie ten stwor. Wystarczy, że wymierzysz ten pret w swój cel, mocno scisniesz pret palcami i natychmiast wystrzeli niesamowicie gorącym promieniem. Dam ci go. Jeżeli spotkasz na swojej drodze jakiegokolwiek przeciwnika, strzelaj w sam środek jego ciała, jasne?

-Tak, Vere. - W jego głosie usłyszałem niezbędną odrobinę pewności. Być może jej powodem była bron, którą dostał do ręki, a może sprawiła to moja postawa. W każdym razie zyskałem przynajmniej tyle i musiałem być zadowolony.

Teraz jednak ja byłem bezbronny. Rozejrzałem się dookoła niespokojnie, przekonany, że

skoro mam tu zostac sam z Dagny, musze zdobyc dla siebie cos, co w minimalnym chociaz stopniu mogloby zabezpieczyc dziewczynke i mnie przed atakiem.

-Poczekaj, Dinan. Zanim odejdziesz, musze zdobyc jakas bron.

Natychmiast rozpozczalem poszukiwania, nie pozwalajac sobie ani na chwile odpoczynku, wiedzac, ze jesli choc na chwile usiade, nie bede juz w stanie wstac. Rany po szponach piekly mnie niemilosiernym ogniem. Pomyslalem, jak slodko byloby teraz polozyc sie i zasnac, nawet gdybym mial juz nigdy nie obudzic sie ze snu. Natychmiast jednak odegnalem od siebie te mysl i skoncentrowalem sie na poszukiwaniu drugiego magicznego preta. Najszybciej jak moglem, ruszyłem w kierunku skutej lodem groty.

Przeszedłem nad zwlokami potwora, a swiatlo mojej latarki natrafilo na w polowie stopiona sciane i wystajacy z niej pojemnik.

Wydobylem z niego kolejny magiczny pret. Tkwily w nim jeszcze dwa inne, jednak te, jak zauwazyłem w swietle latarki, byly inne. Ten, który wyciagnalem, byl stalowoniebieski, tak jak ten pierwszy, dwa kolejne mialy matowosrebrny kolor. Pret, który postanowilem zabrac, wycelowalem w jeden z lodowych filarów i wystrzelilem. Filar stopil sie jak i poprzednie, tylko ze ten akurat pod powloka byl pusty. W wielu innych, jak i pod lodem, po którym stapalem, widzialem natomiast tajemnicze pojemniki i masywne pudla, których kształtów nie byłem w stanie dokładnie okreslic. Czy to wlasnie byl skarb Lugarda? Jezeli tak, kto go tutaj pozostawil i jak dawno temu? I czy to Lugard rozpoczel proces wydobywania z lodu tego, co tutaj zastalem?

Na moment pociemnilo mi w oczach i zatoczylem sie. Uderzyłem bolesnie golenia o krawedz jednego z pojemników. Probujac odzyskac rownowage dlon z latarka oparłem o jego ciemna powierzchnie. I wtedy, w momencie gdy swiatlo padlo na nia pod katem prostym, ujrzalem to, co krylo sie pod powierzchnia. Byla to glowa podobna do tych, jakie mialy znane mi potwory. Nie, ta glowa miala przeciez oczy, chociaz ogolnie rzecz biorac kształt czaszki byl taki sam, moze byla ona nawet troche bardziej okragla. Czy moj przeciwnik i jego kompan mogli takze tkwic w tej podziemnej krainie lodu od calych wiekow? Nie bylo to niemozliwe, czlowiek, który odbyl juz tyle podrozy w przestrzeni, widzial juz w roznych swiatach wiele rzeczy i zjawisk, których nie byl w stanie wyjasnic w racjonalny sposob.

Nie mialem juz wiecej czasu na spekulacje, ani na bardziej szczegolowe przygladanie sie mojemu znalezisku. Musialem wyprawic Dinana w droge po pomoc. Resztkami sil dowlokłem sie z powrotem do blizniaków.

Rozdzial dziewiaty

Kiedy Dinan odszedl, przysiadłem na malej polce skalnej, otoczywszy ramieniem Dagny. Jej pojekiwania byly coraz cichsze, jej oczy przymkniete. Wiedzialem, ze dziewczynka

znajduje się w złym stanie. Ze mną też nie było najlepiej. Podczas, gdy tajemniczy pret położyłem przy nodze, wolną dłoń wciąż przyciskałem do ran. Drzałem z zimna i z bólu. Powinienem być poruszać się razem z Dagny, żeby trzymać ciepło w naszych ciałach, żeby podtrzymać krążenie. Jednak Dagny była teraz dla mnie ogromnym ciężarem, gdyż sam byłem osłabiony. Poza tym bałem się ruszać. Zabiełem, co prawda, dwa stworzy, jednak pomiędzy lodowymi filarami mogło czaić się ich o wiele więcej. Im dalej od lodowej groty, tym byłem bezpieczniejszy, postanowiłem więc nie ruszać się z miejsca.

Myslałem coraz wolniej, każda myśl coraz szybciej umykała mi, jakby kryła się za gęstą mgłą. Byłem senny, bardzo senny. Resztkami sił odganiałem sen. Zdawałem sobie sprawę, że sen oznacza pewną śmierć. Nawet jeżeli nie zaskoczyłby mnie we śnie żaden podziemny stwor, to istniało duże prawdopodobieństwo, że po prostu we śnie bym zmarł, a razem ze mną nieszczęsna Dagny. Zmusiłem się, żeby powstać na nogi. Odniosłem wrażenie, że nawet stąd słysze szum podziemnej rzeki.

Rzeka; przecież jej wody musiały dokądś zmierzać. A jeśli byśmy zawierzili rzece, szukając drogi wyjścia z podziemi? Nie słyszałem o żadnych większych rzekach w krainie lawy. Jednak ta część Beltane nigdy nie została w pełni zbadana. W ostatnich latach, kiedy ludzi pozostało na planecie tak niewiele i większość z nich skupiła się na pracy w laboratoriach, nie interesowano się zbyt, co leżało poza granicami osiedli. Jedynie Rezerwaty zamieszkałe przez zwierzęta były na wszelki wypadek patrolowane. Nie miałem żadnych wątpliwości, że Wedrowcy byli pierwszymi, którzy wkroczyli do krainy lawy od czasu, kiedy zamknięto Butte Hold.

A więc rzeka mogła być wybawieniem z podziemnej opresji. Właściwie, skoro nie dotarliśmy do żadnego innego wyjścia, musiała być wybawieniem.

Ciało Dagny na moim ramieniu przybierało jakby coraz większy ciężar w miarę, jak upływał czas. Zapomniałem spojrzeć na zegarek, kiedy Dinan mnie opuszczał, dlatego teraz sprawdzanie godziny na nic mi się nie zdawało. Ludziłem się, że pomoc nadejdzie szybko. Droga powrotna nie była przecież długa; o ile nie pojawi się na niej nic nieprzewidzianego, na przykład kolejna ślepa bestia.

A jednak Dinan był tylko małym chłopcem, przestraszonym, zziębniętym, zmęczonym. Sygnalem do pojemnika z żywnością, chcąc się posilić i nakarmić Dagny. Spojrzałem na twarzyczkę dziewczynki; pomazana była żywnością. A więc już Dinan próbował ją nakarmić. Kiedy jednak przystąpiłem do tego samego, zacisnęła usta i zrozumiałem, że z karmienia nic nie będzie, dziewczynka nie chce, bądź nie może, przyjąć żadnego pokarmu.

Zacząłem jeść sam. Energetyczne racje miały ostry, nieprzyjemny smak, jednak służyły błyskawicznemu uzupełnianiu zapasów energii, jej smak miał drugorzędne znaczenie; dlatego zmusiłem się do skonsumowania całej racji. Dagny wciąż jęczała, a czas wlokł się niemiłosiernie powoli. Odnosiłem nieprzyjemne wrażenie, że ten dzień nigdy już się nie skończy.

Zdawalem sobie sprawe, ze musze byc nieustannie czujny. Szybko zrozumialem, ze jesli bede mocno naciskal dlonia na swe rany, bol spowodowany tym dotykami nie pozwoli mi ani na chwile odretwienia. A jednak, w miare jak mijal czas i nie docieraly do mnie zadne odglosy, ktore swiadczylyby o nadchodzacej pomocy, coraz bardziej tracilem czujnosc i nadzieje. Czy Dinan jest w stanie sprawic, by pomoc przybyla z wlasciwym ekwipunkiem? Dlaczego nie wyjasnilem mu dokladnie, czego potrzebujemy, zanim odszedl? Powinienem byl dokladnie powiedziec mu, jaki sprzet bedzie potrzebny do wydostania stad dziewczynki i mnie. Nie powinienem byl ufac jego rozsadkowi...

W tym jednak mylilem sie, bowiem kiedy wreszcie nadeszli, okazalo sie, ze moi wybawiciele sa doskonale przygotowani do akcji. Mieli ze soba liny, ktorych wczesniej uzylismy do opuszczania Lugarda ze skalnych polek. Thad nawet opuscil sie na dol, by asekurowac bezwladne cialo Dagny podczas wciagania jej. Okazalo sie, ze jego pomoc potrzebna byla nie tylko dziewczynce...

Kiedy ja sam sprobowalem poruszyc sie, okazalo sie, ze jestem tak sztywny i oslabiony, ze nie potrafie dac sobie rady ze wspinaczka, dlatego musialem poczekac, az Thad opuscil sie do mnie ponownie. Dopiero wtedy, przy jego asysty i nieocenionej pomocy, zaczalem wspinac sie na gore.

Robilem, co moglem, zeby ulzyc ciezkemu zadaniu Thada, ktory eskortowal mnie podczas wspinaczki, jednak moglem naprawde niewiele. Poruszalismy sie bardzo powoli, moze nawet wolniej niz wtedy, gdy transportowalismy nieprzytomnego Lugarda. Dlatego duzo czasu minelo, zanim znalazlem sie wreszcie na plaskiej powierzchni i w koncu, skrajnie wycieczony, padlem twarza na ziemie.

Ulozyli mnie w miare wygodnie i oswieclili tak poteznymi lampami, ze musialem zaciskac oczy, by nie oslepnac. Dlatego nic nie widzialem, kiedy ogladano moje rany, usuwajac z nich szmaty, ktorych uzylem, by zatamowac krwawienie. W pewnym momencie poczulem na goracych ranach wspanialy chlod i juz wiedzialem, ze to efekt dzialania ochladzacza z zestawu pierwszej pomocy. Ulga byla tak wielka, ze, mimo iz wciaz drzalem, otworzylem oczy i skupilem wzrok na twarzach Annet i Thada. Troche dalej kucala Gytha, z Dagny w ramionach; Pritha co chwile ocierala sline, ciekna z ust dziewczynki i probowala wlewac do nich wode.

-Czy mozesz chodzic? - zapytala mnie Annet, starannie wymawiajac poszczegolne slowa, jakbym byl przybyszem z innego swiata.

Pomyslalem, ze nie jest istotne, co moze lecz co musze robic. A wiec, musialem chodzic. Gdyby mieli mnie transportowac nawet po gladkiej, poziomej i szerokiej powierzchni i tak bylbym zbyt wielkim ciezarem. A teraz, ze wzgledu na Dagny, bardzo liczy sie czas. Musielismy jak najszybciej znalezc sie w schronie. Na szczescie, moje rany byly juz opatrzone i odzyskalem troche sil.

Z trudem, przy pomocy Thada i Annet, powstałem na nogi. Po kilku krokach uznałem, że jestem w stanie chodzić; trochę jeszcze chwiałem się, ale to nie miało znaczenia, wiedziałem, że taki stan wkrótce minie.

-Ze mną wszystko w porządku - powiedziałem do Annet. - Zajmij się nią - ruchem głowy wskazałem Dagny. - Ona potrzebuje teraz największej troski.

Annet wzięła małą dziewczynkę z rąk swojej siostry. Wątpiłem, czy najczulsza opieka może pomóc teraz dziewczynce, jednak wiedziałem, że Annet zrobi wszystko, co w jej mocy, by było jej jak najlepiej. Zapewne jedynie upływ czasu był w stanie tak naprawdę pomóc małej Dagny i minie go wiele, zanim powróci do normalnego stanu, o ile, oczywiście, nie znajdziemy dla niej pomocy na powierzchni Beltane. A nadzieje mieliśmy tylko pod tym warunkiem, że port na planecie i mieszkający na niej ludzie ciągle istnieją.

Przy moim boku pojawiła się Gytha. Tak jak kiedyś ja pomogłem Lugardowi, tak teraz ona uniosła moje zdrowe ramię i położyła je na swoim własnym, oferując pomoc, której potrzebowałem. Reszty podróży właściwie nie pamiętam. Pamięć powróciła do mnie, kiedy po raz kolejny obudziłem się na łóżku w schronie.

Tym razem wszystkie łóżka dookoła mnie zajęte były przez śpiące dzieci. Ktoś cicho poje kiwał przez sen, ktoś chrapał, jednak w pokoju dominowały odgłosy równomiernych, spokojnych i głębokich oddechów. Zaczęłem badać dłońmi swe własne ciało. Mojej tuniki nie było. Dotknąłem palcami opatrunków na ranach i ten krótki, lekki dotyk, spowodował atak ogromnego bólu. Miałem szczęście, że byliśmy świetnie zaopatrzeni w środki medyczne; doskonale zdawałem sobie sprawę, że właściwie opatrzone, siły odzyskam błyskawicznie. Byłem jednak głodny i to głód mnie obudził. Powoli usiadłem, po czym, ostrożnie powstawszy na nogi, poszedłem do kuchni, pozostawiając okrywające mnie przescieradła na łóżku. Było tu trochę jasniej niż w sypialni, gdzie Annet pozostawiła włączone tylko jedno światło; nie chciała, byśmy przebywali w całkowitej ciemności, takiej jak w jaskiniach, ale zarazem nie pozwalała, by światło przeszkadzało w odpoczynku.

Podszedłem do polki, na której stały puszki i inne naczynia z żywnością.

Otwarcie puszek z porcją żywnościową sprawiło mi mnóstwo kłopotów. Mimo że moje rany szybko goiły się, wciąż właściwie byłem w stanie posługiwać się tylko jedną ręką. Dlatego pokrywę z puszek zerwałem zębami, a potem przez chwilę czekałem, aż jej zawartość podgrzeje się; tak działo się ze wszystkimi racjami energetycznymi. Wkrótce poczułem tak wspaniały zapach, że w moich ustach pojawiło się mnóstwo śliny. Nie czekałem więc, aż jedzenie będzie gorące, lecz gwałtownie zacząłem wprost pozerac zawartość puszek.

-Ty?...

Odwrociłem się i ujrzałem w progu Annet z przescieradłem zarzuconym na ramiona. Oczywiście miała napuchniętą i twarz ściętą; nie była już nastoletnią dziewczynką, lecz kobietą, która

miała za sobą ciężkie dni i zapewne jeszcze cięższe noce.

-Co z Dagny? - zapytałem.

Potrzasnęła głową i weszła do kuchni, starannie zamykając za sobą drzwi. Wtedy, jak ktoś, kto nie zastanawia się, co robi, dotknęła przycisku na ścianie i światło w kuchni stało się jasniejsze.

-W zbiorniku jest kawa - powiedziała zmęczonym głosem. - Naciśnij tylko przycisk.

Wziąłem pusty czajniczek i uczyniłem, co nakazała, po czym ustawiłem na stoliku dwie filiżanki. Nie uczyniła żadnego ruchu, żeby mi pomóc. Usiadła jedynie ciężko, kładąc oba łokcie na stół i ciężko opuszczając głowę na dłoń.

-Być może w porcie ktoś jej pomoże - powiedziała, jednak w jej głosie brzmiało wyraźne powątpiewanie. - Co z korytarzami, Vere? Czy jesteśmy w stanie stąd wyjść?

Przez cały czas posługując się jedną ręką, nalałem kawę do filiżanek, po czym wsypałem do nich po dwie łyżeczki krystalicznego słodzika. Pomieszałem kawę Annet, zanim zająłem się własną filiżanką.

-Oba są zablokowane. Chyba nie mamy żadnego sprzętu, a przynajmniej jeszcze nie znaleźliśmy, żeby rozbic blokadę.

Annet wpatrywała się przed siebie niewidzącym wzrokiem; nie zauważała ani kawy, ani mnie. Rozumiałem jej niepokój, przecież chodziło o jak najszybsze wydostanie z podziemi nieszczęsnej Dagny.

-Odkryłem jednak coś jeszcze, w grocie lodowej...

-Wiem, prete. Dinan zaprezentował go nam.

-Funkcjonuje dokładnie jak laser. Być może dzięki niemu właśnie przebijemy barykadę. Ale jest także rzeka...

-Rzeka? - powtórzyła Annet glucho, a potem nagle zainteresowała się: - Rzeka?

Usiadłem naprzeciwko niej, uradowany, że wreszcie przełamałem trochę jej zniechęcenie. Pomiedzy kolejnymi łykami kawy opowiedziałem jej o stopieniu lodowej ściany i o tym, jak dotarłem do podziemnej rzeki.

-Ale przecież z tym pretem możesz wypalić przejście w którymkolwiek z tuneli - zauważyła. - To chyba lepsze, niż zaprzatanie sobie głowy strumieniem, który płynie nie wiadomo dokąd. Skoro potrafisz rozbic skalną ścianę, pokrytą grubym lodem, to z pewnością rozbijesz także barykadę.

Musialem przyznac, ze rozumowala logicznie. Mimo ze moje mysli coraz intensywniej krazyly wokol tej wody, rozsadek nakazywal mi, bym wlasnie pretem wypalil droge na zewnatrz.

Sprobowalem wiec, lecz bez efektu. Szybko okazalo sie, ze moj tajemniczy pret, po kilkakrotnym wykorzystaniu, po prostu utracil caly zasob energii. Najprawdopodobniej zuzylem caly jego ladunek w walce przeciwko potworom. Gdy sprobowalem posluzyc sie drugim pretem, tym, który miał Dinan, wydobyl z siebie jedynie drobna iskerke i rowniez odmowil posluszenstwa.

Annet tymczasem bezustannie zajmowala sie Dagny. Starala sie, by dziewczynka przyjmowala przynajmniej tyle pokarmu i napojow, by pozostac przy zyciu. Poza tym nic wiecej nie byla w stanie zrobic. Po dlugich namowach z mojej strony zgodzila sie, by podjac probe wydostania sie z podziemi rzeka.

Wkrotce przekonalismy sie, ze woda za skalna sciana siega nam do pasa, jednak o przebyciu jej w brod nie mielismy co marzyc, tak byla zimna i tak rwacy byl jej nurt. Byla tez krystalicznie przejrzysta, niesamowicie czysta.

Zgromadzilismy zapasy niezbedne do drogi i przystapilismy do konstruowania tratwy, ktora przenioslaby nasze pakunki i nas samych.

Oczywiscie, zawsze istnialo prawdopodobienstwo, ze natrafimy na tunele calkowicie wypelnione woda. Naszym zabezpieczeniem przeciwko takiej niespodziance byla nie przepuszczajaca wody plast-powloka, chociaz nie mogliśmy być pewni, czy rzeczywiscie dzieki niej przetransportujemy bezpiecznie tratwe razem z pasazerami pod woda, dopoki nie zaszlaby taka koniecznosc.

Przygotowujac sie do wodnej wyprawy stracilismy wszelkie poczucie czasu. Jedlismy, spalismy i pracowalismy, kiedy bylismy glodni, zmeczeni i wypoczeci. Zapomnialem, ze mam na rece zegarek, a liczba dni spedzonych pod ziemia juz dawno mylila mi sie. W gruncie rzeczy kazdorazowe poruszenie tego tematu wywoływalo gorace spory, az w koncu przyjeta sugestie Annet, by sie tym nie zajmowac.

Ktoregos dnia wreszcie nasza tratwa byla gotowa. Przygotowalismy ja najlepiej, jak potrafilismy, majac na uwadze przede wszystkim to, by byla maksymalnie bezpieczna. Zaladowalismy ja wszelkimi dobrami, jakie mogly przydac sie nam na powierzchni planety, o ile kiedykolwiek mielismy znow na te powierzchnie dotrzec.

Ostatniej naszej nocy w schronie policzyłem, jak zwykle, wszystkie dzieci przed udaniem sie na spoczynek. Jednego brakowalo. Policzyłem jeszcze raz, dokladnie przypatrujac sie wszystkim lozkom. Gytha... Brakowalo Gythy.

Moje wlasne lozko stalo przy drzwiach, nikt nie mogl wiec wyjsc z pomieszczenia, nie zwracajac mojej uwagi, a jednak przez krotka chwile przebywalem w zaslonietej czesci

sypialni, gdzie nocowały Annet i Dagny; sprawdziłem, czy Annet nie potrzebuje jakiejś pomocy przy dziewczynce. To zapewne wtedy jej siostra wyslizgnęła się na zewnątrz. Ale dokąd? Z całą pewnością nie szukała przygody, wiedząc co spotkało bliźniaki.

Uznałem, że muszę zachować spokój. Postanowiłem nie alarmować wszystkich, zanim sam nie przeprowadzę poszukiwań. Wyszedłem ze schronu, by się rozejrzeć. Już po kilku sekundach moje oczy przystosowały się do ciemności i natychmiast ujrzałem światło latarki, docierające od podstawy skalnych schodów, które wszystkich nas tutaj przywiodły. Zirykowany lekkomyślnością Gythy - przecież nie mogliśmy być pewni, mimo że nie znalazłem już więcej śladów, czy zabiłem wszystkie potwory - ruszyłem w tym właśnie kierunku.

Zamierzałem udzielić dziewczynce ostrej reprymendy, kiedy tylko do niej dotrę, jednak, kiedy zobaczyłem gdzie ona stoi nie tylko zaniemowilem, ale też zatrzymałem się w połowie kroku. Ciemność była tu niemal nieprzenikniona, jednak tylko tak długo, dopóki Gytha nie przystąpiła do pracy; trzymała bowiem w ręce jeden z pretów, które przyniosłem z lodowej groty. Koniec preta wycelowany był w skalną ścianę. Z tego czubka właśnie zaczęły wydobywać się promienne blaski, jasne, chociaż bardzo słabe w porównaniu z tymi, które wydobywały się z preta, gdy walczyłem z potworem.

-Gytha!

Odwrociła głowę, jednak nie rzuciła preta. Na jej twarzy widniał wyraz upartej determinacji, który w tej chwili bardzo upodabniał ją do siostry.

-Powiedziałeś, że prety są bezużyteczne - powiedziała, chcąc usprawiedliwić swe poczynania -jednak doskonale pasują do tego.

Dopiero teraz zauważyłem, że używa dwóch pretów, po to, by wyryć na skale jakiś napis. Taśmy do czytania były na Bekane w tak powszechnym użyciu, że niemal zapomnieliśmy już, co to jest pisanie odręczne. A jednak Gytha знаła tę sztukę; nauczyła się jej, tak jak i wielu innych rzeczy, przeglądając stare taśmy.

- "Griss Lugard" - przeczytała to, co już widniało na ścianie. - "Przyjaciel". Tak, to prawda, był naszym przyjacielem. Uczynił dla nas wszystko, co tylko mógł. Pewnie ucieszyłby się, gdyby mógł zobaczyć ten napis.

Odebrałem jej prety, a potem, do dzisiejszego dnia nie wiem dlaczego, pod jej nieforemnymi literami składającymi się na słowo "Przyjaciel", wydobywając z preta resztki energii dopisałem jedno słowo od siebie. Gytha czytała to słowo, literka po literce, w miarę jak powstawało:

-M-u-z-y-k-a-n-t. Muzykant. Tak, to też by go ucieszyło. Bardzo dobrze, że to napisałeś, Vere. Bardzo dobrze, że na zawsze uwieczniliśmy jego imię na tej skale. Nie potrafiłabym tak po prostu odejść, pozostawić go tutaj, jakby nigdy nie istniał.

Ktos moglby powiedziec, ze zaprezentowala lzawa nostalgii, rodem z powiesci. A jednak miala racje, to, co teraz zrobila, bylo naszym obowiazkiem wobec Lugarda. Bylem uradowany, ze o tym pomyslala.

Tak jak nikt nie zauwazyl naszego znikniecia, nikt tez nie dostrzegl naszego powrotu. Nie zamienilismy juz miedzy soba ani jednego slowa, tylko od razu polozylismy sie do lozek.

Nad "ranem", jezeli w ogole jakakolwiek pore w tych ciemnosciach mozna bylo nazwac porankiem, po raz ostatni sprawdzilismy nasze ladunki. Zaladowalismy na tratwe zapasy, ktore przyniesli do groty Lugard i jego poprzednicy. Ubrany bylem teraz w tunike funkcjonariusza Sluzb, z ktorej poodrywalem oznaki szarzy, gdyz nie mialy juz zadnego znaczenia. Ta, ktora wybralem - najlepiej na mnie pasowala - nalezala kiedys do kapitana. Przez chwile w zadumie zastanawialem sie, co tez stalo sie z tym czlowiekiem, na jednym z odleglych swiatow lub pomiedzy swiatami.

Zeszliśmy do groty lodowej bez wiekszego trudu, transportujac Dagny jak wczesniej Lugarda, dodatkowo owinieta w nieprzemakalna piaste, majaca chronic ja przed zimnem i wilgocią, kiedy juz bedziemy na wodzie. Kłopot sprawilo dopiero opuszczenie tratwy na wode, a potem bezpieczne wejście na jej pokład. A jednak i tego dokonalismy bez wiekszych problemow. Zanim odbilismy od dziury w skalnej scianie, ktora byla dla nas przystania, serce zabilo mi troche mocniej; wcale nie bylem pewien, czy wybieramy rozwiazanie dla nas najlepsze. Szybko odegnalem jednak od siebie wahanie. Chociazby ze wzgledu na Dagny, musieliśmy dzialac teraz szybko i zdecydowanie.

Szczesliwie nurt nie byl wcale tak szybki, jak poczatkowo przypuszczalem. Po prostu byl wystarczajacy, by spokojnie niesc nasza tratwe. Na jej dziobie (o ile tratwa moze miec dziob) umiescilismy jedna z lamp; jej swiatlo powinno w pore wydobyc z mroku kazde zagrazajace nam niebezpieczenstwo. That i ja zajelismy miejsca na burtach, by w razie potrzeby

odpychac tratwe od skalnych scian. Powietrze wciaz bylo zimne, jednak w miare, jak oddalalismy sie od groty, slabl mroz i wkrótce temperatura przypominala juz te, jaka panowala w naszym obozie.

Popatrzyłem na zegarek, gdyz chcialem wiedziec, jak dlugo bedziemy plyneli. Wyruszyliśmy o godzinie dwunastej, nie mialem jednak pojecia, czy ta dwunasta oznaczala polnoc czy poludnie. Po trzeciej godzinie wciaz bylismy w drodze. Raz czy dwa razy skalny sufit znajdowal sie tak nisko nad naszymi glowami, ze musieliśmy klasc sie na tratwie, jednak poza tym me mielismy zadnych powaznych problemow.

W dziesiatej godzinie podrozy nie wiedzielismy, jak dluga droge juz pokonalismy. Ale to wlasnie w tej dziesiatej godzinie Emrys niespodziewanie podniosl reke do gory i wskazujac palcem, wykrzyknal:

-Gwiazda!

W tej samej chwili światło lampy wydobyło z mroku roślinność, która z całą pewnością nie była w stanie wegetować pod ziemią. Nagle poczulismy powietrze o wiele świeższe niż do tej pory; do tego momentu nie zdawaliśmy sobie sprawy, jaka stęchła oddychamy. A zatem nie znajdowaliśmy się już w grotach, jednak, ponieważ dookoła była noc, nie mieliśmy pojęcia, w jakim punkcie Beltane wypłynęliśmy.

Sciągnąłem lampę z dziobu i zacząłem świecić nią dookoła, by nieco zorientować się, na jakim terenie się znajdujemy. Dookoła rosły karłowate krzaki, jednak widoczne one były tylko blisko brzegu. Ponad nami wciąż górowały wysokie i postrzępione skały. Jednak w pewnej chwili kanion, którym płynęliśmy, rozszerzył się i ujrzeliśmy fragment piaszczystego brzegu. Natychmiast skierowałem tratwę w tamtym kierunku i wkrótce jej dno zaszurało o piasek. Sięgnąłem dłonią i po chwili miałem w niej odrobinkę żółtego piachu i wyrastających z niego źdźbeł szorstkiej trawy. Uznałem, że możemy w tym miejscu spokojnie doczekać świtu. Gdy powiedziałem to głośno, wszyscy z ulgą przystali na moją propozycję.

Wszyscy byliśmy zesztywniali i utrudzeni podroza. Thad i ja zniesliśmy ją w miarę najlepiej, ze względu na nasze zajęcia przy burtach. Jednak, gdy wyskoczyliśmy na brzeg, wszyscy daliśmy z siebie resztki sił, wciągając tratwę tak daleko na brzeg, by nie porwał jej nurt.

Rozbiliśmy oboz, a potem zająłem się kompasem, który również mieliśmy wśród naszego ekwipunku. Na mojej drugiej mapie w ogóle nie było zaznaczonej rzeki. Zapewne ten, kto ją

przygotowywał, nie dotarł do niej. Kompas wskazał mi jednak, że droga, która przebyliśmy, wiodła na południowy zachód, a to oznaczało, iż mineliśmy góry i znajdujemy się mniej więcej w pobliżu wielkiego Rezerwatu. O ile pamiętałem, była tu jedynie dzicz i pustkowie. Jednak znajdowały się tutaj też samotne stacje badawcze i byłem przekonany, że o świcie potrafię jakas z nich odszukać. Prawde mówiąc, znalazłszy się na otwartej przestrzeni, pod niebem, odczułem ogromną ulgę i nie miałem najmniejszych wątpliwości, że od tej chwili nasza sytuacja będzie zmieniać się tylko na lepsze.

Zjedliśmy skromny posiłek i rozwinieliśmy posłania. Trudno opisać, jak bardzo byliśmy zmęczeni, a jednak kazałem Thadowi czuwać, z oszalamiaczącym w ręce, na jednym krancu obozu, podczas gdy sam ustawiłem się na drugim krancu. W stanie, w jakim się znajdowaliśmy, żaden z nas nie mógł być dobrym wartownikiem, a jednak musiałem podejmować wszelkie kroki, jakie były możliwe, dla zapewnienia bezpieczeństwa Wędrowców...

Obudził mnie jakiś dźwięk, który po chwili powtórzył się: głosny, przeciągły skrzek. Otworzyłem oczy, zamrugalem, gdyż słońce na niebie świeciło pełnym blaskiem i zauważyłem ptaka wchodzącego do rzeki. Po chwili woda zamknęła się nad jego łbem. Guskaw! Być może zaniepokoiłiśmy go swoją obecnością w tym miejscu, jednak już fakt, że ujrzałem go na własne oczy świadczył, iż znajdujemy się na całkowitym odludziu.

Wyprostowałem się powoli i uważnie rozejrzałem się dookoła.

Zadne z ciał otulonych kocami nawet nie drgnęło. Był wczesny poranek, a my znajdowaliśmy się w głębokim kanionie.

Popatrzyłem w kierunku, z którego przybyliśmy i ujrzałem swój

znak rozpoznawczy dość pokaznych rozmiarów. Whitecone, dawny wulkan, który teraz pokrywała gruba czapa śniegu. A więc, rzeczywiście pokonałismy pod ziemią całe pasmo górskie.

Skoro za naszymi plecami znajdował się Whitecone, rzeka, która wypłynęliśmy musiała być słynna Redwater, chociaż jej woda nie miała ani śladu purpurowego zabarwienia, tak charakterystycznego dla wszelkiej wody płynącej w Rezerwach. Nie słyszałem o żadnym innym szlaku wodnym w tej okolicy, a skoro przecież miałem być kiedyś tutaj Straznikiem, podczas nauki aż nadto czasu spędziłem nad mapami tych terenów.

Skoro znajdowaliśmy się nad Redwater, a byłem tego pewien, powinniśmy jedynie kontynuować naszą podróż w tym samym, co dotychczas, kierunku, a wkrótce dotrzemy do mostu stanowiącego fragment drogi do Rezerwatu. Aniav, główna stacja badawcza, znajdowała się jedynie w niewielkiej odległości od mostu. Odetchnąłem z ulgą. Rozpoznawszy teren, poczułem się tak dobrze, jakbym widział już co najmniej zarysy wieży komunikacyjnej w Kynvet.

Przystąpiłem do przygotowywania śniadania, wykorzystując przenośną kuchenkę. Ciepła strawa miała być symbolem naszego triumfu nad ciemnością i jaskiniami. Jedno po drugim po kolei budziły się dzieci, pragnące równie mocno jak ja, by szybko wyruszyć w dalszą drogę. Na stacji na pewno znajdziemy jakiś oblatywacz; jeżeli wszyscy nie zmieścimy się do niego za jednym razem, polecą przede wszystkim Annet z Dagny oraz tak wielu spośród nas, jak tylko zmieści się w maszynie, a reszta poczeka na drugą turę - takie snulem plany. W pewnym momencie oprzytomniałem jednak. Owszem, wyszliśmy z ciemności na jasną planetę, ale co dalej? Co stało się tutaj?

Przecież już wkrótce może się okazać, że nie jesteśmy tu wcale bezpieczniejsi niż w podziemiach.

Zwazywszy na niebezpieczeństwo, ostrzegłem Wedrowców, że musimy poruszać się z wielką ostrożnością. Nie byłem pewien, czy wszyscy zgadzają się ze mną, jednak w krytycznej sytuacji zdecydowany byłem wymusić na nich posłuszeństwo.

-Nie wiemy, co zdarzyło się na Beltane. Dla naszego własnego bezpieczeństwa musimy przede wszystkim zorientować się, czy i jakich mamy tu wrogów. Istnieje szansa, że problemy, które wyniknęły w porcie i w osiedlach, tutaj nie dotarły. Mam nadzieję, że w Aniaw uzyskamy wszelką pomoc, jakiej nam trzeba. Na pewno funkcjonuje tam łączność, a poza tym, gdy tam się znajdziemy, szczegółowo zapoznamy się z sytuacją. Ale na razie musimy być naprawdę ostrożni.

Niektórzy pokiwali głowami. Spodziewałem się protestów ze strony Annet, te jednak nie nastąpiły. Na jej twarzy pojawił się jedynie cienki uśmiech, po czym powiedziała:

-Coż, zgadzam się na to. Jednak, im szybciej będziemy dokładnie znali nasze położenie, tym lepiej.

Zastanowiła mnie zmiana jej postawy. Odniosłem wrażenie, iż przynajmniej w głębi duszy przyjęła do wiadomości, że Lugard mógł mówić prawdę i że, być może, powrociliśmy na planetę, na której czaiły się jedynie niebezpieczeństwa. Nie miałem jednak czasu, by ją o to zapytać.

Ponownie załadowaliśmy tratwę i wypchnęliśmy ją na wodę. Prąd rzeki był jednak bardzo słaby i razem z Thadem stanęliśmy po

obu krawedziach tratwy, wioslujac. Kiedy opadlismy z sil, Annet przekazala Dagny Prithi i razem z Gytha zajely moje miejsce, natomiast Emrys z Sabianem - miejsce Thada. Mimo naszych ogromnych wysilkow zapadl zmierzch, a my bylismy jeszcze daleko od mostu. Woda, plynaca teraz pomiedzy niskimi brzegami o czerwonej barwie gleby, przybrala taki wlasnie kolor.

Ponownie rozbilismy oboz, wstalismy o swicie i znow wioslowalismy. Bylo pozne popoludnie, kiedy wreszcie zobaczylismy most. Wydobyliśmy tratwe na brzeg i ukrylismy wiekszosc jej ladunku, zabierajac jedynie to, co bylo niezbedne na dalsza droge. Gytha, Annet, Dagny, Ifors, Dinan i Prima schowali sie w krzakach przy moscie, gdzie mogli pozostawac przez dlugi czas niezauwazeni, natomiast dla trzech z nas nie bylo jeszcze mowy o wypoczynku. Sabian, na moja prosbe, objal posterunek obserwacyjny na drugim brzegu.

Na drodze nie bylo zadnych widocznych znakow, ktore swiadczylyby, ze poruszaly sie nia ostatnio jakies pojazdy. W zasadzie uzywano tutaj pojazdow naziemnych, poniewaz helikoptery zbyt czesto straszyla zwierzeta. Jezeli nawet ktos ostatnio uzywal tej drogi, burza, ktora musiala przejsc niedawno, zniszczyla wszelkie slady. Zauwazylem jedynie rzadkie odciski kopyt i pazuw, swiadczace, ze wciaz krazyly tu jakies zwierzeta.

Wymarla droga zaniepokoil mnie i na wszelki wypadek mocniej ujałem swój oszalamiacz. Zaczalem rozgladac sie nerwowo na wszystkie strony; wlasciwie to w kazdej chwili spodziewalem sie ataku.

Rozdzial dziesiaty

-To jest największy Rezerwat, prawda? - Thad przysunął się bliżej do mnie. Jego głos był niski, cichy, jakby wraz ze mną dzielił niepewność i obawy, że zostaniemy podsłuchani. Emrys tymczasem szedł środkiem drogi, kilka kroków za nami.

-Tak. Jego centrum jest Aniaav. - Nie wierzyłem, że powinniśmy obawiać się zwierząt. Przebywały zwykle w najbliższych ostępach Rezerwatu; co najwyżej mogłem nie mieć pewności, jak zachowują się mutanty, specjalnie tutaj sprowadzane i obserwowane.

Aniaav miało kiedyś status priorytetowego ośrodka w dziedzinie badań nad mutantami. Tak było jednak przed bardzo wieloma laty. Gdy zredukowano środki na te badania, ich centrum przeniesiono do Rezerwatu Pilav, znacznie bliżej ludzkich osiedli.

Gdy minelismy zakręt drogi, naszym oczom ukazała się stacja badawcza. Jak wszystkie posterunki tego typu, zaprojektowana została w taki sposób, by jak najmniej kontrastować z naturalnym środowiskiem. Jej ściany nie były gładkie, lecz postawiono je z kamieni o najrozniejszych kształtach i rozmiarach. Na pokrytym darnią dachu piely się winorośle, a park maszyn ukryty był wśród gestych krzaków.

Złożyłem dłonie w tubkę, przyłożyłem do ust i wydobyłem z gardła sygnał rozpoznawczy Strazników. Jednak, chociaż wszyscy trzej ze wzrastającą niecierpliwością przez długą chwilę wpatrywaliśmy się w ciemny prostokąt na frontowej ścianie stacji, oznaczający drzwi, nie doczekaliśmy się żadnego odzewu. Nie pozostało nam więc nic innego, jak tylko wejść do środka bez zaproszenia.

Jezeli stacji bronila tarcza szokowa, wktrotce mialem sie o tym przekonac. Ostrzeglszy chlopcow, ze mozemy na nia natrafic, pierwszy ruszylem w kierunku budynku. Trzymalem przed soba wyciagniete rece. Zwierzeta, ktore zderzaly sie z tarcza szokowa, doznawaly jedynie, jak mnie uczono, lekkiego i krotkotrwalego porazenia. Nie mialem natomiast pojecia, jak na dzialanie takiej tarczy reaguje czlowiek. Moje dlonie nie natrafily jednak na zadna bariere i wktrotce znalazlem sie przy drzwiach, ktore byly lekko uchylone.

Z kazdym krokiem, ktory stawialem, ogarnialo mnie coraz wieksze zdenerwowanie. Aniav byla przeciez jedna z najwazniejszych stacji. Skoro pozostawiono ja pusta, naprawde musialo wydarzyc sie cos straszneho. Co tutaj sie stalo?

Drzwi otworzily sie szerzej, kiedy tylko ich dotknałem. Ostroźnie przekroczyłem prog i znalazłem się w glównym pomieszczeniu. Tak jak na wszystkich stacjach, wydzielono w nim czesc sypialna, wypoczynkowo-biurowa i jadalna. Z tylu znajdowaly sie jeszcze drzwi do malego laboratorium i magazynu. Zanim moje oczy przyzwyczaily sie do polmroku panujacego wewnatrz stacji, nieomal upadlem, gdyz poslizgnalem sie na czymś, lezacy na podlodze. Szybko zapalilem latarke i podnioslem z podlogi kawalek piasty, takiej, jakiej uzywa sie zwykle do pakowania produktow zywnosciowych. Przesunawszy swiatlem latarki dookola, zauwazylem kolejne slady nieporzadku. Jakies krzeslo lezalo wywrocone na podlodze, a jego nogi zwrocone byly dokladnie w moim kierunku. Na stole znajdowaly sie talerze z zaschnieta zywnoscia. Na biurku panowal niesamowity balagan.

Stojaki, w ktorych zwykle ustawiano oszalamiacze o największej mocy byly puste. Kiedy zblizalem sie do biurka, uslyszalem jakis

szelest. Małe zwierzątka, pokryte futrem, zbyt szybkie, abym mógł je dokładnie zobaczyć, pierzchoło spod któregoś z mebli i wbiegło do magazynu. A więc, stacja opuszczona została nie tylko w pośpiechu, ale i dość dawno temu.

Zauważyłem włącznik światel i przesunąłem po nim dwukrotnie dłoń, by uzyskać jak największą jasność.

-Nikogo nie ma? - zapytał Thad z progu.

Przeszedłem do części sypialnej. Na polkach wciąż leżały drobne przedmioty osobiste, a wszystkie cztery łóżka były starannie zasłane. Jakikolwiek był powód odwołania ludzi z tego miejsca, nie spakowali się. Upewniłem się co do tego otwierając szafy, w których znalazłem ubrania na zmianę i bieliznę.

W laboratorium panował w zasadzie porządek, chociaż na podłodze pod ścianą zauważyłem porozbijane pojemniki i nie dojedzone porcje żywności. Zza jakiegoś pudła usłyszałem ostrzegawcze warknięcie.

-Nie ma ich - odpowiedziałem na pytanie Thada, wycofując się z laboratorium; cokolwiek żywego znajdowało się w środku, z pewnością było groźne. Istnieją małe stworzenia, które ludziom niezorientowanym nie wydają się groźne, a dopiero przy bliższym zetknięciu okazują się śmiertelnym zagrożeniem.

Mogło istnieć tylko jedno wytłumaczenie stanu rzeczy, który zastałem. Znowu podszedłem do biurka, na którym leżał wielki zwoj taśmy z zapisem przebiegu pracy na stacji. Przez długi czas maszyna pisała, wciąż podłączona, wyrzucała tylko czystą taśmę, a nie było sposobu, by dowiedzieć się, jak dawno temu

cała tasma w urządzeniu rejestrującym skończyła się.

Zapisy prowadzone na takich stacjach były kodowane, jednak kod był prosty, służył jedynie zageszczeniu zapisu. Dlatego bez trudu przeczytałem ostatnie zapisy: dotyczyły wyłącznie ruchów zwierząt. Dwie notatki dotyczyły drapieżników, które czynią spustoszenia na pastwiskach. W normalnych warunkach strażnicy ucierali temperament takich drapieżników, wychodząc na patrol z oszałamiaczami.

-Łączność... - Thad wskazał na kolejne przyrządy.

Jednym skokiem znalazłem się w tym miejscu. Kiedy uniosłem ręczny mikrofon, od razu usłyszałem szum, dowodzący bez najmniejszych wątpliwości, że połączenie jest aktywne. Przelączyłem urządzenie na odbiór, jednak urządzenie nie zareagowało.

-Nadaj wiadomość - powiedział Thad.

-Jeszcze nie teraz. - Odłożyłem mikrofon i zlikwidowałem połączenie. - Nie możemy dać żadnego sygnału naszej obecności, dopóki nie wiemy, z kim mamy do czynienia...

Przez chwilę jakby chciał zakwestionować moją decyzję, jednak zaraz pokiwał głową.

-Rozumiem - przyznał. - Nie wiadomo, z czyjej strony grozi nam niebezpieczeństwo.

-Właśnie. A teraz rozejrzyjmy się za jakimś oblatywaczem.

W parku maszyn znaleźliśmy pojazd naziemny i helikopter. Ten

pierwszy miał otwartą pokrywę silnika i otoczony był porzucanymi narzędziami, jakby ten, kto zajmował się nim, w pośpiechu został wezwany gdzieś indziej. Thad popatrzył na niego bystrym okiem.

-Trzeba mu chyba dokrecić kilka śrubek, ale na pierwszy rzut oka wygląda na sprawny.

Emrys z kolei wsiadł do helikoptera i, zanim zdolałem zareagować, uruchomił procedury startowe. Jednak maszyna nie zareagowała. Pomyślałem, że zapewne obleje pozostawiono swojemu losowi, ponieważ były bezużyteczne, a stacje opuszczano w wielkim pośpiechu.

-Wysiadaj! - zawołałem do Emrysa. - Przypomnij sobie, co uzgodnilismy. Działamy powoli i rozważnie. Uruchomimy helikopter i natychmiast zostaniemy zauważeni na radarach. Jeżeli mamy używać jakiegokolwiek środka transportu, musi to być pojazd naziemny, posiadający osłonę antyrozpoznawczą. Ale - dodałem, gdy Emrys skruszony wysiadł z maszyny - jeśli koniecznie musisz sprawdzić się w działaniu, biegnij czym prędzej do mostu i sprowadź tu pozostałych. Zdaje się, że będzie padał deszcz i to wkrótce.

Po jasnym poranku pozostało tylko wspomnienie. Na niebie pojawiły się ciemne i ciężkie chmury. Kiedy Emrys odszedł, skierowałem się ku Thadowi i pojazdowi. Miał rację. Maszyna była prawie gotowa do drogi, należało tylko skrócić kilka elementów. Jeżeli nie było w niej więcej usterek, dysponowalibyśmy środkiem transportu o wiele lepiej przystosowanym do naszych potrzeb, niż helikopter dalekiego zasięgu, czy oblatywacz. Mimo że korzystając z tego pojazdu, moglibyśmy podróżować jedynie po

powierzchni planety, dawał on nam dużą przewagę nad ewentualnymi przeciwnikami; był niewykrywalny dla radarów. Poza tym, przeznaczony do podglądania zwierząt, pojazd ten należał do typu nie używanego powszechnie na Beltane, a więc nieznanego bandytom ze statku, o ile to właśnie z nimi mieliśmy się zmierzyć.

-Złóż go jak najszybciej - powiedziałem do Thada. - Potem ukryjemy się w stacji. Zanim nie skończy się deszcz, niewiele możemy zdziałać.

Kiedy wreszcie wszyscy w komplecie znaleźliśmy się w budynku stacji, większość dzieci była przemoknięta. Ułożyłem Dagny w najwygodniejszym łóżku, a Thad szybko uruchomił ogrzewanie. Gdy zamknaliśmy drzwi do stacji, by do środka nie padał deszcz, poczuliśmy się o wiele bezpieczniej, niż w trakcie minionych dni w podziemnym schronie.

-Co tu się stało? - Annet spojrzała na brudne naczynia, na krzesło, którego nikt z nas dotąd nie postawił na nogi oraz na taśmę, która z biurka zsunęła się na podłogę.

-Cała załoga przyskała stąd chyba w wielkim pośpiechu; nie wiem, jak dawno temu. Tymczasem sprawdzmy, czy nie mamy tutaj jakichś nieproszonych gości.

Z oszalamiaczem w ręce ponownie wszedłem do laboratorium. Ostrzegłem pozostałych, by nie podawali za mna i przelaczyłem oszalamiacz z maksymalnej mocy na niską, ponieważ zwierze, które scigałem było niewielkie, skoro potrafiło skryć się za kartonem sięgającym zaledwie do mojego kolana. Rozpyliłem trujący gaz kierując go tam, gdzie uprzednio slyszalem warkot

zwierzecia. Po chwili zaczalem rozrzucac kartony i pudla, az wreszcie natrafilem na mojego przeciwnika. Lezal bezwladny, nieruchomy, z pyszczkiem zakonczonym ostrym noskiem, skierowanym ku gorze, jakby spal w najlepsze.

Byl to szczuracz, zwierzze z natury wdzierajace sie do ludzkich osiedli, jednak o wiele grozniejsze, niz na to wygladalo. Jego zakrzywione pazury wydzielaly trucizne, niebezpieczna dla czlowieka. Podnioslem bezwladnego szczuracza, polozylem na pokrywie kartonu i na wszelki wypadek kontynuowalem poszukiwania. Osobnik, ktorego unieszkodliwilem zdawal sie jednak jedynym w tym laboratorium. Pokazalem go dzieciom, nakazujac, by wystrzegaly sie kontaktow z podobnymi intruzami, po czym wynioslem na zewnatrz. Ulozylem go pod okapem, by w suchym miejscu przetrwal najgorsza burze. Wiedzialem, ze swieze powietrze szybko wyrwie go z oszolomienia.

Annet tymczasem znalazla urzadzenia do komunikacji i zaczela nastawiac lacznosc na pasmo portu. Mialem tylko tyle czasu, by wyrwac jej z reki mikrofon.

-Co robisz? - zawolala gwaltownie.

-Uzgodnilismy przeciez: zadnych nierozwaznych krokow, zanim nie przekonamy sie, co sie dzieje - przypomnialem jej.

-Nie mamy czasu na zabawe w podchody - probowala odebrac mi mikrofon - musimy przetransportowac Dagny na leczenie tak szybko, jak tylko sie da. Jezeli wezwiemy pomoc, zapewne przysla po nia szybki oblatywacz.

-Najpierw sprobuj jednak odebrac jakakolwiek wiadomosc z

zewnatrz. - Mialem nadzieje, ze absolutna cisza w eterze troche ostudzi jej zamiary. - Feehoime to chyba jedyne osiedle po tej stronie gor. Sprobuj uslyszec, co oni nadaja!

Ustawilem odbiornik na wlasciwy zakres i zaczelismy nasluchiwac. Jednak w ciagu kilku pelnych napięcia minut nie dotarl do nas zaden odglos z Feehoime; z glosnikow docieral jedynie szum pracujacego systemu.

Wreszcie Annet popatrzyła na mnie niczego nie rozumiejącym spojrzeniem.

-Dziwne, przeciez powinnismy slyszec przynajmniej ich sygnaly rozpoznawcze.

-Owszem. Lecz jesli nikogo tam nie ma? Potrzasnela gwałtownie glowa, nie tylko przeczac mej sugestii, ale jakby odganiajac od siebie wlasne obawy.

-To niemozliwe... Sprobuj cos nadac na czestotliwosci awaryjnej.

-Posluchaj tylko, Annet. Jesli Lugard mial racje, mozemy przez ten system sciagnac na siebie jeszcze gorsze klopoty, niz mamy teraz. Nie dzialajmy nierozwaznie. Mamy tutaj pojazd naziemny. Ludzie, ktorzy tu pracowali naprawiali go akurat, kiedy niespodziewanie musieli porzucic stacje. Potrafie dokonczyc te prace, kiedy tylko pogoda troche sie poprawi. Pojazdy naziemne sa, co prawda, bardzo wolne, jednak maja systemy zabezpieczajace, ktore bardzo nam sie przydadza. Obiecuje ci, ze gdy tylko bedziemy w stanie ruszyc ten pojazd, wyruszymy do Feehoime. Potem przeprawa przez gory bedzie drobiazgiem. Powiedz mi jednak, czy nadal jestes przekonana, ze wszystko na

planecie funkcjonuje tak, jak dawniej? - Zatoczyłem reka szerokie kolo po pokoju. - Uciekając stąd, ci ludzie zabrali ze sobą wszelką broń, jaką dysponowali.

-Dobrze, już dobrze. Ale, kiedy tylko będzie można...

-Wyjdziemy stąd - obiecałem jej.

Odstąpiła od stanowiska komunikacyjnego i pochyliła się, by ustawić przewrócone krzesło. Potem przeszła do kuchenki. Badala stan zapasów w niej się znajdujących, a ja podszedłem do biurka w poszukiwaniu jakiegokolwiek śladu, który podpowiedziałby mi, co się tutaj wydarzyło. A jednak nie byłem w stanie znaleźć niczego, poza rutynowymi tasmami dotyczącymi badań prowadzonych w Rezerwacie. Późnym popołudniem burza trochę osłabła. Gdy tylko stało się to możliwe, Thad i ja wyszliśmy na zewnątrz, by naprawić pojazd. Okazało się, że chłopak doskonale zna konstrukcje podobnych maszyn i był dla mnie nieocenionym pomocnikiem. Jednak obaj nie byliśmy wykwalifikowani w tej dziedzinie i nie pracowaliśmy tak sprawnie, jak byśmy chcieli. Prowizorycznie tylko złożyliśmy maszynę, gdy kolejna burza z powrotem przegnała nas pod dach.

Noc była straszna. Pewnie pobyt pod ziemią, gdzie burze nie zagrażały nam, spotęgował nasz strach przed zywiolem. Przetrwaliśmy jednak nawałnice skuleni w łózkach i wyruszyliśmy w drogę następnego dnia o świcie. Powitał nas mokry świat, lecz burza i wichura skończyły się. Nasz pojazd przystosowany był do wozenia ekwipunku po Rezerwacie i był na tyle przestronny, że wszyscy do niego się zmieściliśmy. Na razie nie uruchamiałem zabezpieczenia antyradarowego, ponieważ uznałem, że urządzenie to najbardziej potrzebne będzie, gdy znajdziemy się

w poblizu Feehoime.

Droga byla wyboista i pelna kaluz, j ednak takie przeszkody nie zagrazaly naszemu pojazdowi i pewnie sunelismy do przodu z jednostajna szybkościa. Dwukrotnie musielismy omijac zwalone drzewa, a raz nawet przebylismy strumien, ktory powstal w poprzek drogi, siegajacy az do klamek w drzewczkach.

Co jakis czas ukazywaly sie nam zwierzeta, zawsze jednak w znacznej odleglosci. W poludnie zatrzymalismy sie na odpoczynek pod oslona strzelistej skaly, zwieczzonej wysoka antena systemu komunikacyjnego Rezerwatu. Annet podala wode Dagny, ktora zaczynala reagowac na jej opiekuncze zabiegi i po raz pierwszy sama powiedziala, ze chce pic. Nie sprawiala wrazenie, ze wie, co dzieje sie dookola niej, a jednak, kiedy wszyscy jedlismy racje energetyczne, nie trzeba bylo juz zmuszac jej do powolnego ssania i polykania zywnosci. Sama ujela naczynie w drobne raczki.

-Nawet, jezeli nas nie rozpoznaje - powiedziala Annet - pewnie zdaje sobie sprawe, ze wyszlismy z grot, a to moze oznaczac tylko to, ze dochodzi do zdrowia. Ile czasu minie jeszcze, zanim dotrzemy do Feehoime?

Pomyslalem, ze uda nam sie tam dojechac przed zmrokiem i zaczalem przygotowywac Annet na podjecie kolejnych srodkow ostroznosci, ktore bedziemy musieli przedsiewziac, gdy tam dotrzemy. Kiedy mowilem jej, ze musimy zatrzymac pojazd w pewnej odleglosci od osady i ze najpierw ja wyjde na zewnatrz, by zbadac teren, pozostawiajac reszte grupy w maszynie, nie protestowala, ale czulem, ze zachowuje spokoj raczej dlatego, zeby nie sprzeczac sie ze mna, niz zeby przypuszczala, ze

srodki bezpieczenstwa sa rzeczywiscie niezbedne.

Do tej pory bylem w Feehoime tylko jeden raz i byla to bardzo krotka wizyta; zaledwie przesiadka z oblatywacza do pojazdu naziemnego, by wspolnie w dwoma innymi kandydatami na Straznikow zwiedzic tutejszy Rezerwat. Feehoime bylo wieksze od Kynvet, ale tylko dlatego, ze po tej stronie gor byla to jedyna ludzka osada. W porownaniu z miastami z innych swiatow, bylo jednak zaledwie niewielka wioska. Stanowilo kwatere glowna Straznikow.

Z kazda minuta jechalem coraz wolniej i uwaznie wpatrywalem sie w tablice rozdzielcza pojazdu. Przez caly czas w mojej glowie kolatal niepokoje o stan pojazdu, ktory zlozylismy tylko prowizorycznie. Gdyby zawiodl nasz srodek transportu, w samym sercu Rezerwatu mogliśmy z powodzeniem poczuc sie jak w grobie. Jak dotad, na szczescie, nic nie wskazywalo jednak na klopoty z tej strony.

Zmierzch zapadal szybko, gdyz na niebie znowu zaczely gromadzic sie ciemne chmury. W tej sytuacji przyspieszylem, by wyprzedzic kolejna burze. Wkrotce zjechalem z drogi do niewielkiego wawozu i tam zatrzymalem pojazd, pod nawisem skalnym i dodatkowa oslona gestych drzew. Bylo to doskonale schronienie przed nawet najsilniejszymi wichurami i burzami. Jesli tylko dzieci nie beda wychodzily na zewnatrz, nic im nie grozilo.

Nie zabralem ze soba niczego, poza oszalamiaczem. Mialem nadzieje, ze w trakcie poszukiwan zastapie go bronia o wiekszej mocy. Annet obiecala mi, ze nie zapali zadnego swiatla, dopoki nie wroce, a Thad zajal miejsce za pulpitem rozdzielczym, z

zadaniem włączenia przyrządu antyradarowego natychmiast, gdy się oddale.

Dopiero wtedy wyruszyłem w drogę. Kiedy po kilkudziesięciu krokach odwróciłem się jeszcze, odniosłem wrażenie, że pojazd znikł, dzięki czemu odczułem ogromną ulgę. Wedrowcy byli bezpieczni przynajmniej tak długo, dopóki potrafili usiedzieć spokojnie w jego kabinie.

Nie miałem zamiaru wracać na drogę. Postanowiłem skrócić sobie trasę marszu, idąc na przelaj. W razie niespodziewanego ataku zawsze łatwiej było skryć się w krzakach, czy pomiędzy drzewami, niż w przydrożnym rowie. W oddali widziałem pierwsze zabudowania Feehoime. Nie paliło się tam ani jedno światło, co samo w sobie było już wystarczającym ostrzeżeniem o zbliżających się kłopotach.

Dopiero teraz zauważyłem, że teren wokół osiedla oczyszczony jest z większych drzew i co gęstszych skupisk krzaków. Zabudowania w Feehoime były przeważnie owalne lub okrągłe, a na dachu każdego z budynków znajdowało się ładowisko dla helikopterów. Nie wiedziałem, ilu ludzi zamieszkuje to miejsce, ale sądziłem, że w tych ciemnych zabudowaniach znajdują się mieszkania i domy przynajmniej dla dwustu osób. Wybudowano tu też centrum handlowe, w którym dawniej kwitł szeroki handel i gdzie kiedyś sprzedawano nawet produkty spoza planety. W ostatnim czasie straciło ono jednak na znaczeniu. Każde osiedle było praktycznie samowystarczalne.

Zacząłem iść przez pola uprawne, starannie rozglądając się, żeby nie natrafić na promieniowanie bezpieczeństwa. Wkrótce jednak stwierdziłem, że błękitnych promieni, zwykle

ograniczających strefe bezpieczeństwa i rozposcierających się od wartowni do wartowni, w ogóle nie ma. Galaz, która pchnałem tam, gdzie powinien płynąć promień, w ogóle nie zadrzała. A więc zaniechano stosowania tej pierwszej zapory. Jeszcze nie wiedziałem, dlaczego. Jednak ciemne domy, wylaczone zabezpieczenia naziemne - wszystko to powoli układało się w obraz, który nie bardzo mi się podobał. Przy pierwszym budynku natrafiłem na helikopter stojący frontem do ściany, z kabina zmiażdżona od uderzenia właśnie w nią. Zaswiecełem latarką do jego wnętrza, spojrzałem, po czym szybko wylaczyłem ją i spróbowałem wymazać ze swej wyobraźni to, co widziałem w tym krótkim momencie. Zeskoczyłem na ziemię. Nie wierzyłem. Tego by tu nie było, gdyby w Feehoime pozostał ktoś żywy!

Wszedłem do pierwszego z brzegu budynku i znowu znalazłem... Jedno krótkie spojrzenie sprawiło, że wybiegłem na zewnątrz jeszcze szybciej niż wszedłem. Ale przecież nie zajrzałem jeszcze do budynków dowodzenia. Miałem nadzieję tam coś odkryć, tam dowiedzieć się, co tutaj się wydarzyło. Może znajdzie jakieś informacje, chociażby krótki zapis na taśmie?

Wkrótce zacząłem natrafiać na zwłoki również na otwartym powietrzu. Siady na ziemi wyraźnie wskazywały, że drapieżniki z Rezerwatu miały tu niezłą ucztę. Unikalem tych okropnych widoków, jak mogłem, jednak aby wejść do budynku, o który mi chodziło, musiałem przestąpić ponad szkieletem po człowieku, który zmarł niewiele ponad dwa tygodnie wcześniej.

W pokoju dowodzenia zastałem martwych ludzi, którzy zgineli na swoich posterunkach. Nigdzie jednak nie natrafiłem na najmniejszy nawet ślad, który tłumaczyłby, dlaczego wygineli tak nagle i równocześnie wszyscy ludzie w osiedlu, które liczyło

sobie przecież sto lat planetarnych.

Obejrzałem kilka trupów, w miarę najlepiej zachowanych. Żaden z nich nie miał ani rany szarpanej, ani nawet śladu po promieniu laserowym. Wszystko wskazywało na to, że po prostu padali na twarz w tym miejscu, w którym się znajdowali i umierali, a cały ten proces w skali osiedla nie trwał dłużej niż kilka sekund.

Gaz? Ale przecież wówczas nie zmarliby ci, którzy byli na otwartej przestrzeni. A może poza budynkami znalazłem tych silniejszych, którzy zdolali wyczołgać się z pomieszczeń, zanim dopadła ich śmierć? Nie słyszałem dotąd o żadnej broni, która byłaby w stanie spowodować taką powszechną rzeź.

Przybysze spoza naszego świata mogli natomiast nie tylko o niej słyszeć, ale mogli ją również posiadać. Słyszeliśmy na Beltane plotki o potężnych urządzeniach, które potrafiły niszczyć wszystkie żywe istoty na całych planetach i pozostawiać nienaruszonymi cała ich strukturę; w ten sposób najeźdźcy zastawali świat opustoszały i gotowy do zamieszkania przez zdobywców. Jeśli uciekinierzy, którzy wylądowali na statku dysponowali taką właśnie bronią - być może próbowali jej przed wyruszeniem na dalsze podboje, dokładnie jak przewidział Lugard. Ale czemu służyła tak bezsensowna masakra?

Stalem bezradny na środku pokoju łączności. Wszystkie obwody były otwarte, jak wtedy, gdy martwi lub umierający mężczyźni padali głowami na tablice rozdzielcze. Ujrzałem na jednej z tablic silne białe światło, oznaczające wolny kanał łączności.

Podszedłszy bliżej, przeczytałem symbol Haychax, znajdującego się zaraz za gorami. A jednak głośniki wydawały z siebie jedynie cichy szum, tak jak na stacji Strazników.

Jednego byłem pewien: w Feehoime nie uzyskam żadnej pomocy. Nie miałem też zamiaru prowadzić swych Wedrowców do tego miejsca masakry. Zaczalem jednak szukać broni. W końcu znalazłem trzy oszalamiacze i jeden miotacz promieni laserowych, jednak zbyt ciężki, bym sam mógł go nosić. Zresztą, kiedy go próbnie uruchomiłem, okazało się, że jest już prawie rozładowany. Fakt, iż w osiedlu, które nadzorowało funkcjonowanie trzech Rezerwatów znalazłem tylko tyle broni, był kolejnym niepokojącym zagadnieniem. Wskazywał na to, że ktoś szukał tu broni już przede mną i ja znalazł. Przypuszczałem, że przy okazji splądrowano i zabrano stąd wszystko, co miało jakakolwiek wartość. Potwierdzenie tego przypuszczenia uzyskałem, gdy znalazłem się w centralnym magazynie.

Gdy tam wszedłem, włosy stanęły mi dęba. Wszystkie pudła i kontenery miały poodrywane wieka i pokrywy, a większość ich zawartości została powyrzucana na zewnątrz i po prostu podeptana. Ślady dewastacji aż nadto świadczyły, że nie dokonał tego żaden z mieszkańców Beltane, ponieważ kilka odcisków butów nie pozostawiało wątpliwości: były to buty używane do lotów w przestrzeni. Grabieżcy musieli więc pochodzić z obozu uchodźców. Czy byli oni także winni masakry? Przykleknąłem i rozejrzałem się, po czym umoczyłem palec w jednym z rozlanych płynów. Oblizawszy go, uznałem, że jest jeszcze świeży, a więc spustoszenia magazynu z pewnością dokonano nie dawniej niż dobie temu. Zwłoki w mieście leżały o wiele dłużej, być może nawet od tego dnia, którego, wraz z Lugardem, schodziliśmy właśnie do podziemi.

Postanowiłem zebrać trochę zapasów, które mogłyby posłużyć Wedrowcom. Znalazłszy torbę przystosowaną do opuszczania

na spadochronie w Rezerwacie, gdyby brakowało miejsca do ladowania, zapakowalem do niej male puszki i racje energetyczne. Nie zabralismy z grot wiele jedzenia i jesli teraz mielismy trzymac sie z dala od osiedli, musieliśmy wykorzystywac wszystko, co tylko udawalo sie zdobyc.

Torba okazala sie zbyt ciezka, by ja niesc na ramieniu, musialem wiec ja za soba ciagnac. Na szczescie byla bardzo trwala i nie musialem przejmowac sie, ze ja rozedre. W ten sposob dotarlem do glownego ladowiska. I tutaj natrafilem na obraz bezmyslnego totalnego zniszczenia. Kilkakrotnie osmielilem sie uzyc latarki, włączając ja na krotkie chwile, a w jej blasku zobaczyłem przynajmniej dwa spalone helikoptery. Kolejnych kilka maszyn potraktowano laserami. Na placu nie pozostal ani jeden sprawny pojazd.

Mialem dosc Feehoime - grobu, ktorym stala sie osada. Po tej stronie gor znajdowaly sie jeszcze dwie stacje Straznikow, watpilem jednak, czy w ktorejs z nich uzyskam jakakolwiek pomoc. Zapewne najrozsadniej byloby udac sie w droge powrotna w kierunku Kynvet. Jak najdluzsza trase powinnismy pokonac naszym pojazdem, a potem pieszo przedostac sie przez gory. Coraz natarczywiej drazylo jednak moje mysli pytanie, czy taki powrot ma w ogole jakis sens.

Ciagnac nagromadzone zapasy, ruszylem w droge powrotna przez pole. Akurat znajdowalem sie na jego skraju, pomiedzy drzewami, kiedy zobaczyłem na niebie jakis blysk. Jego zrodlo znajdowalo sie daleko od Feehoime, jednak z pewnoscia nie byla to jasna gwiazda. Moglo to byc wylacznie swiatlo pozycyjne helikoptera. Jego kurs byl dziwaczny, lecial raz do gory, raz w dol, jakby za sterami siedzial niedoswiadczony pilot, albo mial

jakies problemy techniczne. Szybszym krokiem skierowalem sie do miejsca, gdzie znajdowal sie pojazd, pragnac tylko jednego: by Wedrowcom nie przyszlo do glow dawac pilotowi jakies sygnaly. To, co zobaczylem w Feehoime utwierdzilo mnie znacznie mocniej w przekonaniu, ze powinniśmy być bardzo czujni.

Zerwal sie deszcz, zaczęły moczyc mnie ciężkie i gęste, duże krople zimnej wody. Gdy zacząłem wspinać się pod górę, waga przemoczonej torby z zapasami jakby jeszcze wzrosła. Zadrzałem, gdy usłyszałem odgłos pioruna i jaskrawy błysk na niebie. Tak bardzo pragnąłem znaleźć się we wnętrzu ciepłego pojazdu, że zacząłem biec.

Rozdział jedenasty

Leżałem na brzuchu w bardzo wątpliwym schronieniu, jakie dawały mi krzaki, z głową skierowaną w dół, ku miejscu, w którym stał pojazd. Nie widziałem go, gdyż osłona radarowa czyniła go nie tylko niewykrywalnym dla urządzeń mechanicznych, ale także dla ludzkich oczu. Deszcz uderzał mnie w plecy, woda docierała nawet do mojej bielizny. Mimo że wciąż było lato, charakteryzujące się na Beltane bardzo ciepłymi dniami, ta burzowa noc zapowiadała rychłą jesień i w tej chwili niczego tak nie pragnąłem jak ciepłego i suchego koca. A jednak świadomość, że gdzieś nad moją głową lata jakiś obcy helikopter, czyniła mnie podwójnie ostrożnym. Każdy sygnał, jaki przekazałbym teraz Wedrowcom czekającym w pojeździe mogłoby nas zdradzić. Złożywszy dłonie wokół latarki, pozostawiłem dla promieni świetlnych tylko wąski przesmyk, chociaż podświadomie byłem przekonany, iż w takiej burzy żaden pilot długo nie utrzyma helikoptera w powietrzu i maszyna,

ktora przez chwile obserwowalem, dawno juz wyladowala na ziemi.

Teraz nacisnałem włącznik, jeden raz, drugi i trzeci. Miałem nadzieję, że Wedrowcy ujrzą te błyski bez większych kłopotów. Jednak kiedy przede mną nic się nie wydarzyło, ogarnęło mnie zniecierpliwienie i gotów byłem potraktować niewidzialną maszynę oszalamiaczem. Najbardziej bałem się tego, że dzieci zdążyły już nawiązać łączność z helikopterem i zaraz może się tu wydarzyć wielkie nieszczęście.

Niespodziewanie na dole coś krótko błysnęło i wreszcie ujrzałem ciemny kształt maszyny. W środku nie paliło się żadne światło, a więc dzieci posłuchały mojego ostrzeżenia.

Podrwałem się na nogi i podbiegłem do pojazdu, ciągnąc za sobą ciężką torbę.

-Vere? - Usłyszałem zaniepokojony głos Annet.

-Tak, to ja! - Szarpnąłem za klamkę przy drzwiczkach. - Wpuszczcie mnie do środka, szybko.

Gdy znalazłem się wewnątrz, przemarznięty i mokry, usłyszałem ciche głosy protestu z ust dzieci, które potracałem i oblewałem wodą z fałd mojej tuniki.

-Ten helikopter, czy łączyliście się z nim? - zapytałem.

Pochyliłem się ponad Annet i ponownie uruchomiłem zabezpieczenie antyradarowe.

-Nie - odparł Thad. - Powiedziałeś przecież...

-Dlaczego nie było nam wolno tego zrobić? - krzyknęła Annet, wyraźnie rozzłoszczona. - Thad trzymał mikrofon tak, że bym go nawet nie mogła dotknąć. Ale dlaczego pytasz? Co się stało, Vere?

Byłem tak zmęczony, że nie miałem dość siły, by cokolwiek tłamsić w sobie, skrywać przed nimi. W końcu i tak kiedyś by się dowiedzieli. Im szybciej, tym lepiej, przynajmniej będą zdawać sobie sprawę, jak wielkie jest niebezpieczeństwo.

-Znalazłem martwe miasto - powiedziałem glucho.

-To znaczy, że nikogo tam nie było? - Annet nie była zaskoczona, raczej nie dowierzała mi. - Dokąd jednak wszyscy poszli, do portu, przez góry?

-Powiedziałem "martwe", a nie "opustoszałe". Miasto, a w nim martwych ludzi.

Poczułem, jak ciało Annet sztywnieje.

-Co to znaczy? - zapytała. - Czy ktoś ich pozabijał?

-Ci, których widziałem, nie mieli żadnych widocznych ran. Po prostu, w jednej chwili jeszcze żyli, a w następnej już nie. Taki los spotkał wszystkich ludzi, w całym mieście. W jakimś czasie po tej rzezi ktoś splądrował miasto. Zabrałem dwa oszalamiacze; w całej osadzie nie było ani jednej sztuki broni więcej.

-A więc Lugard miał rację - zauważył Thad ponuro.

-Uciekinierzy ze statku zaatakowali. Ale dlaczego wszystkich pozabijali?

-Nie! - Teraz Annet drzala. - Nie! To nie moze byc prawda! Vere, musimy wrocic do Kynvet. Wez helikopter, w Feehoime musza byc jakies helikoptery!

-Byly. Ktos je wszystkie bardzo starannie poniszczyl. W osadzie nie ma zadnego sprawnego srodka transportu.

-Co wiec zrobimy? Dagny...

-Mamy ten pojazd i wiele zywnosci. W tej chwili powinniśmy cofnac sie do Rezerwatu, przejsc gory...

-Ten helikopter - przerwal mi Thad. - Czy uwazasz, ze to byli zloczyncy?

-To mogli byc nasi ludzie, poszukujacy kogos, kto moze przezył w Feehoime - powiedziala Annet. - Jezeli tak bylo i jesli nie polaczyliśmy sie z nim... - przyjela oskarzycielski ton.

-Czy widzialas kiedyś normalny helikopter, latajacy w taki sposob? - zapytal Thad. - Cos bylo nie tak z maszyna, albo z pilotem. Czy wracamy ta sama droga, ktora przyjechalismy, Vere?

Prawde mowiac, kusilo mnie to rozwiazanie, W stacji Straznikow mogliśmy znalezc schronienie, byc moze nawet wykorzystalibysmy ja jako baze wypadowa, podczas poszukiwania najlepszej drogi przez gory. Z drugiej strony jednak, korzystanie z jakichkolwiek obiektow mogloby uczynic z nas ofiary bezmyslnych wandalii. Mogli przeciez znalezc w Feehoime mapy, na ktorych zlokalizowane byly wszystkie stacje w Rezerwatach.

-Chyba nie. Wyruszymy stąd na pomocny wschód, w kierunku krainy wzgorz. Jest tam taka stacja, na której prowadzone są wyłącznie badania nad mutantami, Gur Horn. Tam się skierujemy. Być może tam właśnie znowu będziemy mogli uzupełnić zapasy.

Tej nocy jednak nie mogliśmy już, ze względu na pogodę, kontynuować podróży, mimo że grunt niemal palił mi się pod nogami. Musieliśmy pozostać na miejscu, we w miarę bezpiecznym schronieniu w pojeździe. Nie mogliśmy włączyć świateł, które mogłyby nas zdradzić i to był kolejny argument przeciwko podróży w nocy. Obawiałem się, że Annet zaproponuje przeciwko temu przymusowemu postojowi, jednak milczała. Przystąpiła natomiast do przestawiania naszych siedzeń, by każdy tej nocy na minimalnej przestrzeni skorzystał z maksymalnego w tych warunkach komfortu. Zanim zdecydowaliśmy się na sen, każdy z nas zjadł obfity posiłek.

Nasze zmeczenie było tak wielkie, że nikt nie miał kłopotu z zasnięciem. Dwukrotnie budziły mnie krzyki śpiących dzieci, jednak za każdym razem przekonywałem się, że powodem tych odgłosów są tylko dreczące ich koszmary. Za każdym razem budziła się też Annet. W pewnej chwili przysunęła się do mnie i zapytała:

-Vere, czy damy radę przejść przez te góry?

-Jeżeli będziemy szli powoli i ostrożnie, damy radę. Jest lato i wszystkie przelecze są otwarte. Powinnismy wyjść po drugiej stronie łańcucha, niedaleko Butte Hold... - Zawahałem się, przypominając sobie nieproszonych gości Lugarda w Butte. Jeżeli ściagnęły ich tam plotki o skarbach, być może teraz

wlasnie ich tam szukaja.

-Vere... - szept Annet byl ledwie slyszalny - chce, zeby s wiedzial...

-Co? - ponaglilem ja, gdy przerwala na zbyt dlugo.

-Widzisz, w Yetholme prowadzono kontrolowane eksperymenty dla wojska... - Uslyszalem, jak ciezko przelyka sline, jakby wszelkie slowa przychodzily jej z wielkim trudem.

-To bylo wiele lat temu. Czy nie zamknieto tego laboratorium raz na zawsze?

-Wszyscy mowili, ze zamknieto. Doktor Corfu... wiesz, co on zrobil?

-Zazyl podwojna dawke srodkow nasennych i nigdy juz sie nie obudzil.

-Nie chcial prowadzic ostatniego eksperymentu, a oni strasznie na niego naciskali. Mama opowiadala kiedys, jak wygladal jego poczatkowy etap. Pracowali nad jakimis zmutowanym wirusem. Vere, ten wirus mial zabijac wszystkie inteligentne istoty, atakowal jedynie umysl, natomiast wszystko inne pozostawial nietkniete, by przyszli zdobywcy mogli rozgoscic sie na gotowym. Ten wirus nie czynil szkody nawet zwierzetom, dzialal jedynie na te, ktorym wstrzykiwano specjalny srodek, w celach badawczych. Vere, co bedzie, jezeli...

Znow przypomnialem sobie jedno z ostrzezen Lugarda. Na planecie moga istniec sekrety, ktore przyszli najezdzczy, dotarlszy

do nich, z radością powitają jako fragmenty własnego uzbrojenia. Wirus o właściwościach, jakie opisała Annet, wykorzystany przeciwko niczego nie spodziewającemu się miastu, nawet kontynentowi lub światu był orem przeciwko jakiemu nie sposób było się bronić. Wirus... odruchowo sięgnąłem dłonią do klamki. Jeśli taki wirus zaatakował Feeholme, to przecież już mogłem być jego nosicielem, a nawet martwym człowiekiem. Być może było już za późno na refleksje; byliśmy zgubieni. Przecież od wielu godzin oddychałem na niewielkiej przestrzeni tym samym powietrzem co wszystkie dzieci. Z powodu mojego braku rozwagi teraz śmierć groziła im wszystkim!

-Być może... - zacząłem mówić.

-Nie - szepnęła Annet - powiedziałes, że oni nie żyli już od dłuższego czasu.

-Tak.

-Wirus, nad którym pracowali w Yethoime, mógł żyć tylko czterdzieści osiem godzin. Po tym czasie nikomu już nic nie groziło. Poza tym, wynaleziono też środek uodparniający przeciwko niemu. Gdybysmy tylko znaleźli raporty z wynikami badań... Czy przeprowadzimy pojazd przez góry?

-Nie. Ale będziemy nim jechali najdalej, jak tylko się da. Najpierw musimy dotrzeć do Gur Horn. Jeżeli dobrze pamiętam, zawsze przebywała tam tylko mała załoga. Przy mutantach nie było wiele zajęcia. Weźmiemy stamtąd więcej zapasów, może schronimy się na dzień lub dwa. To najwyższej położona stała baza w Rezerwatach.

-Jakie mutanty tam otrzymywano?

-Nie wiem. Kiedy jechałem do Aniaiv, nie zatrzymałem się w Gur Horn. Jedynie informowano nas, do czego służy ta baza, kiedy oglądaliśmy ją z góry, z oblatywacza.

-Czy załoga miała jakieś środki transportu?

-Z całą pewnością pojazd naziemny, być może także helikopter. Często transportowali ranne zwierzęta. Mutanty bywały atakowane przez naturalnych mieszkańców rezerwatów. By obserwować ich zachowanie i reakcje nie można było trzymać ich w klatkach.

Pomyślałem, że być może znajdziemy tam helikopter, dzięki czemu o połowę zmniejszymy uciążliwość przeprawy przez góry. Zaprzagnąłem jak najszybciej wyruszyć w drogę.

Burza ustąpiła dopiero na krótko przed świtem. Gdy tylko zrobiło się wystarczająco jasno, uruchomiłem silnik i ruszyliśmy. Pojazdy naziemne na Beltane przystosowane były do ruchu w najtrudniejszych warunkach, dlatego wyboista droga nie stanowiła dla naszej maszyny problemu, jednak przez cały czas niepokoiłem się, czy wystarczy nam paliwa. Drzemala we mnie obawa, że zanim dotrzemy do celu, będziemy musieli pozostawić pojazd i część drogi pokonać pieszo.

Szczęśliwie droga na południowy wschód wiodła przez otwartą przestrzeń. Trasa była mocno pofalowana, dlatego jeszcze przed południem dwukrotnie musieliśmy się zatrzymać, gdyż Prima i Ifors chorowali od ciągłego podjeżdżania i gwałtownych, stromych zjazdów. Dagny leżała przez cały czas bez ruchu,

grubo zawinięta w koce. Jadła już i piła, Jednak oczy miała przeważnie zamknięte, a Annet nie była w stanie określić, czy dziewczynka śpi, czy też jest zamroczona.

W południe wypoczelismy przy niewielkim strumyku, jak zwykle posiłkując się racjami energetycznymi. Zanim wyruszyliśmy w dalszą drogę napełniłem wodą wszystkie naczynia, nie będąc pewien, czy wzgorza, ku którym zmierzamy, mają swe własne źródła.

W miarę, jak posuwaliśmy się naprzód, wzgorza dookoła nas wyrastały coraz wyżej, a szeroka droga zamieniała się powoli w kretę ścieżkę. Zdawało mi się, że postąpiłem bardzo rozważnie, zabierając w podróż wodę, gdyż teren dookoła coraz bardziej przypominał pustynię. Podróżowaliśmy coraz wolniej. A jednak w pewnej chwili znów natrafiliśmy na szeroki szlak, który mógł prowadzić jedynie do Gur Horn.

Odległości widziane z powietrza znacznie różnią się od doświadczanych na ziemi. Kiedy leciałem ponad tą trasę w ramach praktyk, zdawało mi się, że stacja służąca do badań mutantów znajduje się zaledwie w niewielkiej odległości od centralnej stacji Strażników i że obie położone są zaledwie o rzut kamieniem od Feeholme. Teraz droga tak mi się dłużyła, że zaczynałem już podejrzewać, iż mimo wszystko pobraździłem wśród wzgórz i nie mamy najmniejszej szansy, by dotrzeć do Gur Horn.

Pograżony w czarnych myślach, o mało nie rozjechałem stworzenia, które pojawiło się na środku drogi. Bez wątpliwości przystanęło na niej celowo, chcąc nas zatrzymać.

-Ystroben! - krzyknęła Gytha, wystawiwszy głowę ponad moje ramie. - Vere, to jest prawdziwy ystroben!

Spojrząwszy na zwierze, w pierwszej chwili gotów byłbym zgodzić się z Gytha. Miało czerwone, grube futro, okragły łeb i owłosione uszy o kształcie wachlarzy. Jego pysk miał owalny kształt, łapy były czarne, a ogon bardzo krótki. A jednak różniło się ono od ystrobena i im dłużej wpatrywałem się w nie, tym bardziej wyraźne wydawały mi się te różnice. Po pierwsze: łeb był znacznie większy, o szerszej czaszce. Samo stworzenie było o wiele większe od każdego ystrobena, jakiego kiedykolwiek widziałem. Przypatrywało się nam i dalekie było od jakiegokolwiek bojaźni, strachu przed nami.

-Vere, popatrz, on chce, żebyśmy coś zrobili!

Gdybym na własne oczy nie zobaczył tego, co teraz nastąpiło, nigdy bym w to nie uwierzył. Zwierze uniosło się nagle na dwie łapy, podeszło bliżej do nas i zaczęło dawać nam jakieś znaki przednimi łapami. Nie było co do tego wątpliwości - coś chciało nam przekazać.

-Mutant!

-Chce czegoś od nas - powiedziała Gytha, podkreślając swoje słowa silnym uściskiem dłoni na moim ramieniu.

-Ale... - Annet dotknęła przelącznika na tablicy rozdzielczej - przecież nasza osłona jest włączona. Ono nie ma prawa nas widzieć!

-Jeżeli to jest mutant - odparła Gytha - jest w stanie robić takie

rzeczy, o jakich ci sie w ogole nie snilo. Vere, musimy przekonac sie, czego on od nas chce.

Nie mialem jednak glowy do gry w kotka i myszke ze zwierzetami. Poza tym nie dowierzałem mutantom. Kto wie, co chodzilo po glowie takiemu olbrzymowi, wyzwolonemu spod kontroli laboratorium? Postanowilem jak najszybciej pozbyc sie intruza. Wlaczylem odpowiedni system obronny i ystroben zachwial sie. Widac bylo, ze z trudem utrzymuje sie w pozycji pionowej. Otworzył pysk, zapewne w okrzyku bolu, który nie dotarl jednak do naszej dzwiekoszczelnej, hermetycznej kabiny. Wreszcie opadł na cztery lapy i kolyszac sie, niepewnym krokiem zszedł z drogi. Po chwili zniknal w gestych krzakach.

-Co zrobiles? - zapytal mnie Thad.

-Uzylem tarczy dzwiekowej. Pojazdy naziemne maja je wbudowane na wypadek ataku dzikich zwierzat.

Dlon Gythy na moim ramieniu zacisnela sie w piesc.

-Nie musiales tego robic! - krzyknela. - Przeciez on nie mial zlych zamiarow. Chcial cos nam powiedziec...

Nie sluchalem jej protestow, ruszylem natomiast pojazdem z maksymalna predkoscia, chcac oddalic sie z tego miejsca najszybciej, jak to bylo mozliwe. Niespodziewanie wyjechalismy na otwarta przestrzen, pokryta bujna roslinnoscia. Przyczyna tej odmiany stala sie oczywista, kiedy oczom naszym ukazalo sie cos na ksztalt gejzera - fontanna czystej wody, ktora na ziemi formowala sie w plytki strumien, wpadajacy nieco dalej do stawu. Stamtad woda wyplywala szeroka kaskada na lekko opadajace w

dol pole, ktore porosniete bylo niskimi trzcunami i inna roslinnoscia, uwielbiajaca krystaliczna, swieza wode.

Za fontanna ujrzelismy kolejny budynek, postawiony przez ludzi, jednak starannie wkomponowany w krajobraz. Oto, zupełnie niespodziewanie, znalezlismy sie w Gur Horn. Bylo to dla mnie takim zaskoczeniem, ze nie zdolalem przedsiwziac zadnych srodkow ostroznosci. Jezeli na stacji znajdowal sie ktokolwiek o wrogich wobec nas zamiarach, wystawilismy sie w tej chwili na celowniki wszelkiej broni, jaka posiadal. A jednak wszystkie moje zmysly podpowiadaly mi, ze w stacji nie ma zadnych ludzi. Na parkingu przy niej nie zauwazylem ani jednej maszyny, niczego, nawet pojazdu naziemnego.

Rozhermetyzowalem kabine i jej wnetrze od razu ozylo wszelkim halasem tego swiata, czyli odglosami z zewnatrz. Zaiste byl to halas - jednak halas, zwiastujacy zalobe: do naszych uszu docieraly glosne pojekiwania, od czasu do czasu przerywane zalosnym skrzekiem, gluchym dudnieniem i zlowrogim warkotem. Najgorsze, ze wszystkie te odglosy zdawaly sie dobiegac z budynku.

-Co to? - Annet natychmiast chwycila za oszalamiacz.

Juz mialem otworzyc drzwi, jednak w tej sytuacji zawahalem sie. Zaczalem obawiac sie, ze wpadlismy w spore klopoty. A jednak nadal nie widzialem, by cokolwiek poruszalo sie.

-Vere, ystroben! - Gytha skupila na sobie moja uwage, ciagnac mnie za reke. Odwrocilem sie w kierunku, gdzie wskazywala. Zwierze, ktore przed kilkoma minutami probowalo przeciwstawic sie dzialaniu tarczy dzwiekowej, albo jego replika, znow stalo w

poblizu naszego pojazdu. Miało polprzymkniecie oczy i kiwalo głowa na boki, jakby było nie do końca przytomne. Uparcie jednak trzymało się na nogach i po chwili wyminęło maszynę, po czym skierowało się do budynku. Także i ono wydobywało teraz dźwięki z gardła, jakby niski, dudniący skowyt, zdecydowanie dominujący nad pozostałymi odgłosami.

-Vere! Popatrz! On czegoś od ciebie chce!

Ystrogen dotarł do fontanny i zatrzymał się. Ciężko oddychał, usta miał szeroko otwarte, jakby z wielkim trudem łapał powietrze. W pewnej chwili unosił przednią łapę i mimo że z trudem był w stanie stać na trzech, tą uniesioną wykonał wyraźny gest ku nam.

Bez wątplenia chodziło mu o coś, co jego zdaniem było bardzo pilne. Tym razem nie oparłem się jego wezwaniu. Jednak, kiedy wyslizgnąłem się na drogę, z oszalemiaczem w pogotowiu, rzuciłem za siebie stanowcze rozkazy:

-Niech nikt za mną nie idzie. Zanim podejmiecie jakiegokolwiek ruchy, czekajcie na mój wyraźny sygnał. Jeżeli go nie uzyskacie, odjeżdżajcie...

Nie pozostawiłem im czasu na protesty, lecz szybko zatrzasnąłem drzwiczki i ostrożnie ruszyłem w kierunku fontanny. Ystrogen, widząc że wreszcie idę, zdawał się być zadowolony. Odwrócił się i skierował nie do budynku, który do tej pory uznawałem za jego cel, lecz w prawo, ścieżka prowadząca na tyły stacji. Pospieszyłem za nim.

Wówczas zauważyłem pierwsze ślady tragedii.

Najprawdopodobniej dostawa mutantów z jakiegoś laboratorium dotarła tu na krótko przed gwałtownym atakiem, który - nie miałem już wątpliwości - całkowicie zniszczył nasz świat. Trzymano je w niewielkich klatkach i zapewne zamierzano wypuścić do Rezerwatu, jednak najwyraźniej zostały zupełnie zapomniane; a właściwie to w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby się nimi zająć. Przez długi czas nie dostawały wody, ani jedzenia, o czym świadczyło przede wszystkim kilka padniętych sztuk. Dla nich na ratunek było już za późno. Ystroben szturchnął nosem jedną z klatek i zobaczyłem w niej, leżące na boku, przedstawiciela jego gatunku. Spróbował podnieść głowę słysząc nasze kroki, jednak zaraz opadła mu ona z powrotem.

Jeszcze jedno spojrzenie dookoła i już wiedziałem, że nie ma tu dla nas żadnego zagrożenia, jest za to wiele do zrobienia. Wywołałem wszystkie dzieci z pojazdu i wkrótce wszyscy w pośpiechu otwieraliśmy klatki, donosiliśmy jedzenie i wodę z fontanny.

Niektóre spośród żyjących jeszcze stworzeń nie były w stanie w ogóle się ruszać i te wynosiliśmy z klatek na własnych ramionach. Te, które zniosły głodówkę najlepiej, od razu po pierwszym posiłku uciekały w dzikie ostepy Rezerwatu. Dla pozostałych zostawiliśmy tyle jedzenia i wody, by mogły dochodzić do własnych sił w pobliżu klatek. Doliczyliśmy się też pięciu padłych mutantów.

Budynek był pusty i tradycyjnie już znaleźliśmy ślady świadczące, że opuszczano go w wielkim pośpiechu. Ucieszyłem się jednak, nie znalazłszy w środku trupów. Miejsca było tu zaledwie dla dwuosobowej załogi, toteż gdy wszyscy weszliśmy

do srodka, zapanowal straszny tlok, ale mimo wszystko mogliśmy sie tutaj rozgoscic. Najbardziej byłem jednak zadowolony, gdy znalazłem beczkę z paliwem. Postanowiłem, że odpoczniemy tu przynajmniej przez jeden dzień, a ja wykorzystam wolny czas na uzupełnienie paliwa i sprawdzenie stanu pojazdu. Potem mieliśmy wyruszyć w dalszą drogę.

Zajmowałem się samochodem, kiedy podeszła do mnie Gytha.

-Vere - zapytała - czy te wszystkie zwierzęta to mutanty?

-Myśle, że tak.

-Czy są bardzo inteligentne?

Wzruszyłem ramionami. Skąd mogłem wiedzieć? Musiałbym mieć wyniki badań laboratoryjnych. Ystoben, którego spotkaliśmy na drodze z pewnością wykazał sporą inteligencję w swoich wysiłkach, zmierzających do ściągnięcia nas do klatek. Oczywiście wszyscy slyszelismy w przeszłości opowieści o zwierzętach świadomie współpracujących z ludźmi i pod ich kierunkiem. Opowiadano sobie o nich ekscytujące historie, głównie wojenne. Używano ich też do badania warunków na planetach, na których ludzie dopiero po nich stawiali swoje pierwsze kroki. Inteligentne mutanty były bardzo przydatne, jednak nie wszystkie wykazywały cechy i zdolności, które można było wykorzystywać. Koszty ich hodowania jednak zawsze zwracały się, dlatego prowadzono nad ich rozwojem nieustanne i intensywne badania.

W klatkach na które natrafiliśmy, znajdowało się łącznie dwadzieścia mutantów, żywych i umarłych, piętnastu gatunków.

Niektóre były mi zupełnie nieznanne, w tym dwa spośród pięciu martwych. Teraz wszystkie z konieczności zostały wypuszczone na wolność bez urządzeń prowadzących, więc długotrwałe badania nad nimi poszły na marne. Nie był to jednak w tej chwili nasz największy problem.

-Nie wiem. Może nikt na tej stacji tego nie wiedział. Pewnie przywieziono je tutaj właśnie po to, by je badać w naturalnych warunkach - odpowiedziałem na pytanie Gythy.

-Czy któreś z nich są niebezpieczne?

-Nie. Nasza farmakologia zna już wystarczająco pewne środki przeciwko agresywnym zachowaniom. Potrafią się bronić przed niebezpieczeństwem, jednak nigdy nie atakują pierwsze.

-A ten przyszczorog...

Przez chwilę nie wiedziałem, o czym ona mówi. Ostatniego przyszczoroga widziałem przecież tak dawno temu.

-Jaki przyszczorog?

-Ten, którego widzieliśmy na ekranie w Butte. Vere, czy to był mutant?

-To niemożliwe. Nigdy nie słyszałem o podobnych pracach nad przyszczorogami.

-Ale ktoś mógł prowadzić je w ukryciu?

-Wszystko jest możliwe...

Gytha szybko pokiwała głową.

-Widzisz - kontynuowała - kiedy komendant wojskowy opuścił Beltane, kiedy wszyscy twierdzili, że prowadzi badania wojenne, wiele laboratoriów nie składało szczegółowych raportów do centrali.

Miała rację. Dlaczego jednak martwiła się o tego jednego pryszczoroga? Zapytałem ją o to.

-Sama nie wiem - odparła. - Prima ciągle o nim wspomina. Mówi, że patrzył na nas z nienawiścią.

-Nawet, gdyby tak było, w co nie wierze - odparłem ten pryszczorog, jeżeli wciąż żyje, znajduje się bardzo daleko od nas, na północy, w najbardziej wyludnionej części planety. Nie może być dla nas żadnym zagrożeniem.

-Ale, Vere, jeżeli wszyscy - zawahała się na chwilę, lecz zaraz kontynuowała - jeżeli wszyscy oprócz nas są martwi, wówczas mutanty zaczną pełnić na Beltane rolę ludzi, zachowywać się jak ludzie, rządzić, prawda?

Tak, było to możliwe, jednak woląłem, żeby nawet się nad tym nie zastanawiać, dopóki nie byliśmy pewni...

-Nie wiemy, czy wszyscy nie żyją - powiedziałem stanowczym głosem. - Jutro przeprowadzimy wywiad w terenie. Kiedy tylko znajdziemy najlepszy szlak do przeprawy przez góry, ruszymy w drogę. Ani się nie obejrzysz, jak będziemy w domu.

-Nie chce do domu, Vere. Nie chce tam jechać, jeżeli Kynvet

wyglada tak jak Feeholme.

-Nadchodzi zima. Musimy trafic do domu, zanim snieg zamknie szlaki w gorach - kontynuowalem, jakbym w ogole nie slyszal jej ostatnich slow; nie bylem w stanie w zaden sposob na nie zareagowac, gdyz dokladnie wyrazaly moje wlasne uczucia. Przesladowala mnie mysl, ze lepiej schronic sie w Butte lub w jakiejś stacji na terenie Rezerwatu, niz wracac do martwego Kynvet. Wiedzialem, ze nie wolno mi pokazywac dzieciom dzieła zniszczenia, ktore wchlonelo takze ich rodzicow.

-Vere, popatrz tylko... - zlapala mnie za reke i zmusila, zebym popatrzyl na Gur Horn.

Na dachu tkwil Thad, zgodnie z moim poleceniem, by rozejrzal sie troche z gory po okolicy. Przebywal tam juz od dluzszego czasu, teraz jednak machal energicznie reka, chcac zwrocic na siebie uwage. Machnalem do niego, by czym predzej zszedl na ziemie, a sam pospieszylam do chaty.

-Jakis helikopter rozbil sie na wzgorzu, na polnoc od nas - wystekal, zdyszany, kiedy znalazl sie na dole. - Zapalil sie.

Czy to byla ta sama maszyna, ktora widzielismy poprzedniej nocy? Jesli rozbila sie o ziemie i stanela w ogniu, mamy musial byc los zalogi.

-Sabian, zestaw pierwszej pomocy. - Annet, ktora slyszala slowa Thada, zaczela wydawac polecenia. - Thad, czy nasza maszyna jest w stanie tam dojechac?

Z powatpiowaniem potrzasnal glowa.

-Nie wiem. Tam jest bardzo stromo. Można się jednak wspiąć...

-Annet, co ty zamierzasz?...

-Zamierzam pomóc ludziom w potrzebie. - Popatrzyła na mnie takim wzrokiem, jaki zwykle rezerwowało się dla najbrzydszych pryszczorogów. - Być może są ranni. Musimy się pośpieszyć.

Zrozumiałem, że w tej chwili żadne moje argumenty nie powstrzymają jej.

Rozdział dwunasty

-Thad, zostaniesz tutaj i będziesz wszystkiego pilnował. - Nic nie mogło zmienić raz podjętego postanowienia Annet, jednak nie zamierzała opuszczać dzieci, nie zaprowadzając w Gur Horn jako takiego porządku. Oczywiście, spodziewałem się protestu z jego strony, a jednak milczał. Znikł gdzieś jego wrodzony upor, który charakteryzował go, zanim podjęliśmy naszą wyprawę w podziemia. Teraz pokiwał jedynie głową i przyjął ode mnie zapasowy oszalamiacz.

-Pozostawajcie przez cały czas w budynku. Poza tym wiesz, co robić - na wszelki wypadek obdarzyłem go komplementem. Znowu pokiwał twierdząco głową.

Wyruszyliśmy tylko Annet i ja. Przerzuciła przez ramię zestaw pierwszej pomocy i bez chwili zwłoki skierowała się w tę stronę, którą wskazał Thad. Musiałem iść bardzo szybko, żeby za nią nadążyć. Zmierzaliśmy prosto w kierunku wysokiego słupa ognia i dymu. Stanowił taką wskazówkę, że nie sposób było zabiłdżić.

Potykaając się, niemal biegnąc po nierównym terenie, spiesząc się do helikoptera. Nie miałem zamiaru przestrzegać ją przed nadmiernym wysiłkiem. Byłem przekonany, że wkrótce zabraknie jej tchu i zwolni. A jednak równym, szybkim krokiem, dotarła do samego wraku. Dopiero wtedy zatrzymała się, ciężko dysząc. Po chwili przystanęłam obok niej. Helikopter był już tylko gorącą, wypaloną kupą zelastwa.

-Nikt nie mógł tego przeżyć - powiedziałem.

Jej przyspieszony, ciężki oddech przeszedł w szloch. Nie patrzyła na mnie.

-Sprawdź jeszcze wrak...

-Nie musisz - odparła drżącym głosem. Równie dobrze jak ja wiedziała, że byłoby to bezużyteczne.

Ostatni raz tak wstrząsnięta widziałem ją w podziemnym tunelu, w chwili, gdy zdała sobie sprawę, że jesteśmy odcięci od powierzchni Beltane. Coż, życie na planecie było dotąd wolne od wszelkiej przemocy, gwałtu, tragedii; doświadczenie czegoś takiego po raz pierwszy musiało być okropnym przeżyciem. Później widziała śmierć Lugarda, tragedię Dagny... A nie zaznała jeszcze najgorszego, nie widziała martwego Feehoime, nie знаła prawdziwych rozmiarów nieszczęścia, które nas dotknęło. To było jeszcze przed nią.

Annet powoli odwróciła się, nie patrząc na mnie. Wzrok miała wbity w ziemię. Powolnym krokiem zaczęła iść w kierunku stacji.

Ja tym czasem mimo wszystko skoncentrowałem swoją uwagę

na wraku. Szczęśliwie helikopter upadł na odkryty teren, dzięki czemu nie doszło do dużego pożaru. Jako przyszły Strażnik uczyłem się, że właśnie pożar jest największym nieszczęściem dla Rezerwatu.

Z wraku był taki żar, że nie mogłem podejść do niego zbyt blisko. Nie miałem też nadziei na zidentyfikowanie pilota, który go prowadził. Istniała jednak szansa, że uważne oględziny stana się dla mnie jakąś wskazówką, wyjaśnieniem tego, co wydarzyło się na Beltane.

Miałem rację. Szybko przekonałem się, że mam do czynienia z maszyną takiego typu, jakiego na planecie nigdy nie używano. Wkrótce wśród porzucanych dookoła ładunków znalazłem też miotacz laserowy; przed wojną taka broń dysponowały jedynie Służby, jednak po opuszczeniu przez nie Beltane, nie powinien być pozostać tutaj ani jeden jej egzemplarz.

Nie byłem w stanie rozpoznać przyczyny katastrofy, wciąż jednak miałem świeżo w pamięci opowieść Annet o wirusie. Była to też jedna z przyczyn, dla których nie dotykałem niczego, co pochodziło z helikoptera. Jeśli te maszyny pilotowali umierający ludzie, to przecież wszystko, z czym mieli kontakt, mogło być zakażone.

Jednak ofiarami, na które natknąłem się w Feehoime byli wyłącznie ludzie na stałe zamieszkujący Beltane. Czy ten wypadek oznaczał, że zaraza zaczyna przenosić się także na uciekinierów, którzy wylądowali tu za zgodą Komitetu? Czy byli na tyle nieostrożni, że wkroczyli na tereny niektórych osiedli, zanim wirus wyginał? Nurtowało mnie jeszcze wiele pytań, odpowiedzi na które mogłem jedynie zgadywać. Pewien byłem

tylko jednego: helikopter pochodził z innego świata.

Kiedy wróciłem na stację, Annet przygotowywała już jedzenie. Zapach gotowanych potraw wyczułem kilkadziesiąt kroków przed budynkiem. Thad natomiast powitał mnie już w progu pytaniem:

-I co?

-Niewiele się dowiedziałem. Jedynie tego, że nie był to helikopter z Beltane. Być może jakaś zwiadowcza maszyna ze statku uchodźców. Nie mam całkowitej pewności. Wiem jednak na pewno, że wszyscy musimy trzymać się z dala od wraku.

Annet podchwyciła moje znaczące spojrzenie.

-Tak - powiedziała szybko. - Jak najdalej od tego wraku.

Zjedliśmy i ustaliliśmy plan strażnicy nocnej. Annet została zwolniona z warty, gdyż jej stałym obowiązkiem była opieka nad Dagny. Warte mieli trzymać kolejno Gytha, Thad, Emrys, Sabian i ja. Nie wiedziałem, czy rzeczywiście powinniśmy spodziewać się jakiegos niebezpieczeństwa, uznałem jednak, że powinniśmy zabezpieczyć się przed wszelkimi niemilymi niespodziankami.

Ponieważ tymczasem zapadł zmrok, wziąłem latarkę i obszedłem klatki mutantów. Większości już tu nie było, ale ystroben, który doprowadził mnie do tego miejsca, wciąż czuwał przy swoim osłabionym towarzyszku. Wsuwał mu do pyska jedzenie, a ten jadł w milczeniu, nie będąc w stanie podnieść się na cztery łapy.

Widząc że obok stoi puste naczynie, przyniosłem im świeża

wode, a potem, zlozywszy dloniew kubek, zaczalem poic wycieczne zwierze. Zdrowy ystroben odsunal sie, wydajac odglos, ktory wzialem za wyraz wdziecznosc za okazana pomoc.

Osobnik, ktorego poilem byl rodzaju zenskiego i bez watpienia byl w ciazy. Drugi stanowil zapewne jego pare. Niewiele wiedzialem do tej pory o ystrobenach. Przywieziono je na Beltane z zewnatrz i byly tu wielka rzadkoscia. Dopiero ostatnio zaczeto umieszczac je w Rezerwatach. Wczesniej zyly jedynie w laboratoriach i najprawdopodobniej byly przedmiotem dlugoterminowego eksperymentu, ktory wlasnie sie zakonczyl. Jeszcze przez chwile przygladalem sie im, przynioslem kolejna porcje wody, a potem zajalem sie pozostalymi mutantami. Zalezalo mi, by szybko odzyskaly sily, gdyz nie mogliśmy tu dlugo przebywac i im pomagac. Chociaz... Przez chwile zastanawialem sie, czy nie byloby naj mdrzej, gdybysmy pozostali tu tak dlugo, jak by to tylko bylo mozliwe? Gur Horn zdawalo sie bezpiecznym schronieniem i jego jedyna wada byla wlasciwie tylko pewna ciasnota.

Nie mialem pojecia, jak dlugo potrwa podroz przez gory. Czasami szlaki bywaly zamkniete z powodu lawin, jednak o tej porze roku przejście powinno byc w miare pewne i bezpieczne. Po dlugim zastanowieniu uznalem wreszcie, ze pozostanie w Gur Horn nie mialoby sensu. Jesli Butte nie bylo okupowane, stanowilo lepsze schronienie, niz jakiegokolwiek miejsce po tej stronie gor.

Poniewaz mialem stac na warcie jako ostatni, polozylem sie szybko spac wiedzac, ze Thad obudzi mnie, kiedy przyjdzie moja kolej. Sen mialem niespokojny, przerywany, tak bardzo nekaly mnie problemy, ktorym musialem stawiac czola podczas

ostatnich dni. Totez kiedy Thad potrzasnal moim ramieniem, od razu zerwalem sie na nogi.

-Nic sie nie dzieje - wyszeptal mi do ucha - jedynie kilka mutantow wrocilo, zeby sie najesc. Nie podchodza jednak pod drzwi.

-W porzadku. - Kazalem Thadowi polozyc sie, a sam objalem posterunek.

W srod panujacej ciszy zaczalem zastanawiac sie nad naszym losem. Bylo nas dziesiecioro, a dookolat jedynie obcy swiat, w ktorym na pewno nie mamy juz przyjaciol, a zapewne mamy wielu wrogow... Mimo ze mysl ta narzucala sie sama w okolicznosciach, w jakich funkcjonowalismy przez ostatnie dni, nie chcialem w to uwierzyc. Nie mozliwe! Przeciez musi byc ktos jeszcze, poza nami. Potrzeba odnalezienia innych ludzi nagle wezbrala we mnie z taka sila, ze w jednej chwili zapragnalem jak najszybciej wszystkich pobudzic i natychmiast wyruszy na poszukiwania. Zwalczyłem jednak w sobie te niecierpliwosc i o swiecie, nie budzac reszty, w ciszy rozpozczalem drobiazgowe przygotowania do drogi. Przede wszystkim posortowalem zapasy zywnosci, te z pojazdu, z Feeholme i te, ktore znalezlismy na miejscu, zamierzajac zabrac przede wszystkim artykuly najlzejsze, a jednoczesnie najbardziej zasobne w energie.

Przekladajac dokumenty stacji natrafilem na mape zachodniej czesci gor z zaznaczonymi przeleczami. Na mapie ktos odrecznie dorysowal trase dostepna latem dla pojazdow naziemnych.

Gdy tylko poskladalismy nasze osobiste bagaze, przystapilismy

do ładowania bagażnika pojazdu, postanowiwszy zabrac w drogę tyle jedzenia i tyle wody pitnej, ile to tylko było możliwe. Następnie zajęliśmy się naszymi ubraniami, zastępując najbrudniejsze i najbardziej poniszczone tymi, które znaleźliśmy w stacji. Annet, Prima i Gytha dopasowały część ubrań tak, by pasowały również na najmłodsze, a więc najmniejsze dzieci. Wszystkie przygotowania zabrały nam cały dzień.

Późnym popołudniem Ifors powiedział mi, że dwa ystrobeny opuściły wreszcie klatkę i oddalają się, idąc wzdłuż strumienia. Przerwalismy na chwilę prace, by ostatni raz za nimi popatrzeć. Osobnik płci męskiej szedł pierwszy, kontrolując teren, a jego partnerka niepewnie podążała za nim, często zatrzymując się. Oddychała ciężko, a głowę miała opuszczona bardzo nisko.

Gytha pomachała za nimi, chociaż żaden ystroben nie mógł już tego zauważyć. Cała ich energia i uwaga skoncentrowana była na tym, co przed nimi.

-Mam nadzieję, że nie będzie im źle - powiedziała

Gytha.

-Vere - Prima popatrzyła na mnie - teraz na Beltane wiele mutantów będzie żyło na wolności, prawda?

-Przypuszczam, że tak. Większość z nich przebywa już w Rezerwatach. Pamiętaj, Komitet zalecił takie rozwiązanie już kilka miesięcy temu. Trudno było trzymać je w laboratoriach, gdyż brakowało dla nich żywności, a zlikwidowanie ich byłoby niepotrzebnym okrucieństwem.

-Ale czy sa jeszcze jakies mutanty w klatkach, pozbawione zywnosci i wody?

-Chyba nie. Zdaje sie, ze gdy ostatni raz wyruszalismy do Butte, funkcjonowalo jeszcze tylko jedne duze laboratorium, ktore zajmowalo sie mutantami w Kibthrow. Te, ktore tu znalezlismy pochodza wlasnie z Kibthrow. Poznalem to po oznaczeniach na klatkach. Sadze, ze to ostatnia partia. Wszystkie mialy zyc odtad na wolnosc, w Rezerwatach.

-Kibthrow - powtorzyla Prima. - To jest za gorami, na polnoc od portu, prawda?

-Tak.

-A wiec, Vere, kiedy przejdziemy przez gory, czy ktos z nas moglby tam pojsc?... Tylko po to, zeby miec pewnosc. Tak, obiecuje ci to.

I zamierzalem dotrzymac tej obietnicy. Byc moze nie przepadalem za mutantami, ale to, co zastalem tutaj kazalo mi zwrocic na nie baczniejsza uwage. Poszukujac ludzi, zamierzalem upewniac sie, ze zadne zwierze nie zostalo skazane na powolna smierc glodowa w klatce dlatego, ze czlowiek nie zdazyl wypuscic go na wolnosc.

-Rano... - Annet skonczyla przeszywac i prasowac ostatnie male ubranko, tym razem dla Dinana Norkota.

-Tak - odpowiedzialem twierdzaco na nie zadane pytanie. Wczesnie rano zamierzalem wyruszyc w droge.

Mimo że w ciągu dnia nie widzieliśmy niczego, co sugerowałoby jakiegokolwiek zagrożenie, ponownie wystawiliśmy nocne warty. Niebo tym razem było czyste, rozgwieżdżone i noc bardzo jasna. Opuszciliśmy ostatni żywy mutant. Mimo to rozsypałem całe jedzenie, jakie po nich pozostało w pobliżu klatek; jeżeli będą powracały, z łatwością znajdą jedzenie, a poza tym nie będą zadowolone z blizny do budynku.

Objawiając postępek zacząłem zastanawiać się podczas warty nad słowami Gythy. Zakładając, że liczba ludzi na Beltane ograniczyłaby się zaledwie do niewielkiej garstki (wciąż odrzucałem od siebie myśl, że to jesteśmy jedynie my), co wtedy stałoby się z mutantami? Niektórzy eksperymenciarze wypowiadali się z ogromnym uznaniem o ich inteligencji. Kontynent był ogromny i w większości porośnięty dziką roślinnością; warunki do samodzielnego życia miałyby więc doskonałe. Czy byłaby w stanie wyłonić się z nich nowa, inteligentna rasa, panująca nad planetą? Gdyby tak się stało, człowiek musiałby zniknąć...

Nad ranem zjedliśmy ostatni posiłek w tymczasowym obozie i zapakowaliśmy się do pojazdu. Po raz pierwszy Dagny sprawiała wrażenie w pełni rozbudzonej i świadomej, co się wokół niej dzieje. Siedziała przytulona do Annet, rozglądała się ciekawą wszelkich widoków za szybami, jednak mówiła bardzo niewiele. Annet była przekonana, że to efekt wyjścia z podziemi oraz tego, iż właściwie nic nas od tego czasu nie niepokoiło i że przez cały czas wędrowaliśmy właściwie przez spokojne tereny. Ostrzegliśmy wszystkich, na wszelki wypadek by w obecności Dagny nie wspominali o niczym, czego zaznali w grotach.

Nasza trasa wiodła niedaleko rozbitego helikoptera, ale

objechalem go tak szerokim lukiem, jak tylko bylem w stanie. Z maszyny wciaz unosila sie waska wstega czarnego dymu.

A potem bez przeszkod juz podrozowalismy w kierunku krainy gor, chociaz teren byl tak wyboisty, ze czlowiek maszerujacy umiarkowanie szybkim krokiem, bez trudu wyprzedzilby nasz pojazd. Nie stosowalem zadnych oslon, gdyz na pustkowiu, w jakim sie znajdowalismy, w coraz bardziej skalistym terenie, praktycznie nie bylo stworzen, ktorych moglibysmy sie obawiac.

Krotko przed poludniem natrafilismy na potezna galopke.

Zatrzymala sie na drodze naszego pojazdu i nie miala najmniejszego zamiaru ruszyc sie. Byla pieknym, klasycznym przedstawicielem swojego gatunku, ktory jako jeden z nielicznych na Beltane osiagal dosc wysokie rozmiary. Miala bardzo grube futro i dlugie pazury na przednich lapach, podczas gdy jej tylne kopyta, wielkie i plaskie, umozliwialy szybkie przemieszczanie sie po piaszczystym gruncie. Przestraszona galopka stawiala wlosy swojego futra na sztorc i wowczas okazywalo sie, ze sa one ostre niczym igly. Gdy uciekala, biegla zawsze na dwoch kopytach i nie istnialo na Bekane stworzenie, ktore byloby w stanie ja dogonic.

Ta jednak nie zamierzala nigdzie biegac i juz po kilku sekundach wiedzialem dlaczego. Szarozielony odcien jej futra swiadczył, ze niedawno zniosla jaja i teraz ich pilnowala. Gdzies niedaleko nas, w srod skal, musialo wiec znajdowac sie gniazdo i to bylo przyczyna zablokowania naszej trasy przez ciezkie, liczace ponad szesc stop wzrostu, stworzenie. Galopki byly tak silnymi zwierzetami, ze rozzloszczone, potrafiły powaznie zniszczyc nawet tak ciezki pojazd, jakim sie poruszalismy.

Nacisnałem na przycisk uruchamiający tarcze dzwiekowa, gdyż nie miałem najmniejszej nadziei, że galopka sama usunie się nam z drogi. Popatrzyłem na jej język szybko wysuwający się i wsuwający do pyska. Galopki nie miały uszu w naszym rozumieniu i wszystkie bodźce dzwiekowe odbierały językiem. Kakofonia dzwieków o wysokiej częstotliwości musiała być więc dla niej udreka.

Zaczęła więc się, chwiać na niepewnych łapach, aż wreszcie cofnęła się za skałę i tam dopiero upadła. Ja tymczasem dodałem pojazdowi dodatkowej energii i szybko przebyłem niegospodniwy teren.

Emrys siedzący z tyłu, donosił mi tymczasem:

-Widzę jej głowę. Ciągłe porusza językiem, ale nie goni nas. Vere! Teraz podniosła się i podeszła do jakiejś szczeliny.

-To jej gniazdo - uznałem. Wylaczyłem tarcze dzwiekowa, gdy oddaliliśmy się na tyle, że galopka nie mogła już spodziewać się z naszej strony zagrożenia. Poza tym instynkt z pewnością trzymał ją blisko gniazda i wiedziałem, że nie oddali się od niego, dopóki nie wyklują się młode. A jednak incydent ten dowodził, że muszę być bardziej czujny; nawet najbardziej spokojna okolica mogła skrywać nieprzyjemne niespodzianki.

-Dagny - popatrzyłem na dziewczynkę. Czy to zdarzenie nie odbije się niekorzystnie na jej stanie?

Annet potrzaskała głową ostrzegawczo i uspokajająco. Dagny wciąż była do niej przytulona, a oczy miała zamknięte.

-Spi - powiedziala.

Gdy w poludnie zrobilismy sobie przerwe na posilek, dokladnie zlustrowalem teren, zanim zgodzilem sie na opuszczenie pojazdu. Mimo ze slonce stalo wysoko, w gorach bylo zimno. Znajdowalismy sie juz na duzej wysokosci, a po dokladnym porownaniu terenu z mapa doszedlem do wniosku, ze znajdujemy sie juz niedaleko miejsca, w ktorym bedziemy musieli pozostawic pojazd. Zaproponowalem, ze gdy dotrzemy do tego miejsca, rozbijemy tam oboz na noc, nawet jesli do zmroku bedzie jeszcze brakowalo paru godzin. Piesza wedrowke zamierzalem rozpoczac wraz z nowym brzaskiem. Nocne obozowisko rozbilismy na szerokiej polce skalnej, odrobine pochylej. Na wszelki wypadek pod kola pojazdu podlozylismy duze kamienie, dzieki czemu upewniliśmy się, że maszyna nie spadnie w przepasc podczas naszego snu. Mimo ze slonce wciaz swiecilo jasnym blaskiem, chlod byl jeszcze wiekszy niz podczas poludniowego postoju. Szczelnie zapialem swa tunike i upewniwszy wszystkich, ze w tym miejscu pozostaniemy przez cala noc, udalem sie na zwiady. Wedrowcom powiedzialem, ze nie bedzie mnie mniej wiecej przez godzine.

Przelecza byla waska, jednak trase dobrze w przeszlosci oznakowano. Nie musialem wiec martwic sie, czy przypadkiem nie pobladzilismy. Jezeli wyruszymy o swicie i nie bedziemy zatrzymywali sie po drodze, przed zmrokiem przebedziemy gory. A u ich podnoza znajdowalo sie, a przynajmniej powinno sie znajdowac, schronisko dla podroznym.

Nie natknałem się na zadne zywe stworzenie, poza kilkoma, raczej leniwymi czarnymi ptaszyskami, co uznalem za sprzyjajaca okolicznosc. Pogoda tez zdawala sie nam sprzyjac.

Annet rozłożyła na kamieniach przenośną kuchenkę i kiedy wróciłem z mojej rozpoznawczej wędrowki, podała mi kubek gorącej kawy. Niestety, musieliśmy zostawić zbędny sprzęt właśnie tutaj - ta decyzja dotyczyła także kuchenki - i była to ostatnia okazja, by pic gorący płyn, czy jeść podgrzany posiłek. Od następnego dnia mogliśmy już liczyć tylko na racje energetyczne i nic innego, dopóki nie dotrzemy do Butte. Miałem nadzieję, że nasza wędrowka do osady nie potrwa dłużej niż dwa dni, chociaż sama myśl o podróży przez krainę lawy napawała mnie lekkim przerażeniem.

Tej nocy znowu wystawiliśmy warty. Annet, która miała już mniej kłopotów z Dagny, postanowiła także trzymać straż Przez część nocy, dlatego mogliśmy nieco skrócić okresy poszczególnych wart i każdy z nas mógł trochę więcej czasu przeznaczyć na sen. W kabinie naszego pojazdu było jednak bardzo ciasno i przypuszczam, że tylko najmłodszy spośród nas - a więc najmniejszy - wyspał się jako tako. Jeśli o mnie chodzi, byłem cały scierpnięty po nocy spędzonej niemal na siedząco, dlatego z wielką ulgą i radością powitałem świt.

Annet jeszcze raz przyrządziła gorącą kawę i jedzenie, zanim schowaliśmy kuchenkę w bagażniku. Po śniadaniu wszyscy, z wyjątkiem Dagny, zarzuciliśmy pakunki na plecy. Każdy z nas obowiązkowo niosł dwa pojemniki z wodą. Ucieszyłem się stwierdziwszy, że mała Dagny wygląda jeszcze lepiej niż poprzedniego dnia. Ustaliliśmy, że będzie maszerowała obok Annet, a Pritha pójdzie zaraz za nimi, służąc pomocą w razie jakiegokolwiek potrzeby.

Ja miałem iść na czele, za mną Gytha, Emrys, Sabian, Annet i dwie dziewczynki, a potem jeszcze Dinan, Ifors i Thad,

zamykający pochod. Pozwoliłem na zmiany w szyku podczas wędrowki, z jednym wyjątkiem: ja przez cały czas miałem być pierwszy. Obaj z Thadem niesliśmy liny, zakończone stalowymi hakami, które do tej pory tak dobrze nam służyły i które, w razie potrzeby, miały posłużyć jako liny ratownicze.

Kiedy tylko słońce pokazało się na niebie, wyruszyliśmy. Nie sadzę, by wówczas ktokolwiek z nas obejrzał się z zalem za siebie.

Rozdział trzynasty

Wspinalismy się oczywiście o wiele wolniej, niż czyniłbym to, gdybym odbywał te wędrowki sam, a jednak chodziło nam przede wszystkim o oszczędzanie sił. Im dłużej była w stanie isć Dagny, tym lepiej było dla nas wszystkich. Było zimno, bardzo zimno - prawie tak jak w grocie lodowej. A porywisty wiatr bez przerwy szarpał naszymi tunikami. Nigdzie nie było już drzew, gdzieś tam pomiędzy skałami przesuwały się jedynie kępy rzadkiej trawy i skąpe krzaki. Nieliczne gorskie zwierzęta nie sprawiały wrażenia, że się nas boją; przyglądały się nam raczej bardziej z zaciekawieniem niż z obawą. Na każdym krótkim postoju przykladałem do oczu lornetkę i patrzyłem na drogę, którą już przebyliśmy. Właściwie nie wiedziałem, co spodziewam się zobaczyć. Oczywiście, nikt nie mógł natknąć się na wrak helikoptera. Obawiałem się jedynie tego, że nie wszyscy, którzy nim lecieli, zgineli i za naszymi plecami może pojawić się wrog, zmuszony - jak i my - przejść przez góry. Mimo że nie padał deszcz, niebo było z każdą chwilą coraz bardziej zachmurzone. Pogarszająca się pogoda była tym czynnikiem, który nakazywał mi przyspieszać marsz. Do tej pory Dagny spisywała się lepiej, niż początkowo przypuszczałem, dotrzymując kroku Annet i

Prithy. Kilkakrotnie nawet odezwala sie, pokazujac im paluszkami jakies szczegolnie ciekawe zwierzeta, ktore pojawialy sie w oddali.

Wkrotce znalezlismy sie tak wysoko, ze jedyna roslinnoscia, jaka zauwazalismy, byly wysokogorskie porosty. W zalomach skal widzielismy snieg. Wiatr hulal w najlepsze i niewiele chronily nas przed nim nawet postawione na sztorc kolnierzyki naszych tunik. Najgorsze, ze wlasnie wtedy Dagny zaczela slabnac - akurat, gdy zblizal sie najtrudniejszy fragment naszej wedrowki. Zarzadzilem postoj.

Pomiedzy dwiema wysokimi skalami widniala dosc szeroka szczelina i tam znalezlismy schronienie. Podczas, gdy pozostali jedli z apetytem nasze energetyczne posilki, ja zaczalem ogladac mape, ktora znalazlem w stacji. Nie bylo obawy, ze zgubimy droge; ta byla bardzo dobrze oznaczona w terenie. Sprobowalem okreslic dystans, jaki dzielil nas jeszcze od schroniska po drugiej stronie lancucha gorskiego.

-Jak daleko? - zapytala Annet. Dagny siedziala jej na kolanach, glowke miala oparta o jej ramie, oczy zamkniete.

Pomyslalem, ze jej oddech jest troche zbyt szybki, chociaz wszyscy sposrod nas oddychali troche lapczywiej niz zwykle.

-Musimy przedostac sie przez przelec, a potem bedziemy juz mieli do przejścia niewiele wiecej, niz odleglosc, jaka w tej chwili dzieli nas od maszyny.

-Ona nie da rady tego przejść - powiedziala Annet stanowczo. Wiedzialem, ze ma racje.

Otworzyłem plecak i wysypałem całą jego zawartość na ziemię. Przed wyruszeniem w drogę bardzo przerzedziliśmy zawartość naszych bagazy, przewidzielismy jednak także, iż zajdzie potrzeba jeszcze większego odchudzenia niesionych przez nas ciężarów, chociażby w takim wypadku, z jakim mielibyśmy właśnie do czynienia.

Przede wszystkim odkładałem na bok to, bez czego nie moglibyśmy się obejść. Z pewnością potrzebne były dodatkowe ładunki do oszalamiacza i porcje energetyczne, z których większość i tak wkrótce zjemy. Jednak dodatkowe koce... Thad położył dłoń na jednym z nich.

-Ja go weźmę. Drugim owinięsz dziewczynkę. A to...- wskazał na zapasową lampę - przytroczone sobie do pasa.

Kiedy zatem ponownie ruszaliśmy w drogę, Dagny, opatulona w koc, tkwiła w moim plecaku. Prawie nie ruszała się.

Głowa miała oparta na moim ramieniu, a ja wyczuwałem, że powoli znowu ogarniają ją sypaczka.

Szczęśliwie marsz po skalistej drodze nie wymagał wysiłku i w duchu dziękowałem ludziom z Bezpieczeństwa, którzy kiedyś przystosowali tę trasę do szybkiego marszu. Oczywiście nie było tak dobrze, że nie mogło być lepiej, a jednak rzeczywistość i tak przekraczała moje najsmielsze oczekiwania.

Przełęcz była głębokim wcięciem pomiędzy dwoma szczytami. Nigdy nie docierało tu słońce, a wiatr hulał w niej ze zdwojonej energii, dlatego nieustannie podpierałismy się o skalne ściany, ostrożnie stawiając każdy krok. Dagny wazyła o wiele więcej niż

pakunki, które wyrzuciłem, musiałem więc być podwójnie ostrożny, by w którymś momencie, pod wpływem nieostrożnego stąpienia, czy silniejszego podmuchu nie przewrócić się.

Za przełecza trasa prowadziła już w dół. Wiedziałem, że zejdziemy na niższy poziom niż ten, na którym pozostawiliśmy pojazd. Cieszyłem się z tego i już gratulowałem sobie w duchu udanej przeprawy, gdy wpadliśmy w prawdziwe kłopoty.

Wciąż prowadząc całą grupę, niespodziewanie natknąłem się na głęboką wyrwę, ucinającą nasz szlak pod kątem prostym, tak równo, jakby jakiś gigant posłużył się nożem, by zniweczyć wysiłki ludzi, którzy przygotowywali tę trasę. Nie miałem pojęcia, czy wyrwa istniała już wtedy, gdy Bezpieczeństwo przygotowywało górska przeprawę. W każdym razie nie była ona zaznaczona na mapie. Była zbyt szeroka, żeby ją przeskoczyć, a nie miałem pojęcia, jakim sposobem moglibyśmy zbudować tutaj most.

Wycofaliśmy się za niewielki załom skalny i skuliliśmy wszyscy razem. Gorączkowo zastanawiałem się, co czynić. Mieliliśmy liny i haki. Wykorzystując je, mogliśmy opuścić się do szczeliny, a potem spróbować wspiąć się z powrotem na drugą stronę przepaści, mając nadzieję, że wcześniej stabilnie umocujemy haki w górze.

Zostawiłem Dagny z Annet, polecając całej grupie pookrywać się kocami dla zachowania ciepła. Thad umocował liny i kontrolował moje zejście do rozpadliny. Na jej dnie grunt był bardzo nierówny, pełen luźnych kamieni, które uniemożliwiały swobodne chodzenie; wciąż trzeba było patrzeć na ziemię, by przy nieopatrzonym kroku nie skrećić nogi.

Długo rozglądałem się, zanim znalazłem fragment ściany, po którym ewentualnie moglibyśmy wspinać się przy pomocy lin. Uznałem, że tej wspinaczki możemy nie dokończyć przed zapadnięciem zmroku i z takim też przekonaniem powróciłem do prowizorycznego schroniska.

Noc zbliżała się bardzo szybko. Spożyliśmy posiłek i odbyliśmy naradę. Annet stanowczo sprzeciwiła się nocowaniu w chłodzie, pod gołym niebem. Martwiła się o stan Dagny, ale nie tylko, także o pozostałe dzieci. Rozwazywszy wszystko za i przeciw zgodziłem się z nią. Postanowiłem zrobić wszystko, by rozpadlinę pokonać jeszcze za dnia i dalszą drogę - mapa wskazywała, że niewiele jej jeszcze pozostało - odbyć przy świetle lamp i latarek. Należało jedynie używać ich bardzo uważnie, by nie skupić na sobie uwagi kogoś, kogo wcale nie chcielibyśmy informować o naszym istnieniu.

-To, że nas ktoś zobaczy - odparła Annet, kiedy powiedziałem o tym głośno - to tylko potencjalne zagrożenie, które tak naprawdę może wcale nie istnieć. Spędzenie nocy w tym miejscu grozi o wiele bardziej poważnymi konsekwencjami.

-Zatem maksymalnie osłaniajmy światła - powiedziałem - kierując promienie latarek jedynie na szlak. Taki marsz będzie bardzo wolny...

-Ale lepszy taki marsz, niż pozostawanie tutaj.

-Zatem, do dzieła. Najpierw musimy przebyć jednak rozpadlinę.

Okazało się, że to pierwsze zadanie przerosło naszych możliwości. Wzajemnie się asekurując, bezpiecznie pokonałismy

droge w dol i w gore. Z rozpadliny wyszedlem ostatni, z Dagny na plecach, niemal wciagniety na linie przez chlopcow, gdyz na samodzielna wspinaczke z takim ciezarem nie mialem sil.

Po zmroku nie widzialem juz wskazowek mojego zegarka, dlatego nie mam pojecia, jak dlugo trwalo nasze czolganie sie - to chyba najwlasciwsze slowo - w dol po gorskim zboczcu, w slabym swietle latarek. Droga, ktora za dnia zdawala sie prosta i latwa, w nocy, dla ludzi obciazonych licznymi pakunkami, zmeczonych i glodnych, byla prawdziwa udreka. Trzymalismy sie blisko siebie, stapajac sobie niemal po pietach, gdyz kazde oddalenie sie na bok grozilo przewroceniem sie i upadkiem w przepasc.

Noc byla pochmurna, jednak na szczescie nie padal deszcz. Po dlugiej, uciazliwej wedrowce dotarlo do mnie, ze wiatr nie jest juz tak mocny, jak w najwyzszych partiach gor, a pod nogami zaczynaja pojawiac sie nawet rosliny. A jednak szlismy jeszcze przynajmniej godzine, zanim latarka Thada, ktory tym razem szedl na poczatku, wylowila z ciemnosci frontowa sciane gorskiego schroniska.

Nie byl to wygodny, ani dobrze postawiony budynek; w niczym nie przypominal stacji stawianych w Rezerwatach. Jego drzwi krzywo wisialy na jednym zawiasie, a ponad progiem wiatr w najlepsze zamiatal liscie i ziemie. A jednak z ulga przyjalem te oznaki, swiadczace, iz budynek od bardzo dawna przez nikogo nie byl wykorzystywany, bo nasza samotnosc w tym wypadku oznaczala zarazem bezpieczenstwo.

Potykajac sie, wkroczyalismy do schroniska i jak na zawolanie padlismy pokotem na brudna podloge. Jedynie Thad obszedl z

latarka wszystkie katy, a my przygladalismy sie oswietlanym przez niego fragmentom chaty. Powoli docieralo do nas, jak ubogie i zapuszczone jest nasze nowe schronienie. Nie bylo tu lozek - pozostaly po nich tylko twarde deski na Podporkach. Jedyna szafa swiecila pustymi polkami. Poza tym nie stal tu ani jeden mebel, nie bylo kuchenki, wody, niczego.

Obgryzione kosci w jednym z katow swiadczyly, ze po opuszczeniu tego miejsca przez ludzi, chronily sie tutaj czasem zwierzeta. Kosci byly jednak bardzo stare, zapewne wiec i zwierzeta przybywaly tutaj bardzo rzadko.

Annet postawila na ziemi swoj plecak, wyciagnela koce i szybko rozlozyla je na jednej z desek, przygotowujac poslanie dla Dagny. Po chwili odebrala dziewczynke ode mnie. A ja zapragnalem w tej chwili czegos goracego do picia, chociaz wiedzialem, ze pragnienie to pozostanie tej nocy jedynie marzeniem.

Ci sposrod nas, dla ktorych nie starczylo tych twardych lozek, porozkladali sie na kocach, rozwinietych bezposrednio na podlodze. Sam zajalem miejsce blisko drzwi, z oszalamiaczem gotowym do natychmiastowego uzycia, pod reka. Mimo ogromnego zmeczenia, nie moglem zapominac o naszej sytuacji; z tej strony gor wystawienie wart na noc bylo jeszcze bardziej wskazane niz przed ich przebyciem.

Wiatr cichl wraz z kazda uplywajaca sekunda. Moje cialo bylo tak obolale, ze kazdy ruch sprawial mi trudnosc, a jednak nie bylem senny. Odnosilem wrazenie, ze przekroczylem granice, za ktora potrzeba snu juz nie wystepuje. Slyszałem ciezkie oddechy pozostalych. Tej nocy nikt nie pojekiwal, nikt nie mial koszmarow;

wszyscy po prostu głęboko oddychali, skrajnie wyczerpani.

Nie miałem pojęcia, w jakiej znajdujemy się odległości od Butte Hold. Być może odczytałbym to z mapy, ale tej nocy nie miałem już do tego siły. Zastanawiałem się, czy damy radę przebyć pieszo niezbadane ostepy krainy lawy, leżące teraz pomiędzy nami a Butte. Jeżeli nie... Może lepiej byłoby nie wracać do Butte, mimo że zostawiliśmy tam helikopter z mnóstwem zapasów?

Byłem zbyt zmęczony, żeby myśleć logicznie, a jednak wszelkie problemy jakby się uparły, jeden po drugim zaczęły nawarstwiać się w moim nie funkcjonującym już sprawnie umyśle. Coraz bardziej korciło mnie, by posłuchać Annet i kontynuować wyprawę w kierunku osiedli, w których jeszcze niedawno z całą pewnością zamieszkiwali ludzie. Mielibyśmy do pokonania znacznie krótszą i łatwiejszą drogę. Musielismy poszukać jakiegoś środka transportu i wtedy dopiero podjąć próbę przedostania się do Butte. Butte stałoby się naszą centralną bazą...

-Vere.

Odwrociłem głowę od drzwi. Zbliżył się do mnie Thad; poznałem go po głosie.

-Przejmie warte.

Nie pragnąłem niczego innego, jak pozbycia się chociaż na chwilę tej odpowiedzialności, jednak wiedziałem, że przecież nie zasne.

-Nie moze spac - powiedzialem. - Zostane.

-Vere... - Nie zaakceptowal mojej nie wypowiedzianej sugestii, by z powrotem polozył sie. - Dokad teraz pojedziemy?

-Do Butte Hold, jezeli to bedzie mozliwe.

-Czy mozemy nie dac rady przebyc krainy lawy? - Chyba sam juz sie nad tym zastanawial, tak jak ja.

-Byc moze. Byc moze tez w Butte beda ludzie ze statku. - W kilku slowach, urywanym szeptem, po raz pierwszy powiedzialem mu o spotkaniu Lugarda z uciekinierami.

-Uwazasz wiec, ze szukaja skarbu? Tego, ktory widzielismy w lodowej grocie?

-Sadze, ze o to im chodzi.

-Co wiec zrobimy?

-To, co jestesmy w stanie. Nad ranem dokladnie obejrzymy mapy; moze znajdzie sie jakies malo uczeszczone przejście do Butte, takie, z jakiego z cala pewnoscia nie beda korzystac uchodzczy. Jezeli bedziemy mogli skorzystac z takiej trasy i jesli Butte rzeczywiscie bedzie puste, wprowadzimy sie tam- Butte ma bardzo rozbudowane systemy obronne.

-Lugard wiedzial o nich wszystko. My jednak w ogole ich nie znamy.

-To sie nauczymy, metoda prob i bledow, jezeli zajdzie taka potrzeba - odparlem. Rozmowa z Thadem, co dziwne,

uspokajala mnie, jakbym potrzebował właśnie tej wymiany zdań na temat szans i zagrożeń, jakie na nas czekają, żeby zrzucić z siebie ogromne napięcie. Nagle poczułem się tak senny, że nie byłem w stanie utrzymać otwartych oczu.

-Przejmij warte, Thad. - Miałem jeszcze tylko tyle siły, żeby powiedzieć te słowa. Pamiętam jeszcze, jak głowa opadła mi na koc, a potem już nic.

Gdy obudziłem się promienie słońca padały na moją twarz. Było ciepło i ten fakt z radością odnotowywało całe moje ciało. Usłyszałem jakieś przytłumione dźwięki rozmowy prowadzonej szeptem. Kiedy usiadłem i przetarłem oczy, ujrzałem, że dzieci postarały się doprowadzić schronisko do jakiegoś porządku.

Pozostawione liście i piasek zostały wymiecione na dwór. Koce, z wyjątkiem tego, na którym spałem, leżały starannie złożone na jednym z łóżek. Annet siedziała przy drzwiach na miejscu, gdzie zasnalem. Pod ręką miała oszalamiacz, zajęta jednak była sortowaniem jakichś owoców, które odkładała na wielki, zielony liść. Prima zajęta była razem z nią. A Dagny siedziała pomiędzy nimi, od czasu do czasu sięgając po jeden z owoców i jedząc go. Po pozostałych dzieciach w schronisku nie było ani śladu. Pritha podniosła oczy i zobaczyła, że obudziłem się, a na jej twarzy pojawił się uśmiech.

-Vere już nie spi, Annet - powiedziała.

-Najwyższy czas - zagrzmiała Annet. Wiedziałem jednak, że nie ma do mnie pretensji o zbyt długi sen. Podniosła się z kolan. - Umyj się. Zaraz za schroniskiem płynie strumyk. Potem dostaniesz śniadanie. Pewnie potrzebujesz nie mniej jedzenia

niz snu.

-Skoro tak twierdzisz, zgadzam się.

Doskonale zdawałem sobie sprawę z ogromnej pustej przestrzeni w moim żołądku, a jednak nie to było teraz najważniejsze. Uderzyła mnie swobodna atmosfera, w jakiej prowadziliśmy te rozmowy. Annet, po raz pierwszy od wielu dni była niemal wesola, a jej radość spowodowana była pewnością i radością, że wkrótce powroci do ukochanego domu. Czy ten nastrój wywołał w niej fakt, iż znajdowaliśmy się już tak niedaleko upragnionego celu naszej podróży? Czy spodziewała się, że zostanie dom nietknięty, kiedy powrocimy do Kynvet? Wątpiłem w taką ewentualność, a jednak nie zamierzałem na razie niszczyć atmosfery swobody i wesołości. Sam cieszyłem się, że napięcie, które towarzyszyło nam bezustannie przez ostatnie dni, trochę opadło.

Rzeczywiście, za schroniskiem płynął wąski strumyk i z radością z niego teraz skorzystałem. Możliwość umycia się dodatkowo poprawiła moje samopoczucie. Wciąż kleczałem nad wodą, kiedy pojawił się przy mnie Thad. Widząc, że kończę mycie, zaczął bez wstępów:

-Rano dokładnie obejrzałem mapę. Kraina lawy znajduje się dokładnie pomiędzy nami a Butte. Jednak - zmarszczył czoło - wspiałem się na najwyższy punkt, jaki był dostępny w pobliżu, ponieważ chciałem cokolwiek zobaczyć na własne oczy. Zobaczyłem... Nie powiedziałem jeszcze pozostałym. Woląłem, żebyś ty dowiedział się pierwszy.

-W porządku. - Wytarłem dłonie w długą trawę. - O co chodzi?

-Vere! Jesteś gotowy? Śniadanie! - zawołała Annet.

Thad miał niepewną minę.

-Czy chodzi o coś, o czym lepiej byłoby jeszcze im nie mówić? - skinąłem głową w kierunku schroniska.

Thad przytaknął.

-Gytha też widziała, ale będzie cicho. Co się odwlecze, to nie uciecze. Właściwie, to możesz spokojnie zjeść śniadanie, a potem się martwić.

-Vere - Gytha podeszła aż do strumyka - chodź, bo...

Thad uciszył ją ruchem ręki i przez sekunde sprawiała wrażenie, jakby się na niego rozzłościła. Zaraz jednak na jej twarzy pojawił się wyraz zrozumienia.

Śniadanie nie smakowało mi więc tak jak mogłoby. Bez słowa zjadłem rację energetyczną, która teraz z trudem przechodziła mi przez gardło, a na deser polknąłem trochę owoców, zebranych przez Annet. Odgadywałem, że Thad i Gytha niecierpliwia się, jednak starannie ukrywali to przed pozostałymi. Najadłszy się, wyszedłem wreszcie ze schroniska tłumacząc, że mam zamiar zlustrować okolice. Po raz pierwszy Annet nie pytała mnie dokąd idę. Ucieszyłem się z tego, jednak, na wszelki wypadek, by nie zawołała mnie w ostatniej chwili, opuściłem schronisko w wielkim pośpiechu.

Thad i Gytha poprowadzili mnie ku zaimprovizowanej drabinie, opartej o smagane wiatrem drzewo. Zbudowana z nierównych

dragow i kijow, stala tu juz zapewne od dlugiego czasu. Gdy wspielismy sie dzieki niej na najwyzsza galaz zdolna, by nas utrzymac, przylozylem do oczu lornetke. Kiedy wyregulowalem ostrosc, od razu zauwazylem helikopter. Tkwil przed moimi oczyma, stojac na ziemi, w cieniu kilku drzew i mimo sporej odleglosci, sprawial wrazenie sprawnego i gotowego do lotu.

-Bez problemu dolecielibysmy nim do Butte - zauwazyl Thad.

Bylo to oczywiscie prawda, jednak sam fakt, ze o niecala godzine drogi od nas znajdowal sie helikopter, wcale nie oznaczal, ze mozemy po prostu do niego wsiasc i odleciec. Sadze, ze te same watpliwosci mial Thad, bo zaraz dodal:

-Nie wiemy, czy na pewno jest sprawny. Jednak dlugo obserwowalismy go, Gytha i ja, na zmiane, przez wiekszosc poranka. Nie zauwazylismy wokol niego zadnego ruchu. Nie wiem, moze to pulapka?

Rozumowal poprawnie, jednak nie bylem sklonny z wlasnymi przypuszczeniami posuwac sie az tak daleko.

-Jezeli to jest pulapka, to na pewno nie zastawiona na nas - powiedzialem. - Gdyby ktos dowiedzial sie o naszej obecności, juz bysmy o tym wiedzieli. Do tej pory natknelismy sie tylko na jeden helikopter, a on przeciez sie rozbil. Z drugiej strony...

-Czy przypuszczasz, ze tam sa martwi ludzie, tak jak w Feehoime? - zapytala Gytha.

Nie widzialem powodow, by odpowiadac przeczaco na to ponure pytanie.

-To bardzo możliwe.

-Ale skoro zabil ich jakiś wirus, już jest niegroźny, prawda? A przecież potrzebujemy tego helikoptera...

-Co wiesz o wirusie? - zawolałem, ale zupełnie niepotrzebnie. Leżała przecież obok nas w pojeździe, kiedy Annet opowiadała mi o swoich obawach.

-Słyszeliśmy. Thad i ja wiemy, wie też Emrys i Sabian. Innym niczego nie powiedzieliśmy. Pritha jest przekonana, że mama wciąż na nią czeka. A Ifors przez cały czas mówi o ojcu. Lepiej niech o niczym nie wiedzą, dopóki to nie jest konieczne. Ale, Vere - powróciła do zasadniczej sprawy - czy możemy wykorzystać helikopter, skoro nie musimy się martwić, że zostaniemy zarazeni?

-Przypuszczam, że tak. Nie mamy jednak na razie pewności, że Feehoime zostało zaatakowane właśnie przez wirus.

-Przecież jesteś zdrowy, Vere, a ty tam byłeś. Przyniosłeś nam jedzenie. Jedliśmy je i nikt spośród nas nie zachorował, z wyjątkiem Dagny, a przecież nikt nie ma wątpliwości, że ona nie cierpi z powodu wirusa. - Gytha od razu chciała wyjaśnić sprawę.

-Prawda. Dlatego zrobimy tak: wy wszyscy tu zostaniecie. Thad, ty przejmiesz dowodzenie. Ja postaram się dotrzeć do helikoptera. Jeżeli będzie nadawał się do użytku, przylece nim tutaj. - Przez chwilę milczałem. - Jeżeli wyrusze natychmiast, być może wróce przed zmrokiem. Powiedzcie całej grupie, że badam naszą dalszą trasę.

-W porzadku - powiedzial Thad.

Kiedy znalezlismy sie na ziemi, Gytha powiedziala niespodziewanie:

-Chce isc z toba, Vere.

-Nie.

-Ale, Vere, jezeli to jest pulapka? Dobrze posluguje sie oszalamiaczem i nie podejde z toba do maszyny. Bede cie oslaniala, kiedy ty bedziesz ja ogladal.

-Nie. - Po chwili moja odmowe poparlem argumentem, ktory, mialem nadzieje, przekonaja: - Wlasnie dlatego, ze dobrze poslugujesz sie oszalamiaczem, Gytha, chce, zebys tu pozostala. Przyrowadzenie tutaj helikoptera to zadanie, ktore mozna wykonac w pojedynke. Uwierz mi, zastosuje wszelkie srodki ostroznosci. A jesli rzeczywiscie zastawiono na nas pulapke, jezeli naprawde ktos od pewnego czasu nas sledzi, to najniebezpieczniej bedzie wlasnie tutaj, w schronisku. Dlatego, jak mnie nie bedzie, wszyscy macie zamknac sie w srodku i czekac, uwaznie wypatrujac, czy gdzies na zewnatrz nie czai sie niebezpieczenstwo.

Zagrozenie bylo raczej malo prawdopodobne, a jednak istnialo i moglem z czystym sumieniem przyznac przed samym soba, ze nie oklamuje Gythy. Nie protestowala, mimo ze jej usta wygiely sie na moment w buntowniczym grymasie.

-Jezeli nie wroce do zmroku - powiedzialem do Thada - przenocujcie, a potem szukajcie jakiegos innego schronienia.

Nadal uważam, że Butte jest najlepszym miejscem, do którego możemy się udać, o ile jest puste. Jednak...

Nie wiedziałem, jakich rad mu jeszcze udzielić. Nie mogłem przecież przewidzieć, co w najbliższych godzinach stanie się z nimi, ze mną... Po co więc obciążać Thada poleceniami, które mogły okazać się nietrafione, gdyby sytuacja rozwinęła się w nieprzewidywanym przez mnie kierunku.

-Rob to, co będziesz uważał za najbardziej właściwe - dodałem.

-Tak. Vere...

Odwrociłem się, bo właściwie to już byłem w drodze.

-Uważaj na siebie - powiedział Thad, niemal ze złością w głosie - nie możemy sobie pozwolić na to, by cię stracić.

Do tej pory odnosiłem wrażenie, że Thad robi wszystko,

żeby podważyć mój autorytet. Nie przyszło mi dotąd do głowy, że może mnie traktować tak, jak ja na początku tej przygody traktowałem Lugarda, jako wyrocznie i wzór do naśladowania. I wcale mi się ta myśl, kiedy już nadeszła, nie spodobała, ponieważ do tej roli byłem zupełnie nieprzygotowany. Uniosłem dłoń w pozdrowieniu i szybkim krokiem ruszyłem przed siebie.

Pomyślałem, że aż dotąd nie planowaliśmy naszej przyszłości dalej, niż kilka dni naprzód. Sam spekulowałem, jak i wszyscy członkowie mojej grupki, że coś strasznego musiało wydarzyć się na Beltane. Jednak nie zastanawiałem się, co dalej zrobimy, jeżeli pozostaliśmy na planecie jedynymi ludźmi. Powinnismy

pojsc do portu i zawiadomic o naszym nieszczęściu wszystkie najbliższe światy. Lecz nie miałem żadnej pewności, że w ciągu najbliższych lat ktoś zareaguje na naszą wiadomość; może już nigdy nie doczekalibyśmy się reakcji. Co wtedy? Zacząłem odpędzać od siebie tę natrętą myśl. Powinienem przecież skupić się na tym, co czeka mnie w ciągu najbliższych godzin, a nie lat. A w ciągu najbliższych godzin miałem przecież sprawdzić helikopter.

Jeżeli został porzucony, lub jeśli znajdowały się w nim jedynie zwłoki, stanowił dar fortuny. Moglibyśmy już nie obawiać się wędrowki przez krainę lawy. Wiedziałem jaką udreka byłoby przejście przez nią na nogach, z bardzo ograniczonymi zapasami, bez przewodnika, bez żadnej szczegółowej mapy.

Skreciłem trochę w lewo z dotychczasowego szlaku, idąc za wskazaniem kompasu. Wkraczałem do gęstego lasu, chociaż drzewa nie były tu jeszcze tak potężne jak te na dole. Zrozumiałem, że teraz dopiero tak naprawdę przyda mi się wiedza, jaką zdobyłem kształcąc się na Straznika.

Tak, jak się spodziewałem, w miarę, jak schodziłem w dół, drzewa były wyższe, a wędrowka wśród nich trudniejsza. Co jakiś czas zatrzymywałem się i słuchałem. Jednak nigdy nie dotarł do mnie żaden dźwięk, poza typowymi odgłosami lasu.

Mimo iż tego nie odczuwałem, musiałem iść dość szybko, bo sciana drzew rozstąpiła się przede mną niespodziewanie. Znalazłem się na małej polanie, na której stał helikopter.

Cofnąłem się szybko i zacząłem uważnie przypatrywać się maszynie. Jej drzwiczki były do połowy otwarte.

Kiedy zrozumiałem, dlaczego maszyna tutaj wylądowała, wyszedłem na polane i ruszyłem w kierunku helikoptera, mimo że wiedziałem, iż za kilka chwil ujrze widok, który wcale nie będzie przyjemny.

Rozdział czternasty

W środku znajdowało się czterech pasażerów; jeden z nich z pewnością znalazł się tutaj wbrew własnej woli. Siedział na miejscu pilota i miał na sobie ubranie pochodzące niewątpliwie z Beltane, podczas gdy osobnik znajdujący się za nim miał na sobie niekompletny mundur uchodzący i miotacz laserowy w zacisnietej ręce. Latwo było domysleć się, że groził nim pilotowi do samego końca. Pozostali dwaj pasażerowie helikoptera także mieli mundury. Wolalbym nie przypominać sobie następnej godziny. Nie miałem przy sobie niczego, co mogłoby posłużyć mi do kopania w ziemi. W tej sytuacji zrobiłem dla zmarłych tyle, ile byłem w stanie: wydobyłem z helikoptera i zasypałem ich zwłoki suchym piaskiem. Gdy tego dokonałem, byłem skrajnie zmęczony, jednak dysponowałem helikopterem, który okazał się sprawny i zdolny do natychmiastowego lotu.

Mogłem jedynie spekulować, dokąd ci ludzie lecieli w swej ostatniej godzinie. Może chcieli dotrzeć do jakiegoś miejsca za górami, może chodziło im nawet o Butte Hold, bo przecież w okolicy nie było żadnego obozu, ani osiedla. Martwi byli już Jednak co najmniej od kilku dni.

Lot ku schronisku na zboczu góry okazał się niezwykle łatwy. Maszyna była dobrze utrzymana, nawet lepiej niż te z Kynvet, którymi do tej pory posługiwałem się. Ponieważ Jednak nie posiadała urządzenia rejestrującego loty, nie mogłem dowiedzieć

sie skad tutaj przybyla, ani dokad zmierzala w chwili, kiedy jej pilot i pasazerowie umarli.

Zmierzchalo juz, kiedy osadzalem helikopter na polanie przed schroniskiem. Wyszedszy z kabiny, z ulga stwierdzilem, ze wszystkie dzieci sa w komplecie.

-Do domu! - krzyknela Annet, kiedy ujrzala mnie i helikopter. - Nareszcie bedziemy mogli poleciec do domu.

-Nie tak od razu - powiedzialem.

-Dlaczego? - zawolala gwaltownie. - Musimy wrocic do Kynvet i dowiedziec sie wreszcie, co sie stalo.

-Jesli o mnie chodzi, to mniej wiecej wiem juz, co sie stalo. - Wiedzialem, ze predzej czy pozniej, bede musial powiedziec im wszystkim. - W tym helikopterze lecial jeniec i jego straznicy. Jeniec byl czlowiekiem z Bekane, a jego straznikami - uchodzczy ze statku.

-Kto to byl? - zapytala Annet.

Potrzasnalem glowa.

-Nie wiem.

Ku mojej uldze Annet nie upierala sie, zadala mi natomiast bardziej praktyczne pytanie:

-A wiec, dokad, jezeli nie do domu?

-Do Butte Hold. Pamietasz pokoj lacznosci? - Jedynie tym

mogłem ja skusić. Czy jednak za chwile nie powie, że urządzenia komunikacyjne w innych miejscach nie udzieliły nam odpowiedzi na żadne pytania? A jeśli zaczniesz nalegać, by mimo wszystko lecieć do Kynvet, czy mój autorytet wystarczy, żeby jednak skierować się do Butte? Do tej pory nigdy nie sprzeczałem się do granic uporu i w tej chwili była to ostatnia rzecz, jakiej było nam potrzeba.

-Do Butte - powtórzyła, a potem umilkła, jakby nad czymś się zastanawiała.

-To jest w tej chwili najbezpieczniejsze miejsce na planecie, jakie znam. Nic nie może równać się ze zgromadzonymi tam zapasami broni, narzędzi i żywności. Lugard mówił, że jest to tak umocniona forteca, że żadna siła istniejąca na tym świecie nie zdobędzie jej.

-Obys miał racje. Na razie nie wiemy jaka siła występuje przeciwko, nie wiemy nawet, czy pochodzi z tego świata.

Ale. jeśli tak trzeba... Polecimy do Butte. Czy chcesz wyruszyć jeszcze dziś w nocy?

-Nie, wczesnie rano.

Spędziliśmy więc drugą noc w prymitywnym schronisku. Nie mieliśmy jednak powodu do narzekania. Dzięki uśmiechowi fortuny dysponowaliśmy doskonałym środkiem transportu i omijała nas konieczność odbycia długiego i uciążliwego marszu przez krainę lawy.

Przed snem sprawdziłem, czy działa system łączności

helikoptera. Nie znalazłem w nim śladu awarii, jednak z eteru dobiegał jedynie cichy szum. Sam nie odważyłem się nadać żadnej wiadomości.

Już o świcie załadowaliśmy się wszyscy do kabiny. Gdy cała nasza dziesiątka znalazła się w środku, było nam tak ciasno jak w pojeździe naziemnym, jednak nic sobie z tego nie robiliśmy. Byliśmy szczęśliwi, że polecimy. Gdy wzniosłem maszynę w powietrze, od razu obrałem kurs, który miał doprowadzić nas prosto do Butte.

Podczas lotu nad krainą lawy moja wdzięczność wobec losu, że nie musimy odbywać tej drogi pieszo, jeszcze wzrosła. Ziemia pod nami była jednym wielkim labiryntem rowów i kraterów. Przypomniałem sobie, że przecież jedyna wędrowka po niej odbyliśmy pod przewodnictwem Lugarda. Zrozumiałem, że gdybym miał sam prowadzić moją gromadkę, najprawdopodobniej szybko bym zabłądził i zaginelibyśmy tutaj na zawsze.

Dolecieliśmy do Butte około południa. Annet, siedząca obok mnie, czujnie śledziła przyrządy kontrolujące, czy w pobliżu nas nie ma w powietrzu żadnej innej maszyny latającej. Jednak niebo było czyste, ani śladu zagrożenia. W pewnej chwili zameldowała mi, że lądowisko też jest puste i możemy osiąść na ziemi. Ten meldunek jednak mnie zdziwił.

-A helikopter, którym przylecieliśmy... - Kiedy to było? Ile dni temu? Nie potrafiłem ich policzyć, ze względu na nasz długi pobyt pod ziemią.

-Właśnie - teraz i Annet zastanowiła się nad tym. - Gdzie on

jest?

Czy zabrali go bandyci, ktorzy nas szukali? Poczulem sie troche niepewnie. Moja niepewnosc zwiekszyła sie, gdy przypomnialem sobie, ze przeciez Lugard zamknal glowne wrota do podziemnej czesci osady, kiedy po raz ostatni opuszczalismy to miejsce. Zatem, jezeli nie pokonamy zabezpieczen, ktore staly na jego straży, pozbawieni bedziemy tego, czego teraz pragnelismy najbardziej, bezpiecznego schronienia. Zaczalem przeklinac swoja glupote; przeciez jeszcze w grotach, przed pogrzebem, powinienem byl odebrac Lugardowi metalowa plytke, ktora byla tu uniwersalnym kluczem.

Jednak Annet zaraz zameldowala mi, ze glowna brama jest otwarta, a to oznaczalo, ze ten przynajmniej problem nie istnieje. Po chwili namyslu postanowilem wyladowac helikopterem na dachu, nad brama. Jesli za nia czaila sie jakas pulapka, istniala szansa, ze jej unikne w pore unoszac maszynie z powrotem w powietrze.

Gdy tylko postawilem wszystkie kola helikoptera na powierzchni, od razu wyskoczylem na zewnatrz, a oszolamiaczem w pogotowiu. Wiatr cicho zawodzil wsrod skal, bylo jednak bardzo goraco, co od razu odczulem. Grube ubranie, ktore mialem na sobie, odpowiednie bylo w zimnych gorach, ale nie w wiecznie upalnej krainie lawy.

Ruszylem do drzwi wiezy wartowniczej. Annet zajela moje miejsce za sterami helikoptera; miala wzniesc maszynie w powietrze w wypadku najmniejszych klopotow, nie zwazajac, czy dam rade powrocic, czy tez nie.

Poczulem sie dziwnie, przemierzajac czujnie opustoszone Butte, wietrzac na kazdym kroku zasadzke, podstep, czy atak przeciwnika, ktorego nie znalem. Cisza uczynila to miejsce niesamowitym. Oprocz odglosu wlasnych krokow i szumu wiatru niczego nie slyszalem, a mimo to co kawalek zatrzymywalem sie, nasluchujac. Wizyta na wiezy niczego mi nie dala. Zszedlem wiec na dol i po chwili przekroczylem glowne wrota Butte. Znalazlem sie w hallu, z ktorego jedne drzwi prowadzily do pokoju lacznosci, inne do windy grawitacyjnej, a jeszcze inne do jadalni, w ktorej tak niedawno jeszcze jedlismy. Na razie nie napotykallem nikogo i niczego, co uzasadnialoby moja wzmozona czujnosc.

Dopiero gdy wszedlem do jadalni, znalazlem dowody, ze w Butte jednak ktos byl. Tak jak w magazynie w Feeholme, znalazlem tu slady pladrowania, chociaz nikt tutaj niczego bezmyslnie nie zniszczyl. Widac bylo, ze zabrano stad sporo zapasow zywnosci, jednak to, co zostalo i tak moglo jeszcze sluzyc wielu ludziom przez dlugi czas.

Pokoj lacznosci byl nastepnym obiektem moich zainteresowan. Nie zastalem tu balaganu, nie moglem wywnioskowac wiec, czy od mojej ostatniej bytnosci tutaj ktos posluzyl sie zainstalowanym tu sprzetem. Sam nie probowalem niczego uruchomic.

Powrocilem do glownych drzwi i dopiero teraz zauwazylem, ze otwarto je za pomoca miotacza laserowego, przez co ponowne ich zamkniecie bylo teraz niemozliwe. To czynilo troche bardziej skomplikowanym zamiar schronienia sie w Butte, jednak uznalem, ze tym problemem zajme sie pozniej. Na razie osada byla czysta i moglem dac sygnal dzieciom czekajacym w

helikopterze, żeby tu przyszły.

Przez dwa dni pracowaliśmy nad uczynieniem z Butte prawdziwej fortecy. Spodziewałem się, że Annet będzie przeciwko temu protestowała, uznając te prace za stratę czasu. Ku mojemu zdziwieniu milczała jednak, większość czasu spędzając w pokoju łączności. Nie wątpię, że próbuje wyłowić jakikolwiek sygnał, który świadczyłby, że na Beltane żyją jeszcze, poza nami, jakichś dotychczasowi jej mieszkańcy.

Winda grawitacyjna ciągle działała. Nie dowierzałem jej zbyt, dlatego używałem jej najrzadziej jak mogłem. Na szczęście odkryliśmy inną drogę, właściwie luk towarowy, prowadzący do magazynów ukrytych pod ziemią. Ucieszyło mnie to, gdyż zdawałem sobie sprawę, iż maszyn, które Lugard wyprowadził na powierzchnię nie można było wydostać przy wykorzystaniu tej windy. Wkrótce przekonałem się, że ta dodatkowa droga prowadzi bezpośrednio do małej polki utworzonej przez zastygłą lawę, na powierzchni Beltane.

Długo eksperymentowaliśmy z maszynami, aż w końcu znaleźliśmy tę, przy pomocy której mogliśmy zamknąć wejście do podziemnej części Butte. Zamontowany miał potężny laser i przy ogromnym wysiłku nas wszystkich dała się dociągnąć do frontowych drzwi. Wtedy do utworzonej w nich dziury napakowaliśmy szczelnie tyle suchej lawy, ile tylko się zmieściło i stopiliśmy ją laserem. Drzwi znowu były zaporą nie do przebycia. Ponieważ nie było można ich otwierać, nie mieliśmy teraz w Butte normalnego wyjścia. Mogliśmy wychodzić na zewnątrz jedynie wąskim lufcikiem przez dach, albo niedawno odkrytym lukiem towarowym. Poza nami zapewne nikt nie wiedział o jego istnieniu.

W podziemnych magazynach znajdowało się tyle zapasów, że wprost trudno było określić, czy kiedykolwiek się nam skończą. Dlatego, gdy trzeciej nocy w Butte układałem się do snu byłem bardzo zmęczony, ale zarazem spokojny, bo udało się nam wszystkim zapewnić taki stopień bezpieczeństwa, jakiego nie mieliśmy od początku tej przygody. Mój spokój nie trwał jednak długo, bo zaraz podeszła do mnie Annet.

-Kynvet. - Powiedziała tylko to jedno słowo, ale za to z taką determinacją, że nie miałem wątpliwości, iż tym razem postawi na swoim. - Może już nie istnieje, ale musimy wiedzieć.

Oczywiście, miała rację. A jednak, będąc już tak blisko momentu poznania tragicznej prawdy, bardzo chciałem ten moment opóźnić.

Annet zapewne zauważyła niechęć na mojej twarzy, bo po chwili powiedziała:

-Jeśli ty nie będziesz chciał, wyruszę tam nawet sama.

Wiedziałem, że nie rzuca tych słów na wiatr.

-Polece do Kynvet - powiedziałem.

Wszelkie moje zadowolenie i poczucie bezpieczeństwa w jednej chwili zniknęło. A więc nie będę długo cieszył się spokojem, nawet nie wypocznie porządnie po tylu ciężkich dniach. Poczulem się tak, jakby otworzyła mi się rana, która już zdawała się wyleczona.

-Jeżeli... jeżeli wydarzyło się najgorsze - kontynuowała Annet,

unikając mojego wzroku - jest jeszcze port i sygnał, który można wysłać.

-Wiesz, Annet, że sygnał...

-...może podróżować w przestrzeni i przez całe wieki pozostać bez odpowiedzi, wiem. Jest jednak dla nas szansa, którą musimy podjąć. A więc, Kynvet i, jeżeli będzie to konieczne, port. Ale, Vere, tym razem nie polecisz sam.

-Ale nie z toba.

-Nie ze mna. - Zgodziła się od razu, ku mojej wielkiej uldze. - Dwie osoby to pewniejszy patrol. Thad...

-Ale...

-Och, wiem. Patrzysz na niego jak na kogoś, kto chciałby pozbawić cię przywództwa. Oczywiście, nie jest on Vere Collisem, tak jak ty nie jesteś Grisseem Lugardem. Musisz go zabrać z tego samego powodu, z jakiego chciałbyś go tu zostawić: jest następny po tobie, zaraz po tobie najsprawniejszy, najdzielniejszy, najbardziej odważny.

Miała rację, chociaż nie chciałem tego przyznać. Thad posiadał umiejętności, które predestynowały go do zastąpienia mnie, gdyby coś złego mi się przydarzyło. A fakt, że Annet brała pod uwagę tę możliwość, świadczył, iż powoli godziła się z myślą, że na Beltane zdarzyło się to najgorsze, co mogło się zdarzyć; przecież jeszcze kilka dni temu nie dopuszczała do siebie takiej myśli.

Spędziłem cały następny dzień na porządkowaniu spraw w Butte, chcąc pozostawić je w jak najlepszej gotowości do odpierania ewentualnych ataków. Dopiero następnego ranka wyruszyłem razem z Thadem do Kynvet i to, wbrew protestom

Annet, pieszo, gdyż uznałem, że helikopter musi pozostać ostatecznym środkiem ucieczki dla tych, którzy pozostawali w twierdzy. Poza tym byłem przekonany, że, nawet jeśli piesza podróż musiała być o wiele dłuższa, była bezpieczniejsza, gdyż zwiększała do maksimum nasze szanse na to, że aż do osiągnięcia celu wędrowki pozostaniemy nie wykryci.

Droga z Butte była zarosnięta chwastami, gdyż od dawna już nie używano jej. Przez ostatnich dziesięć lat do Butte podróżowano bardzo rzadko, a jeśli już, to korzystano z oblatywaczy albo z helikopterów. Na szczęście ślady dawnej drogi były na tyle wyraźne, że stanowiły dla nas wystarczającą wskazówkę.

Niesliśmy tylko najbardziej niezbędne zapasy i po oszalamiaczu z jednym dodatkowym ładunkiem amunicji. Długo szukałem w Butte bardziej stosownej i groźniejszej broni na te wędrowki. Jednak nie znalazłem niczego i w końcu pogodziłem się z myślą, że wszelka broń wywieziono z Beltane, kiedy planecie opuszczali żołnierze. Dlatego, jeszcze przed wyruszeniem w drogę, laser, za pomocą którego zasklepiłismy drzwi wejściowe do podziemnej części osady, wyniosłem na dach i nauczyłem Annet, jak się nim posługiwać w razie konieczności. Wcale nie miałem pewności, czy posłużyłaby się nim, nawet w najtragiczniejszej sytuacji, lecz przecież nigdy nie wiadomo, jak zachowa się człowiek, jeżeli śmierć zajrzy mu w oczy.

Mozna by powiedzieć, że trasa naszej wędrowki nie różniła się niczym od tras prowadzących przez najbliższe ostepy

Rezerwatow, gdybysmy nie natkneli sie okolo poludnia na samotna farme. Tam odkrylismy kolejne oznaki tragedii. Byla to stacja, w ktorej prowadzono badania nad mutantami. Wszystkie zwierzeta pozostawaly tu w klatkach i niemal wszystkie pozdychaly. Uwolnilismy zaledwie dwa, ktore jeszcze zyly. Nakarmilismy je i napoilismy, po czym puscilismy wolno. Pomyslalem, ze jesli natkniemy sie na nie podczas drogi powrotnej, wowczas zabierzemy je do Butte.

Budynek byl pusty i nie znalezlismy zadnych wskazowek, ktore swiadczylyby, co stalo sie z jego mieszkancami. Nie zauwazylismy ani sladow walki, ani pladrowania, jednak nie moglo to byc przeciez dla nas zadnym pocieszeniem.

Ruszyliśmy w dalsza wędrowkę, wciąż trzymając się zarosniętej drogi. Sadzę, że stanowiła ona dla nas swoisty pomost, łączący nas z cywilizacją, jaka kiedyś posiadała Beltane oraz bezpieczną przeszłością, która przecież tak dobrze pamiętalismy. Rozmawialismy niewiele, aż do momentu, gdy Thad niespodziewanie wybuchnął:

-Vere, czy naprawdę uważasz, że na Beltane poza nami nikogo już nie ma?

-To jest możliwe.

-A uchodźcy?

-Ci w helikopterze nie żyli. Być może wszyscy stracili kontrolę nad swoimi poczynaniami.

Thad zatrzymał się i popatrzył mi w oczy.

-Tak chyba byloby lepiej, prawda?

-Chyba tak. Musimy jednak miec pewnosc.

Pozycja Thada w Kynvet byla niemal rowna mojej. Jego rodzice umarli w wyniku jakiegos wypadku spowodowanego czyims bledem w laboratorium, wiec wychowywala go rodzina Draxow, ktorzy byli krewnymi jego ojca. Nie mial wiec specjalnie kogo oplakiwac.

-Pewnie masz racje - przyznal. - Co jednak zrobimy, Vere, kiedy juz na dobre okaze sie, ze jestesmy tutaj sami? Och, wiem, nadamy sygnal w przestrzen. Ale przeciez moze sie stac tak, ze nikt go nie odbierze. Co wtedy?

-Prawo lodzi - powiedzialem krotko.

-Prawo lodzi? - powtorzyl. Po chwili zrozumial. - Och, masz na mysli uregulowania w przestrzeni. Zalozymy kolonie jako rozbitkowie, czy tak? Ale przeciez nie jestesmy rozbitkami ze statku kosmicznego.

-Jestesmy w sytuacji, w ktorej to prawo ma zastosowane. I bedziemy na poczatek posiadali wiecej, niz kiedykolwiek mieli inni rozbitkowie. Dysponujemy wszystkim, co jest na tej planecie. To nasza wlasnosc.

-Przeciez maszyny kiedys sie zepsuja. Wiekszosc z nich juz teraz wymaga napraw, ktorych nie jestesmy w stanie przeprowadzic. A kiedy wszystko przestanie funkcjonowac...

-Wtedy pozostaniemy juz zdani tylko na wlasne sily. Musimy

dokonac jak najwiecej, dopoki dysponujemy maszynami.

To musialoby jednak trwac cale lata, a ja na razie nie chcialem wybiegac myslami w przyszosc dalej niz na kilka dni; przynajmniej, dopoki nie musialem. Thadowi tez zapewne nie podobaly sie takie perspektywy, bo nagle umilkl. Przez reszte dnia wymienilismy zaledwie kilka slow zwiazanych z naszym marszem.

Te noc spedzilismy pod golym niebem, w malym zagajniku przy strumieniu. Po zmroku na zmianie czuwalismy, a nad ranem zjedlismy racje energetyczne i wyruszyliśmy w dalsza droge.

Bylo juz po poludniu, kiedy zaczelismy rozpoznawac okolice. Napotykalismy mnostwo oswojonych zwierzat krazacych bez celu. Niektore probowaly isc za nami, jednak staralismy sie zniechecac je do naszego towarzystwa, gdz mogly zwrocic na nas czyjas uwage.

Wreszcie dotarlismy do Kynvet, albo miejsca, w ktorym kiedys stalo Kynvet. Widzialem juz kiedys tasmy ilustrujace zniszczenia wojenne, ale pochodzily one z innych swiatow i nigdy nie przypuszczalem, ze ujrze cos takiego na wlasne oczy. Poczulem sie, jakby ktos z calej sily uderzyl mnie w twarz.

Byla tu tylko rozryta zolta ziemia, upstrzona fragmentami materialow, ktore kiedys skladaly sie na nasze domy, laboratoria i inne zabudowania, stanowiace nieodlaczone czesci naszego dzieciinstwa. Nie zostal zaden wyrazny slad, ktory dowodzilby, ze w tym miejscu znajdowalo sie kiedys osiedle. Mozna bylo odniesc wrazenie, ze to piesc giganta uderzyla tutaj by zniweczyc wszystko, co kiedykolwiek zbudowal czlowiek.

-Nie... - Thad wydobył z siebie jedynie cichy jęk - dlaczego?...

-Pewnie nigdy się nie dowiemy.

-Ja... Ja... - schował z ramienia oszalamiacz, jakby to był miotacz laserowy i mógł zniszczyć nim wrogów znajdujących się w pobliżu.

-Opamiętaj się, Thad. Bron może ci się jeszcze przydać.

Zapowiedź możliwej zemsty sprawiła, że trochę się uspokoił.

-Dokąd teraz?

-Do portu. - Nie miałem jednak wielkiej nadziei, że zastaniemy tam lepszą sytuację niż w Kynvet.

Początkowo mieliśmy zamiar przenocować w Kynvet, jednak w sytuacji, jaką zastaliśmy, postanowiliśmy odejść stąd jak najdalej. Dlatego zatrzymaliśmy się, gdy już było dobrze po zmroku i postanowiliśmy przenocować w wielkim magazynie, który służył do magazynowania zbiorów po zniwach. Pomiedzy Kynvet a portem rozciągały się bowiem wielkie pola uprawnych.

Zagłada na Beltane przyszła na krótko przed porą zniw. Wiedziałem, że nikt już nie sprzątnie tych pól, że teraz mogła się tym zająć jedynie nasza gromadka i że będziemy musieli to zrobić, jeżeli zamierzamy jeszcze kiedykolwiek jeść świeży chleb.

Następnego poranka dotarliśmy do granic Yetholme. Być może osiedle nie zostało potraktowane tak jak Kynvet, jednak w grotach słyszeliśmy odgłosy wielu wybuchów. W każdym razie postanowiliśmy, że w drodze powrotnej ominiemy szerokim

lukiem i Yetholme i Haychax; teraz najważniejsza sprawa było dotarcie do portu, jak najszybciej i jak najkrótsza trasa. Byłem przekonany, że jeśli na Beltane pozostało jeszcze jakiegokolwiek cywilizowane życie, koncentruje się ono właśnie wokół portu.

Poruszaliśmy się teraz bardzo szybko, truchtając i odpoczywając na przemian. Był to sposób na najszybszą pieszą podróż, którego nauczyłem się podczas przygotowań do zawodu Straznika. Byliśmy jednak wciąż w sporej odległości od portu, kiedy ujrzelismy przed sobą dwa wysokie stalowe filary, skierowane ku niebu.

-Statki! - wykrzyknął Thad.

-Spokojnie! - złapałem go za ramię i pociągnąłem na ziemię. Uznałem, że musimy teraz zachować jak najdalej posuniętą ostrożność i spryt.

Z całą pewnością statki, które widzieliśmy nie pochodziły z Beltane, nie były to też statki handlowe z żadnego innego świata.

-Patrol? - Thad nie rozpoznawał, lecz pytał. Zaczeliśmy człogać się w kierunku statków. Na moment wstąpiła we mnie nadzieja: być może to ludzie z Bekane zdążyli wypuścić w przestrzeń błagalny sygnał i te statki przybyły z pomocą. W takim razie byliśmy bezpieczni. Woląłem jednak upewnić się, zanim zrobiłbym coś nieodwracalnego.

Na budynkach wokół bramy prowadzącej do portu widniały ślady walk. Stopione fragmenty konstrukcji świadczyły, że używano miotaczy laserowych. Powoli mineliśmy zniszczone helikoptery, a na dachu jednego z budynków ujrzelismy wbity w niego z

ogromna siła oblatywacz. Nie slyszelismy jednak zadnego dzwieku, nic nie swiadczylo, ze ktokolwiek tu przebywal w ciagu ostatnich kilku dni.

Przeszlismy przez brame i przykucnelismy za przewroconym helikopterem. Wyciagnalem lornetke, chcac dokladnie obejrzec teren, zanim postapimy kolejny krok naprzod.

Statki z cala pewnoscia przebywaly przez bardzo dlugi czas w przestrzeni; swiadczyła o tym zluszczona farba na ich kadlubach. Ten stojacy blizej nas nie mial juz szansy nigdy wznieśc sie w przestrzen, gdyz jego silniki byly zbyt skorodowane. Juz wyladowanie ta maszyna bylo karkolomna sztuka. Pilot, który tego dokonat, musiat miec niewiarygodne szczescie.

Na obu statkach widnialy troche zamazane znaki rozpoznawcze. Byly to jakies nieznane mi symbole wojskowe, na pewno nie z Beltane. Pierwszy statek z uciekinierami nie wyladowal w porcie; byc moze teraz mialem przed oczyma dwa nastepne, których pasazerowie zazadali dla siebie od Komitetu identycznych przywilejow.

Luki statkow byly otwarte, rampy wysuniete, jednak nic sie wokol nich nie dzialo, panowala absolutna cisza. Skupilem swój wzrok na rampie statku, który stal dalej od nas, patrzyłem przez chwile, po czym poderwalem sie na nogi.

-Co sie stalo, Vere.

-Na rampie lezy martwy czlowiek. Chyba nie mamy czego sie bac. Chodzmy.

Nie zbliżyliśmy się do statków, lecz obszedliśmy je szerokim łukiem, weszliśmy do głównego budynku portu. W wielkich salach nasze miękkie buty nie wydawały żadnego odgłosu w zetknięciu z kamiennymi posadzkami, o które przez wiele lat głośno i wesoło stukaly podkute buty pilotów wyruszających w przestrzeń. Ślady upadku pojawiły się tu już na długo przed katastrofą - port przez wiele lat był prawie nie wykorzystywany, nie remontowano go, wiele pomieszczeń było po prostu niepotrzebnych, które trwały niszcząc zamknięte na cztery spusty. Port przypominał pomnik - lecz nie pomnik martwego bohatera; upamiętniał raczej sposób życia, który odchodził w zapomnienie.

Pokój łączności, który był naszym pierwszym celem, okazał się całkowicie zniszczony. Musiały toczyć się w nim gwałtowne walki, bo niemal w każdym miejscu dawało się zauważyć ślady po działaniu promieni laserowych, a na posadzce widniały nawet plamy zakrzepłej krwi. Ale również ktoś próbował coś tu naprawić, o czym świadczyły porzucane narzędzia i ślady prowizorycznych połączeń. Przypuszczałem, że to zwycięzcy, właśnie stąd i to skutecznie, wezwali na Planecie dwa kolejne statki.

Wszelkie naprawy, jakich tu udało się dokonać były jedynie powierzchowne i nie miałem wątpliwości, że przywrócenie tego pomieszczenia do stanu używalności leży całkowicie poza zasięgiem moim i mojej gromady. Jednak szukaliśmy tutaj jeszcze czegoś, jeszcze jednego małego, bocznego pomieszczenia, o którego istnieniu niekoniecznie musieli wiedzieć najeźdźcy. Przeskakując nad szczątkami, powoli zbliżyliśmy się do jego drzwi.

Drzwi stawiały opór, dopóki obaj nie pchnęliśmy ich z całej siły. Stanawszy w środku, znaleźliśmy się w centralnej bazie łączności. To stąd wychodziły z Beltane wszelkie sygnały kierowane w przestrzeń. Wychodziły, ale już nigdy nie wyjdą. Urządzenie emitujące roztrzaskane było na drobne kawałki.

-Nic z tego - powiedział Thad z rezygnacją po długiej chwili, podczas której zmagaliśmy się z bezsilną złością. - Tutaj także walczyli.

-Ktoś próbował wysłać sygnał, ale został przyłapany. Chociaż ani przez chwilę nie wierzyłem, że moglibyśmy otrzymać jakkolwiek pomoc z przestrzeni, teraz ogarnęło mnie poczucie pustki; dopiero teraz mogłem być pewien, że jesteśmy naprawdę zupełnie sami. Odwróciłem się, chcąc stąd wyjść. Ponieważ Thad wciąż wpatrywał się w poniszczone urządzenia, cofnąłem się po niego i położyłem dłoń na jego ramieniu.

-Chodź, Thad. Nic tu po nas.

Nie mieliśmy tu już nic do szukania. Teraz pozostały nam do sprawdzenia już tylko stanowiska dowodzenia i centralny komputer, do którego sływały codziennie wszystkie raporty kierowane do Komitetu. Istniała drobna szansa, że jeśli coś z tego zachowało się w pamięci komputera, przede wszystkim, jeżeli go nie zniszczono, otrzymamy przynajmniej częściową odpowiedź na pytanie, co zdarzyło się na planecie, kiedy my byliśmy w grotach. Powiedziałem o tym Thadowi i opuściliśmy zrujnowany pokój łączności, zmierzając ku centralnemu bankowi danych Beltane.

Rozdział piętnasty

Spodziewalem sie, ze informacje beda wymazane z pamieci komputera, albo ze komputer bedzie po prostu zniszczony. Tymczasem bylo zupełnie inaczej. Albo walki tutaj nie dotarły, albo nikt po prostu nie zainteresował się tymi zapisami. Podszedłem do stanowiska kontroli znajdującego się na środku pomieszczenia i zacząłem studiować przyciski i dzwignie na tablicy rozdzielczej. Sciana przede mną była jednym wielkim monitorem; wszelkie informacje przekazywane były tutaj w formie wizualnej i audialnej. Jeżeli wszystkie urządzenia były sprawne, mogłem uzyskać tu nie tylko pełne informacje o kolonizacji Beltane od momentu wylądowania na niej Pierwszego Statku, ale też wszystkie dane, uzyskane w wyniku badań laboratoryjnych na planecie. Oczywiście, większość informacji została zaklasyfikowana jako tajne i dostęp do nich możliwy był tylko po wprowadzeniu do bazy danych specjalnych kodów, których nie znałem. Zawahałem się nie wiedząc, jaki szyfr da mi dostęp do informacji o tym, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dni. Przyszło mi słowo "uchodźcy", bo moje dociekania dotyczyły zdarzeń związanych właśnie z nimi, poza tym kartoteka musiała zostać założona wraz z wylądowaniem na Beltane pierwszego ich statku. Głęboko odetchnawszy wprowadziłem to słowo do komputera.

"Czwartego dnia, szóstego miesiąca, 105 roku planetarnego..." - Mechaniczny głos rozbrzmiewał donośnie w pomieszczeniu i czym prędzej go przyciszyłem. Głos bez Przeszkód wymieniał suche fakty: że statek z uchodźcami Poprosił o zgodę na lądowanie, że otrzymał zgodę i osiadł na północnej części planety, a jego pasażerowie otrzymali zgodę na osiedlenie się na Bekane. Usłyszałem, jakie warunki postawiono nowym osadnikom.

Od tych dobrze znanych mi faktów nagranie przeszło do informacji o następnych statkach, o prośbie dotyczącej kolejnego lądowania, o spotkaniu pomiędzy przedstawicielami ludzi ze statków a Komitetem, o głosowaniu poszczególnych osiedli. Wciąż nie dowiadywałem się niczego nowego. A jednak, nadszedł moment, kiedy uważniej zacząłem wsłuchiwać się w mechaniczny głos.

"Dwunastego Dnia, siódmego miesiąca, 105 roku planetarnego, podczas otwartego spotkania postanowiono ratyfikować drugi traktat, wyrażając zgodę na lądowanie dwóch kolejnych statków, zastrzegając jednocześnie, że żadna następna zgoda nie zostanie już udzielona. Zgromadzenie podjęło te decyzje głosami w stosunku 1200 do 600".

Głos umilkł. Zdawało się, że jeśli chodzi o problem uchodźców, to bank pamięci nie zawierał niczego więcej. Istniało jeszcze jedno miejsce, w którym mogłem dowiedzieć się czegoś więcej... Jeszcze raz wprowadziłem kod i czekałem.

Odpowiedz uzyskałem zakodowana, składająca się z długiego szeregu liczb i skrótów, zrozumiałych tylko dla kogoś, kto nimi operował. Wydobywały się z głośników bez końca i zastanawiałem się, czy nie przerwać tej niezrozumiałej dla mnie transmisji, gdy nagle:

"Sektor 4-5. Grupa uchodźców zjawiała się tutaj dziś rano. Żądali pomocy medycznej. Na sile zabrali doktora Rehmersa. Zostawili ludzi na straży. Zabili Lofyensa i Mattoxa. Ograbili laboratorium Rytox. Większość naszego personelu jest uwięziona. Uwaga: zabrali stare zapisy..."

W tym momencie znow transmisja została zakodowana, lecz po chwili znow uslyszelismy wyrazny glos:

- "Scisle tajne, scisle tajne".

Zrozumialem, ze jakimis dziwnym zrzadzeniem losu tajny material zostal zarejestrowany otwartym tekstem. I rzeczywiscie. Tajna transmisja rozpoczela sie od prezentacji jakichs niezrozumialych formul biologicznych i chemicznych, a potem:

- "Wysoce niestabilny, niebezpieczny we wszelkich pracach. Nie e rekomendowany do zadnych zastosowan. Rezultaty: niebezpieczenstwo epidemii - zabija w ciagu 48 godzin. Brak symptomow choroby, poza niewielkimi bolami glowy. Efekt dzialania: wylew krwi do mozgu. Aktywny, dopoki funkcjonuje zainfekowany obiekt. Przenoszenie: wylacznie pomiedzy zywyimi ludzmi. Niszczy wylacznie inteligentne zycie..." - Fragment transmisji znow byl zakodowany. Po chwili glos kontynuowal: - "Scisle tajne, piaty stopien, podwojny kod. Zniszczymy wszystko, z wyjatkiem podstawowej formuly, ktora zostanie zakodowana i zamknieta w pojemnikach wieczystych..."

Koniec. Przez kilka minut obaj z Thadem milczelismy, a ciszy nie przerwal juz zaden dzwiek z glosnika.

- Chyba dotarli do formuly. Ale dlaczego?...

- Lugard tego wlasnie sie bal - powiedzialem. Powtorzylem Thadowi slowa weterana, ktory obawial sie pirackich atakow z uzyciem broni biologicznej, zazwyczaj przechowywanej jedynie w laboratoriach. Sytuacja na Bekane wymknela sie zapewne napastnikom spod kontroli.

-Uzyli wirusa, a potem wszyscy po prostu poumierali. Nieslychane... - Odnioslem wrazenie, ze Thad, ktory widzial Juz przeciez i Kynvet i port, dopiero teraz uwierzył w koniec Beltane.

-Prawdopodobnie nigdy nie dowiemy sie, jak to sie naprawde stalo - zauwazylem. Znow wprowadzalem kod, chcac poznac jeszcze przynajmniej kilka ostatnich dziennych raportow. Dotarlem jeszcze do dwoch, jednego z Haychax i jednego z Kynvet; ten drugi urywal sie w pol slowa. Zaden nie wspominal ani slowem o mozliwym zagrozeniu.

-To chyba na razie wszystko - stwierdzilem. Uznalem, ze pewnie wrocimy tu jeszcze i bedziemy mogli poeksperymentowac nad kodami, albo szukac sposobu dotarcia do wszystkich sekretow banku pamieci. Teraz nie mielismy na to czasu. Powoli wstalem i rozejrzalem sie po wszystkich scianach. W pomieszczeniu, w ktorym sie znajdowalismy zawarte byly olbrzymie ilosci wiedzy, jednak w tej chwili byla ona dla nas malo przydatna. Bylo tu jednak cos - wiedzialem, bo kilkakrotnie zalatwialem tu rozne sprawy - co moglo byc uzyteczne i wiedzialem, gdzie tego szukac.

Podszedlem do sciany po mojej lewej stronie i na czytniku znajdujacych sie na niej, wystukalem szesciocyfrowy numer. Przez chwile slychac bylo szum przekaznikow i po chwili w korytku ponizej ukazaly sie dwie rolki tasmy Zexro. Zabralem je i juz mialem wyjsc, kiedy uslyszalem krotki trzask i slowa:

-"Prosze o podpis. Wyniesienie dokumentu wymaga potwierdzenia tego faktu wlasnorecznym podpisem".

Thad jakby zakaszlal lub rozesmial sie niewesolo, chrapliwie, co

najdobitniej dowodziło, w jakim stanie znajduje się jego umysł. Ja jednak posłusznie odwróciłem się i przyłożyłem kciuk do bloku podpisów, wypowiadając głośno swoje nazwisko i fakt, że pochodzę z Kynvet oraz że taśmę zabieram w celach służbowych. Tymczasem dziki śmiech Thada był coraz głośniejszy.

-Przeszan! - krzyknąłem, złapałem go za ramię i mocno nim potrząsnąłem.

-Podpis! - powtórzył. - Podpisz się, jakby na planecie nic się nie wydarzyło, jakbyś zbierał materiały do nikomu niepotrzebnych badań!

-Tak. I nie ma w tym nic dziwnego. Maszyny pracują tak, jak je zaprogramowaliśmy.

I rzeczywiście, dokładnie tak myślałem. Świat mógł być martwy lub umierający, jednak maszyna postępowała tak, jak ją zaprogramowaliśmy.

Szybkim krokiem wyszliśmy z tego ponurego pokoju nie do zakończonej, a może teraz już zakończonej, historii. Chcieliśmy jak najszybciej wyjść z tego budynku, znaleźć się na polu, na którym stały statki z dziobami utkwionymi w niebo, od którego raz na zawsze zostaliśmy odcięci. A jednak, kiedy znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni, ponure uczucie przygnębienia jakby od nas odpłynęło. Nagle, gdy ujrzelismy słońce nad głowami, gdy świeży wiatr owiał nasze twarze, z wielką mocą dotarło do nas to, że przecież wciąż żyjemy. Mimo że zasadniczy cel, dla którego znaleźliśmy się w porcie, został wypełniony i nie mieliśmy już nadziei, że ktoś jeszcze poza nami żyje na tej planecie, wiele

innych rzeczy w tym miejscu mogło mieć dla nas znaczenie. Postanowiliśmy przeprowadzić trochę poszukiwań; być może mieliśmy szansę znaleźć coś, co przydałoby się w Butte.

Gdybyśmy znaleźli sprawny oblatywacz, mielibyśmy wiele szczęścia. Łatwiej byłoby nam rozdzielić się i prowadzić poszukiwania w pojedynkę, wyznaczając miejsce spotkania, jednak żaden z nas tego nie chciał. Samotne wędrowki przez tereny, które w całości i bez reszty pokonała śmierć były czymś, co przekraczało granice naszych możliwości.

Zresztą, to czego potrzebowaliśmy mogło znajdować się jedynie w kilku miejscach: w parku, gdzie stacjonowały wszystkie pojazdy będące w użyciu, w hali, gdzie przygotowywano statki do wylotu w przestrzeń, w warsztacie, w którym dokonywano napraw oraz w magazynie części zamiennych. Gdy wymieniliśmy te miejsca, Thad zgodził się, że nigdzie indziej nie musimy prowadzić poszukiwań. Ponieważ powoli zbliżał się wieczór, a potrzebowaliśmy na nasze poszukiwania o wiele więcej czasu, niż pozostało do zmroku, postanowiliśmy przenocować w martwym porcie.

Poszukiwania rozpoczęliśmy z samego rana. Park maszyn rozczarował nas. Tak jak w Feehoime, większość oblatywaczy i helikopterów została porozbijana. Ocenilem, że najwyżej dwa z nich nadają się jeszcze do naprawy, chociaż wcale nie będzie to łatwa praca. Potrzeba było na to dużo czasu i taśm z instrukcjami.

Fatalnie wpływała na nas wszechogarniająca cisza. Wiał wiatr, słyszeliśmy nawoływania ptaków (nawet zbyt wielu jak na miejsce, w którym kiedyś był człowiek), a od czasu do czasu

gdzies niedaleko przebieglo nawet jakies wieksze zwierzec na czterech kopytach. A jednak przez caly czas rozgladalismy sie niepewnie na boki lub za siebie, jakby spodziewajac sie gwałtownego, zdradzieckiego ataku. Mielismy dziwaczne uczucie, ze pomieszczenia, ktore odwiedzamy zostaly opuszczone zaledwie kilka sekund przed naszym przybyciem. Napiecie narastalo w nas, az Thad powiedzial:

-Oni tu sa.

-Nie, nie ma tu nikogo. Przynajmniej nikogo nie widzielismy. - A jednak i ja przez caly czas odnosilem wrazenie, ze jestem obserwowany. Byc moze swiadomosc, ze nad planeta zapanowala smierc, wywolywala w nas wrazenie, iz przygladaja sie nam stwory, ktorych sami nie jestesmy w stanie zauwazyc.

Po parku maszyn przyszla kolej na dawna stacje przygotowujaca statki do wylotu w przestrzen. Jak przez mgle pamietalem, ze kiedy bylem maly, przyszedlem tu kiedys z ojcem. Bylo to wowczas bardzo zatloczone miejsce, na stanowiskach oczekiwaly trzy, albo cztery statki ladowane, badz rozladowywane, a wszedzie staly kartony i skrzynie z najrozniejszymi towarami i ladunkami.

Teraz ta wielka hala byla zupełnie pusta. Pod jedna ze scian skladowano wielkie bele i ruszyliśmy własnie w kierunku nich. Panowal tu polmrok i znow zrobilo sie nam troche nieswojo.

Kiedy znalezlismy sie przy ladunku, mogliśmy jedynie ciezko westchnac.

-Wszystko spladrowane - powiedzial Thad.

Miał racje. Resztki towarów, które przywieziono na Beltane z innych planet, zostały rozgrabione. Za belami wałaly się polamane skrzynie, popękane pojemniki i inne rzeczy, które grabieżcy uznali za nieprzydatne dla siebie. Gdybyśmy uważnie przeszukali to pobożowisko, pewnie znaleźlibyśmy coś wartościowego dla nas, ale ponieważ nie mieliśmy żadnego środka transportu poza własnymi nogami zrezygnowaliśmy z zabierania czegokolwiek. No, chyba że natrafilibyśmy na coś zupełnie wyjątkowego.

-Magazyn części zamiennych - wymieniłem następne miejsce poszukiwan, jakie mieliśmy na liście.

-Znow natrafimy na wraki - odparł Thad. - Darujmy już sobie te poszukiwania. Potrzebujemy raczej jedzenia...

Miał racje. Poza tym, byliśmy już przecież głodni; dawno nie pamiętaliśmy o śniadaniu zjedzonym z samego rana. Weszliśmy do biura, gdzie kiedyś załatwiano sprawy formalne związane z załadunkami i przeladunkami i zaczęliśmy rozglądać się. Pomieszczenie miało dwoje drzwi. Jedne prowadziły do wielkiej hali, z której właśnie wrociliśmy, a drugie na ulicę. Otworzyłem je i wyjrzałem; powitała mnie jedynie cisza. Zatrzasnąwszy je ponownie zabezpieczyłem je zasuwa, uniemożliwiająca otwarcie z zewnątrz. Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiłem; może chciałem jak najdokładniej odgrodzić się od ciszy panującej na zewnątrz, która zdawała się zagrożeniem.

W rogu biura znajdowała się mała kuchenka, na której zapewne przygotowywano jedynie kawę. Przeszukawszy kilka szuflad Thad znalazł pół słoika z czarnym proszkiem i kilka filiżanek. Zapewne przeznaczone były dla oficjalnych gości, ponieważ

kazda nosila symbol jakiegos osiedla z Beltane.

Zauwazylem, ze dobierajac dwie filizanki Thad odstawił na bok te z symbolami najlepiej znanych nam osiedli; wolal nie przywoływać do siebie wspomnien. Usiedlismy przy biurku czekajac az woda sie zagotuje. Bylismy w ponurym nastroju i raczej unikalismy wzajemnych spojrzeń.

-Co teraz robimy? - Thad pierwszy przerwal krepujaca cisze.

-Wracamy do Butte.

-Czy uwazasz, ze... ze naprawde jestesmy sami?

-Moze przezył ktos na polnocy, ale bardzo w to watpie. Kazdy, kto ocalal kierowalby sie przeciez do portu.

-A uchodzczy?

-Takze byliby tutaj przy statkach, gdyby zyli. - Tez tak sadze. - Popatrzył ponad moim ramieniem na drzwi do hali, ktore pozostawilismy lekko otwarte. - Nie mogle jednak pozbyc sie uczucia, ze ktos gdzies musi jeszcze, byc na Beltane. Ale - nagle uniosl troche glos - nie chce tego kogos spotkac, obojetnie kto to jest!

Wstal, nalal wode do filizanek, po czym postawil je na biurku. Odnosilem wrazenie, ze doskonale go rozumiem.

Poniewaz mielismy tu spedzic kolejna noc, biuro uznalismy za miejsce rownie dobre jak kazde inne. Rozlozylismy koce na podlodze i uformowalismy sobie twarde loza, jednak nie zamierzalismy juz isc do portu w poszukiwaniu czegos lepszego.

Mimo że dotąd nie zauwazyliśmy niczego, co spowodowałoby konieczność wystawiania wart, zgodziliśmy się, że każdy z nas będzie tym razem czuwał po poł nocy. Thad objął posterunek jako pierwszy. Myślałem, że na twardej podłodze nie zasnę, a jednak usnałem i to dość szybko. Spałem spokojnie, bez żadnych koszmarów i zbudził mnie dopiero dotyk Thada. Jedną ręką potrząsał moim ramieniem, a drugą zakrył mi usta, zmuszając do milczenia.

Kiedy tylko otrząsnąłem się ze snu i moje zmysły zaczęły funkcjonować normalnie, usłyszałem. Po hali ktoś chodził. Wyrazny, charakterystyczny stukot obuwia na posadzce nie pozostawiał wątpliwości, że są to buty używane do lotów w przestrzeni. Po chwili uważnego nasłuchiwania doszedłem do wniosku, że słyszę kroki przynajmniej dwóch osób.

Thad zbliżył usta do mojego ucha. Poczulem jego oddech na policzku, kiedy szeptał mi:

-Przyszli prosto z pola. Usłyszałem ładujący oblatywacz.

Razem podpełzaliśmy do drzwi i ostrożnie zajrzeliśmy do hali. Tam, gdzie znajdowały się splądrowane ładunki, ktoś stał pod ścianą i omiatał je promieniami mocnej lampy. Ujrzałem dwie sylwetki. A więc jednak nie byliśmy sami... Thad znow zaczął szeptać:

-Czy sądzisz, że nas obserwowali? Że wiedza o naszej obecności?

-Nie. W przeciwnym wypadku by już nas dawno zaatakowali.

Z tego, co widzieliśmy plądrowali już przejrzone i zdziesiątkowane artykuły. Nerwowość ich ruchów sugerowała, że bardzo im się spieszy, albo że są bardzo przestraszeni.

Jeżeli wirus już ich zaatakował byli chodzącymi trupami i musieli o tym wiedzieć, jeśli znali los pozostałych ludzi. Jako tacy stanowili dla nas o wiele większe zagrożenie, niż ich miotacze laserowe.

-Pakujemy się i sypujemy stąd - powiedziałem do Thada. - Nie pozostaw niczego, co mogłoby im podpowiedzieć, że tutaj byliśmy.

Poruszaliśmy się bardzo ostrożnie zbierając nasze rzeczy. Thad zebrał filizanki i ustawił je z powrotem w szufladzie, gdy tymczasem ja zamknąłem drzwiczki do szafy, w której znajdowała się kuchenka. Nie osmieliliśmy się zapalić światła; pozostawała nam tylko nadzieja, że wszystko pozostawiliśmy w porządku i ktokolwiek znajdzie się w tym biurze, nie dostrzeże śladów naszej obecności. Z tą myślą otworzyłem drzwi na ulicę i szybko wymknęliśmy się na zewnątrz.

Gdy już miałem nadzieję, że bezpiecznie wyszliśmy z opresji usłyszeliśmy za sobą krzyki. Znajdowaliśmy się wtedy już dobrych kilkadziesiąt kroków od hali i musieliśmy jedynie przebiec ładowisko, by znaleźć się poza terenem portu,

-Lasery! - ostrzegłem Thada i skoczyliśmy, by ukryć się za załomem muru. Niespodziewanie natrafiliśmy na jakieś otwarte drzwi i wpadliśmy do budynku. Drzwi zatrzasnęły się za nami z wielkim hałasem. Oczywiście łatwo było je stopić promieniami laserowymi, jednak nawet krótki moment na to potrzebny, dawał

nam mozliwosc skuteczniejszej ucieczki.

Thad potknal sie o cos w ciemnosci i niemal sie przewrocil. Wydal dziki okrzyk przerazenia i szybko wyrwal sie z okowow tego, co go osaczylo. Nie ogladajac sie na mnie pognal przed siebie. Osmielilem sie na krotki moment zapalic latarke i natychmiast pobieglem za nim.

Budynek konczyl sie plaska sciana, jednak w bocznych scianach znajdowaly sie dwa szeregi drzwi. Wybralem pierwsze po lewej stronie otworzylem je i pociagnalem Thada za soba. Ku swej wielkiej radosci ujrzałem wielkie, otwarte okno. Wystarczyła sekunda, zebysmy przez nie wyskoczyli i znalezi sie w ogrodzie. Gdyby nasz skok byl dluzszy, wpadlibysmy do ogrodowego stawu.

Ogrod okolony byl grubym murem porosnietym przez gesty bluszcz. Ucieszyl mnie ten widok, poniewaz wiedzialem, ze reczny miotacz promieni laserowych nie ma szansy na uszkodzenie tego muru. Sila naszego strachu byla tak wielka, ze kazdemu z nas jeden dlugi skok wystarczył, by wspiac sie na mur siegajacy wysokoscia wzrostu czlowieka. Przeskoczyliśmy go i znow znalezlismy sie na ulicy.

Wciaz slyszelismy odlegle nawolywania brzmiace tak, jak gdyby ci, ktorzy krzyczeli, nie zamierzali wszczynac alarmu, lecz z nami porozmawiac. Czy scigajacy nas sadzili, ze jestesmy czlonkami ich bandy? Ale, skoro tak, po co mielibysmy uciekac; nie, takie myslenie mi nie odpowiadalo. Chyba ze od chwili wybuchu epidemii wszyscy uchodzcy stali sie dla siebie nawzajem wrogami.

Przez kilka chwil nie bardzo wiedziałem, w którym kierunku powinniśmy uciekać. Oddalenie się od portu na otwartą przestrzeń daloby nam chyba największą przewagę. Powiedziałem to do Thada.

-A potem dokąd? - zapytał. - Do Butte?

-Nie. Boję się, że mogliby nas wysledzić.

Mimo że umocnilismy Butte jak tylko się dalo, zbyt wiele widziałem w porcie, żeby sadzić, iż przeciwstawimy się atakowi, jeżeli najezdźcy użyją przeciwko nam swych najpotężniejszych broni.

Biegliśmy ulicą, starając się kryć pod murami budynków. Nagle na Thada padły promienie światła. Natychmiast rzucił się na ziemię i zniknął w cieniu.

-Halooooo...

Nie dopadły nas promienie laserowe, których w tej chwili spodziewaliśmy się. Po prostu ktoś nas wolał! Czy mimo wszystko ci ludzie nie byli wrogami, lecz przyjaciółmi? Może to ocalili mieszkańcy Beltane?

-Poczekajcie! - Znow zawołanie, zamiast strzałów. My jednak nie czekaliśmy. Skreśliśmy pomiędzy dwa budynki, mając nadzieję, że po raz kolejny zmylimy pogon.

-Oblatywacz... - wystękał Thad.

Nie było wątpliwości, głuchy odgłos silników oblatywacza był coraz bliższy. Instynktownie przykucnelismy pod murem mając

nadzieje, że jego cień wystarczy, by pilot nas nie zobaczył. Maszyna przeleciała ponad dachem i po chwili wylądowała na ulicy, z której właśnie uciekliśmy. Pilot zapewne zamierzał dołączyć do tych, którzy nas poszukiwali, albo po prostu zabrać ich stamtąd.

-Uciekajmy!

Pozostało w nas jeszcze tyle sprytu i siły, by w końcu umknąć pogoni. Nie dostrzeżeni pozostawiliśmy zabudowania portu daleko za naszymi plecami. Spojrzenie wstecz nie było przyjemne. W porcie wciąż nas szukano, wokół zabudowań co chwile błyskały potężne światła. Nasi przesładowcy zapewne byli przekonani, że ukryliśmy się tam w jakimś ciemnym i trudno dostępnym miejscu.

-Nie strzelali do nas - zauważył Thad. - Dlaczego?

-Może mają już dość zabijania? - powiedziałem ponuro. A może, gdy odkryli, że nie jesteśmy ich pobratymcami, nie znajdowali się już na linii strzału?

-A czy to mogli być nasi?

-W butach do lotów w przestrzeni? Nie sądzę.

-Co teraz robimy?

-Musimy zatoczyć szeroki łuk i ruszyć na północ. Jeżeli będa nas śledzić...

-Niby jak? Jeżeli nie pochodzą z Bekane, to nie mają żadnej szansy. Nie damy się im.

-To my nie będziemy mieli szansy, jeżeli zastosują promienie podczerwone. Dlatego musimy jak najdłużej trzymać się z dala od Butte. Będziemy mogli tam wrócić dopiero wtedy, gdy zrezygnują z poszukiwań, albo będziemy pewni, że prowadzi ją w złym kierunku.

Promieniowanie podczerwone... Kolejny wspaniały wynalazek przeznaczony do jak najbardziej pokojowego zastosowania, który mógł okazać się dla nas zgubnym. Strażnicy używali go bardzo często do poszukiwania zwierząt. Z równym powodzeniem można było dzięki niemu szukać ludzi; czasami właśnie dzięki promieniowaniu podczerwonemu lokalizowano ich, przebywających akurat w Rezerwach.

Ruszyliśmy więc na północ, dokładnie w przeciwną stronę wobec tej, z której przyszliśmy do portu. Próbowałem zastanawiać się, czy jesteśmy w stanie oszukać promienie podczerwone. Pod ziemią, owszem. Jednak nie mogliśmy teraz zbliżyć się do krainy lawy, gdyż to mogłoby naszych przesładowców naprowadzić na Butte. Nasza jedyna szansa były grotty w krainie wzgórz i musieliśmy tam właśnie się skryć, mimo iż nasze zapasy były na wyczerpaniu i nie mieliśmy żadnych widoków na ich uzupełnienie.

Na godzinę przed świtem byliśmy już daleko od portu, ale przecież oblatywacz mógł nas dogonić z łatwością. Potrzebowaliśmy odpoczynku, wybraliśmy więc gęsty zagajnik i tam się rozłożyliśmy. Tym razem Thad zasnął pierwszy, a ja trzymałem warty.

Pod niskimi i gęstymi galeziami młodych drzew było chłodno, miałem jednak pewność, że nikt nie jest w stanie zobaczyć nas z

oblatywacza. Chociaz..., Tak naprawde, to nie trzeba by nas widziec, jezeli w poszukiwaniach zastosowane zostalyby promienie podczerwone. Wtedy wystarczylyby jedna wiazka promieni laserowych w naszym kierunku i to wszystko. Zginelibysmy nawet nie wiedzac, kiedy.

Uslyszalem oblatywacz, zblizajacy sie od poludnia. Pomyslalem, ze jesli rozdzielimy sie z Thadem, naszym przesladowcom trudniej bedzie nas namierzyc. Obudzilem go.

-Co?...

-Rusz sie! - zawolalem. - Uciekamy na polnoc. Jednak nie calkowicie razem.

-Jasne.

Thad zalozyl na ramie swoja torbe i zaczal biec. Ja ruszyłem zaraz za nim, jednak w pewnej odleglosci. Oblatywacz zdawal sie krazyc dokladnie nad nami. W napieciu oczekiwalem na smiercionosna dawke promieni, ktore spopiela moje ciało. Zamiast tego uslyszalem jednak glos dobiegajacy z gigantofonu umieszczonego na maszynie. W mroku brzmial glucho i zlowieszczo.

-Wiemy, kim jestescie. Wyjdziecie z ukrycia. Nie macie czego sie obawiac... - Słowa wypowiedane byly z akcentem, jaki charakteryzowal handlarzy, ktorzy kiedys przybywali na Beltane.

-Wyjdziecie z ukrycia! Nie zamierzamy was skrzywdzic! Czy uwazali nas za glupcow? Kto by uwierzył bandytom, ktorzy zniszczyli wszystkie osiedla na planecie?

A jednak nie strzelali do nas, mimo że oblatywacz krążył bardzo blisko. Słyszałem kroki Thada, w pewnej odległości ode mnie. Czy to, że się rozdzieliliśmy, co było ostatecznym, desperackim krokiem mającym uniemożliwić pojmanie nas lub zabicie, naprawdę zbilo z tropu naszych przesładowców? Czy może istniał jakiś inny powód, dla którego nie chcieli nas usmiercić?

Widzieliśmy ich trupy tak samo, jak trupy ludzi z Beltane. Czy może zostało ich równie mało jak nas i teraz szukali ocalałych mieszkańców planety, by podali im antidotum przeciwko śmiertelnemu wirusowi, antidotum, które przecież także wynaleziono w naszych laboratoriach? Moja wyobraźnia podsuwała mi taką właśnie odpowiedź. Jednak, coż, prawdopodobnie nigdy nie dowiem się, co było prawdą.

-Moglibyśmy was ugotować naszymi laserami - kontynuował głos z gigantofonu. - Wiecie o tym dobrze. Jednak tego nie zrobimy. Wyjdźcie spośród tych drzew, ukazcie się nam. Wszyscy jesteśmy teraz w takiej samej sytuacji - my umieramy i wy umieracie. Tyle tylko, że wy umrzecie szybciej, jeżeli nie przestaniecie uciekać!

Najpierw prośby, potem groźby, a jednak pobrzmiwała w nich desperacja. Potrzebowali nas i to żywych. Mame jednak było to pocieszenie.

Po chwili ziemia ocaliła nas i to właściwie w cudowny sposób. W gęstym zagajniku wybudowane było stanowisko obserwacyjne, służące badaniom zwyczajów dzikich zwierząt. Jak każde stanowisko tego typu, było ono wybetonowane i miało starannie zamaskowany wjazd, z betonową pokrywą. Szczęśliwy przypadek, że przykrywa była odsunięta, a ja wpadłem do wjazdu.

Nic mi się nie stało i od razu wysunąłem głowę, by przywołać Thada. Natychmiast do mnie przybiegł, wskoczył do środka, a ja zasunąłem pokrywę. Teraz mogliśmy sobie drwić z oblatywacza, promieni podczerwonych i miotaczy laserowych.

A jednak nadal baliliśmy się. Siedzieliśmy w ciemności, opierając się jeden o drugiego, obawiając się zapalić latarkę. Wiele godzin minęło, gdy wreszcie, ku swej wielkiej uldze usłyszałem, że maszyna oddala się. Jeszcze nie mogłem uwierzyć, że jego załoga zrezygnowała z poscigu, zreszta raczej nie była to prawda. Jeżeli nie chcieli dostać nas martwych, lecz żywych, powinni teraz znaleźć miejsce do ładowania i rozpocząć pieszy poscig. Lecz jeśli tak było, przewaga była teraz zdecydowanie po naszej stronie.

-Myśle, że wylądują - powiedział Thad.

Jeżeli naprawdę to rozważali, to ich niewielkie szanse pałały jeszcze w miarę, jak oblatywacz oddalał się. Ruszyliby z Thadem przed siebie, wykorzystując wąski korytarz stanowiska obserwacyjnego, które przecież gdzieś musiało mieć swój koniec.

Rozdział szesnasty

Korytarz był wąski i z każdą chwilą bardziej płytki. Betonowa posadzka pokrywała grubą warstwę piachu, co świadczyło, że od dawna nikt tutaj nie prowadził żadnych badań. Dwukrotnie jeszcze natrafialiśmy na zrujnowane stanowiska obserwacyjne, zanim dotarliśmy do wąskiego wjazdu. Tam boleśnie uderzyłem golenia o jakiś kamień. Wyszliśmy na powierzchnię i zaczęliśmy nasłuchiwać. Już od dłuższego czasu nie słyszeliśmy odgłosu

oblatywacza. Jeżeli wyladowal, mielismy przewage i dystansu i doswiadczenia nad tymi ktorzy nas scigali. My pewniej czulismy sie na ziemi, a oni w powietrzu. Musielismy jednak jak najszybciej ruszyc i pokonac mozliwie dlugi dystans bez najmniejszego odpoczynku. Powiedzialem to Thadowi.

-Czy, jesli przez caly czas bedziemy szli na pomoc, dostaniemy sie do Butte? - zapytal.

-Nie tak predko. Na razie musimy zrobic dosc szerokie kolo.

-Przeciez zabladzimy...

-Nie. Wkrotce powinniśmy natrafic na dawne posterunki Bezpieczenstwa. One beda dalej naszymi drogowskazami.

Posterunki te byly teraz zapewne jedynie ruinami.

Przypomnialem sobie ten, ktory przez przypadek wywolalismy z pokoju lacznosci w Butte. Pryszczorog, ktory w nim zasiadal sprawial wrazenie zadomowionego na swoim miejscu.

Wspomnienie to sprawilo, ze po plecach przebiegl mi lekki dreszcz. Wkrotce wydostalismy sie na szlak, ktory kiedyś byl calkiem szeroka i rowna droga.

-Gdzie jestesmy? - zapytal Thad. - Ciagle jestesmy w lesie, prawda?

Jego niepewnosc miala uzasadnione podstawy. Widoczność byla bliska zero. Szeroka droga juz po chwili okazala sie jedynie krotkim wybiegiem dla badaczy zycia mutantow. Natrafilismy na sciane drzew niemal nie do przebycia.

Jednak mutanty tutaj, na polnocy? Przecież Rezerwaty dla mutantow znajdowaly sie jedynie po drugiej stronie gor! Chociaz dostep do calosci prac badawczych byl na Beltane bardzo ograniczony. W poczatkowych latach Sluzby zainicjowaly tak wiele projektow - z wielu pozniej zrezygnowano - ze setki sposrod nich mogly pozostawac nieznanne dla ludzi, ktorzy nie byli nimi bezposrednio zainteresowani.

Osmielilem sie wlaczyc latarke. Juz po chwili pochwalilem sie za ten pomysl, bo wsrod gestych drzew ujrzałem wejście do tunelu, ledwie widoczne w gestwinie. Zasloniete bylo siatka maskujaca z drutu, ktora przez cale lata nie dopuszczala do srodka zwierzat; dla nas odgarniecie jej, by wejsc do srodka nie stanowilo problemu. Tego typu zabezpieczenia mogly trwac przez lata, nie zniszczone, wiedzialem wiec, ze znow mamy szczescie. Oby towarzyszylo nam ono jak najdluzej. Znalazlszy sie u wylotu tunelu stwierdzilismy, ze rozdziela sie w dwoch kierunkach. Popatrzyłem na kompas, ktory wskazal, ze powinnismy isc w lewo. Znow zaden oblatywacz nie mogl namierzyc nas z gory.

Dziwilo mnie, ze tak wyszukane instalacje obserwacyjne znajdowaly sie tak blisko portu i malo kto, albo nikt o nich nie wiedzial. W koncu, nawet Gytha nie dotarla do informacji o nich podczas przegladania starych tasm.

-Co to jest? I gdzie sie znajdujemy? - zapytal mnie Thad szeptem. Przejscie, z ktorego korzystalismy bylo tak waskie, ze musielismy isc jeden za drugim. Thad niemal deptal mi po pietach.

-Jesli potrafie rozpoznać przeznaczenie tego tunelu, sluzycy on do obserwacji mutantow. A gdzie jestesmy? Nie wiem, to miejsce

nie jest zaznaczone na żadnym planie Rezerwatów.

Doszlismy do konca tunelu, jednak wiedzialem, jak go otworzyc. Kazalem Thadowi trzymac latarke, a sam pochyliłem sie, by znalezc zaczep podtrzymujacy siatke. Kiedy znalazlem go i otworzyłem tunel przekonalem sie natychmiast, ze przejście to nie bylo uzywane od bardzo wielu lat. Wejscie do niego tak mocno zaroslo wszelka roslinnoscia, ze musieliśmy z Thadem sporo sie nameczyc, by wreszcie znalezc sie na zewnatrz.

Naszym oczom ukazalo sie cos, co najmniej chcialem zobaczyc: otwarty teren i na dodatek bagnisty. Porosniety byl trzcunami; niektore z nich byly rownie wysokie jak drzewa, spomiedzy ktorych wyszlismy. Wciaz mialy swoje szerokie, letnie korony, niczym wachlarze potrzebne do tego, by lapac kazdy podmuch wiatru; zawsze byly wiec w ruchu, cicho szumiac i przy kazdym gwałtowniejszym podmuchu wiatru opuszczajac na ziemie owoce rozwinięte wsrod koron.

Poza trzcunami, z bagien wyrastaly tez groteskowe kwiaty, nieznane w innych czesciach Beltane, rozrywane niemal na strzepy, gdyz ptaki i owady skladaly z ich fragmentow swoje gniazda. Dotykane ich bylo wielkim ryzykiem, gdyz niemal w kazdym kryl sie jakis owad lub insekt, ktory mogl poczestowac smialka zadlem, nierzadko smiertelny.

Przez bagna biegla jednak kamienna sciezka porosnieta kolorowymi algami i mchem. Po jej bokach na nierozwaznych smialkow oczekiwalo bloto otoczone szlamem stawu i wszelkie inne pulapki, jakie tylko mozna sobie w takim miejscu wyobrazic. Miejsce to tak malo przypominalo Beltane, ze az odnosilo sie wrazenie, iz przekroczywszy tunel, nagle wchodzilo sie do

zupełnie innego świata.

-Czy będziemy musieli przez to przejść? - zapytał Thad.

Ktos kiedyś chodził tą drogą, nie bardzo jednak miałem ochotę próbować przejścia nią za przykładem tego kogoś.

Mogliśmy wycofać się i przekonać, dokąd prowadzi drugi tunel, mimo że biegł w zupełnie innym kierunku, niż chcieliśmy iść my.

W chwili, gdy wiatr zadał trochę mocniej do naszych nosów dotarły wstretne zapachy unoszące się nad bagnami. To ten odor sprawił, że podjąłem decyzję: nie będziemy tedy się przeprawiać. Odwróciłem się, chcąc się wycofać z powrotem do tunelu, kiedy usłyszałem głosy ścigających nas bandytów. A więc nasi przesładowcy odkryli wejście do tunelu i byli już na naszym tropie. Jeżeli teraz cofniemy się, staniemy z nimi twarzą w twarz.

Popatrzyłem teraz na kamienną drogę uważniej niż do tej pory. Uznałem, że w jakimś momencie musi ona dotrzeć do suchego ładu. Nic nie wskazywało na to, że w pewnej chwili skończy się w bagnie, albo wśród trzcin. Poza tym, dopiero teraz dotarło do mnie, że mimo półmroku wyraźnie widzę kamienie, na których powinniśmy stawiać stopy: pokryte były jakimś fosforyzującym materiałem pozwalającym dostrzegać je nawet podczas najciemniejszej nocy.

-Musimy tedy przejść - postanowiłem. I postawiłem pierwszy krok na kamiennej ścieżce.

Wkrótce doszedłem do przekonania, że ci, którzy pójdą za nami będą mieli na tej drodze, w ciężkich, metalowych butach, nie

lada kłopoty z utrzymaniem się na wytyczonej drodze. Nasze miękkie obuwie doskonale było przystosowane do tej trasy. Wkrótce okazało się, że naszym najtrudniejszym wrogiem jest smród, nie pozwalający normalnie oddychać. Niedługo droga zakreśliła w lewo, a trzciny zasłoniły nam widok na wyjście z tunelu.

Ponieważ nasze oczy były dostosowane do patrzenia w półmroku, świecące kamienie były aż nadto dobrymi drogowskazami. Nie włączałem latarki, była mi zresztą niepotrzebna. Przeszliśmy już spory kawał drogi, gdy niespodziewanie znaleźliśmy się na wyspie położonej wśród bagien. Jej powierzchnia górowała nad nimi tak znacznie, że na zboczu ułożono pięć wielkich kamieni, by ułatwić wspinanie się na nią.

Wysoka wyspa była niemal płaska. Rozrosnięte krzaki i wysoka trawa wskazywały, że wyspy nikt nie odwiedzał przez wiele lat. Na jej środku ustawionych było kilka zmurszałych klatek, takich, jakie widzieliśmy w stacji mutantów; czy oznaczało to, że i tutaj trzymano mutanty przed wypuszczeniem na wolność? Ponieważ wypuszczano je zawsze do środowiska, które miało odpowiadać ich charakterom i zwyczajom, ciarki przebiegły mi po plecach na myśl, jakie musiały to być zwierzęta.

Wyspa ta mogła zarazem być ostatnim punktem skalistej drogi i gdy o tym pomyślałem, zacząłem przeklinać się za głupi wybór. Nie traciłem jednak czasu i czym prędzej rozpocząłem poszukiwania dalszej drogi; w końcu było to ostatnia szansa i dla mnie i dla Thada. Znowu znalazłem kamienne schody, jednak kończyły się one w miejscu, które było co najwyżej prowizorycznym lądowiskiem dla oblatywacza lub helikoptera.

Również ładowisko oznaczone było fosforyzującymi kamieniami widocznymi zapewne w ciemności także z powietrza. Nie bardzo potrafiłem sobie wyjaśnić: po co ktokolwiek miałby ładować tutaj w nocy?

Obaj z Thadem przez chwilę nerwowo chodziliśmy po ładowisku. Nie znaleźliśmy drogi, która zaczynałaby się przy którymkolwiek z jego boków. Zdesperowany, w pewnym momencie włączyłem latarkę. Miałem nadzieję, że wyglądając na bagna zobacze jakąś ciagnacę się przez nie przeprawę.

Po krótkiej obserwacji ujrzałem nitkę suchego gruntu, wznoszącego się ponad błotem, właściwie równie szerokiego jak ten, który był podkładem dla naszej ścieżki. Tutaj nie było jednak kamieni, które ułatwiałyby marsz. Pomyślałem, że skorzystanie z tej drogi ucieczki przed przesładowcami byłoby naprawdę wielkim ryzykiem. Być może zbyt wielkim, nie rokującym szans powodzenia.

Wspieliśmy się z powrotem na wyspę i stanęliśmy obok klatek. Wtedy po raz pierwszy odkąd się tutaj znaleźliśmy ujrzałem małą budowlę, niewiele większą od klatek. Jej ściany pokryte były mchem doskonale ją maskującym.

Drzwi do tego niewielkiego pomieszczenia stały otworem, jednak, zanim przekroczyliśmy próg, musieliśmy przeciąć mnóstwo winorośli zagrządzających nam drogę. Znalazłszy się we wnętrzu uważnie je obejrzałem. Doszedłem do wniosku, że miejsce to pełniło kiedyś podobne funkcje, jak stacje w Rezerwatach, jednak zaprojektowano je tylko jako tymczasowe schronienie. Zapewne też nigdy nie miało stałej załogi. Tak jak w gorskim schronisku, brakowało tu jakichkolwiek mebli, z wyjątkiem dwóch

prowizorycznych prycz, nakrytych jakimis brudnymi narzutami. Nie musze dodawac, ze wszystko smierdzialo tu odorem dolatujacym znad bagien.

Thad krzyknal ostrzegawczo i natychmiast ujrzałem, jak strzela z oszalamiacza, tuz ponad moim prawym ramieniem. Po chwili jego latarka wylowila z ciemnosci stworzenie lezace lapami do gory i wymachujace nimi gwałtownie. Trwalo to jeszcze kilka sekund i wreszcie, gdy trucizna z oszalamiacza w pelni podzialala, stworzenie zastyglo w bezruchu.

Blotny krab! Bardzo nieprzyjemna kreatura. Kazdy na Beltane wiedzial, ze gdy przy ssie sie do czlowieka trzeba duzej sily by go odczepic, a po przyssawkach i pazurach pozostaja glebokie i trudno gojace sie rany. Latarka Thada wydobyła z mroku cale gniazdo tych stworzen. Oswietlone, zaczely wydawac dzikie piski.

-Precz stad! - krzyknalem do Thada.

Jacy jeszcze nieprzyjemni mieszkancy gniezdza sie na tej wyspie tego oczywiscie nie wiedzialem, nie mialem natomiast zamiaru przekonywac sie. Nie mielismy wyjścia: musieliśmy wycofac sie tam, skad przybylismy. A jednak, kiedy dotarlismy do zejścia na kamienna sciezke, uslyszelismy oblatywacz. Ktos uzywal z jego pokladu poteznego reflektora, chcac wytropic nas na trzesawiskach.

Zawrocilem na wyspe, zlapalem latarke i rzucilem ja do chaty chcac, by ci w oblatywaczu odniesli wrazenie, ze ktos jest w srodku.

-Chodz, Thad!

Teraz pobieglismy w kierunku ladowiska i wyskoczyliśmy na ledwie widoczna sciezke prowadzaca w przeciwnym kierunku niz ten, z ktorego tu przyszliśmy. Mielismy szanse, jesli nasi przesladowcy prowadzili teraz jedynie obserwacje wzrokowa. Nie bardzo jednak wierzyłem, ze fortuna nadal bedzie nam sprzyjac. A jednak, widzac swiatlo na wyspie, byc moze wyladuja i zatrzymaja sie na niej chociaz na chwile.

Teraz musielismy poruszac sie bardzo powoli, a jedynym zmyslem, ktory byl pomocny w wedrowce, byl zmysl dotyku. Suchego gruntu pod nogami prawie nie widzielismy. W kazdej chwili ktorys z nas mogl wpasc do trzesawiska i juz nigdy z niego nie wyjsc. A jednak pokonalismy zaledwie kilkanascie krokow, gdy moje stopy zaczely pewnie stapac po twardym i szerokim gruncie. Ucialem dluga trzcine i zaczalem posluziwac sie nia jako czujka. Okazalo sie to dobra metoda i znacznie przyspieszylo marsz. Thad bez slowa szedl za mna.

Uslyszelismy za plecami odglos ladujacego oblatywacza, co sprawilo, ze obaj odetchnelismy z ulga. Skuszeni swiatlem latarki, nasi przesladowcy postanowili pewnie przeczesac wyspe, co dawalo nam znaczna przewage. Zanim skoncza, bedziemy daleko stad.

W pewnej chwili, wysunawszy trzcine, jak to czynilem co kilka krokow, nie poczulem pod jej czubkiem zadnego oporu. Przerazony, zatrzymalem sie i zaczalem machac nia w lewo i w prawo, majac nadzieje, ze ta nagla niespodzianka oznacza jedynie zmiane kierunku naszej drogi, a nie pogorszenie sie warunkow marszu. Tak bylo rzeczywiscie, poniewaz po chwili, po

lewej stronie, nieco na ukos, poczułem twardey grunt.

Od tego momentu zawsze działo się tak samo, kiedy droga zmieniała kierunek. Szedłem przed siebie spięty, zdenerwowany, gdyż droga jakby na złość nam prowadziła częstymi i ostrymi zygzakami. Każda zmiana sprawiała, że serce podchodziło mi niemal do gardła; bałem się, że w końcu popełnię jakąś nieodwracalną dla siebie pomyłkę.

Zacząłem dochodzić do wniosku, że droga, którą idziemy, nie jest naturalnym wzniesieniem terenu, lecz swego rodzaju walem, usypanym ponad bagnami w jakimś ściśle określonym celu. Jej liczne i ostre zakrety sprawiały nieodparte wrażenie, że ich autorka nie jest natura, lecz człowiek. Nadal otaczał nas niemilosierny smród. Poza tym bagna nie milczały, lecz tętniły życiem tysięcy istot, niekoniecznie nam przyjaznych. Obawiałem się, że w którymś momencie jakies potężniejsze spośród nich stanie na naszej drodze i będziemy musieli używać siły fizycznej - lub oszłamiaczy - by iść dalej.

W końcu nasza ścieżka zakończyła się nad brzegiem małego jeziora. Usłyszałem głosne westchnienie Thada i po chwili, podobnie jak on, westchnieniem wyraziłem swoje zdumienie.

Ujrzelismy przed sobą światła, jednak nie płomienie, albo światła reflektorów, używanych przez oblatywacze. Były to blade pale żywego, a zarazem chłodnego blasku, podobnego w swej barwie do koloru, jaki miały kamienie, wskazujące nam drogę.

Kamienie! Teraz dopiero zauważyłem. Źródłem światła były kamienne filary, nie ustawione w żadnym porządku, ale po prostu, tu i owdzie, bez żadnej koncepcji. Pomiedzy tymi filarami,

wyrastającymi z ciemnej powierzchni wody, ujrzelismy pagorki, oblepione błotem i zielskiem.

-Pryszczorogi! - wyszeptal Thad z niedowierzaniem.

Tak, to były pryszczorogi. Jeszcze nigdy nie widziałem tak potężnego ich zgromadzenia w jednym miejscu. Pryszczorogi były stworzeniami lubującymi się raczej w samotności, a najczęściej jedna niewielka rodzina okupowała jeden staw, czy sadzawkę. Tymczasem tutaj naliczyłem ich około dwudziestu.

Nic nie burzyło powierzchni wody. Przyjrzałem się jednemu z pagorków - miał szeroki otwór nieco powyżej poziomu wody - i doszedłem do wniosku, że może być opuszczony. A jednak, tak wiele nor pryszczorogów zgromadzonych w jednym miejscu, pustych, czy też nie, było zjawiskiem zbyt odbiegającym od mojej wiedzy o Beltane i jej mieszkancach, więc bardzo się zaniepokoiłem. Od najmłodszych lat wpajano mi do głowy, bym nigdy nie przechodził do porządku dziennego nad czymś, co wydaje mi się nienormalne.

Przystanęliśmy nad samym brzegiem, by dokładniej obejrzieć jeden z filarów. Ujrzałem, że rzeczywiście jest to budowla sztuczna, a kamień oblepiony jest tą samą mieszaniną błota i zielska, która tworzyła nory pryszczorogów. A więc to ich robota? Ale po co? Pryszczorogi nie były na tyle inteligentne, by samodzielnie wzniesć taki system oświetlenia.

Kamienie były identyczne z tymi, które składały się na drogę, biegnącą na wyspę, o czym przekonałem się wkrótce, gdy udało mi się dotknąć jednego z filarów.

Uważnie obserwując filary, ruszyliśmy w dalszą drogę. Światło dodawało nam otuchy. Choć przyszczorogi uwielbiały wodne życie, często opuszczały swoje domostwa, gdyż żywność zdobywały także na terenach położonych wyżej. Zatem musieliśmy spodziewać się, że natkniemy się na któregoś z nich na brzegu jeziora.

Wraz z nastaniem świtu znów znajdowaliśmy się na pewnym, twardym gruncie, pozostawiając bagna za plecami. Nie słyszeliśmy już więcej oblatywacza. Droga, która prowadziła nas dotąd, zakończyła się kolejnym łądowiskiem. Zaczęłam wypatrywać jakiejś groty, czy innego schroniska. Obaj z Thadem byliśmy śmiertelnie zmęczeni i raczej nie mogliśmy kontynuować naszej wędrowki bez odpoczynku.

-Vere! - zawołał Thad.

Odwrociłem głowę. Thad wskazywał na skalną ścianę, położoną na wprost nas.

-Eeopoes, Vere!

Zobaczyłem go także z dziobem o szerokiej brodzie i z pomarańczowymi, białymi, jaskrawymi piórami. Latał bardzo wysoko i nagle zaczął obniżać swój lot, zmierzając do ściany skalnej. My także ruszyliśmy w tym kierunku. Eeopoes zamieszkuje groty i jaskinie, w nich też zakładając gniazda. Większość życia spędza w ciemności, jednak czasami ukazuje się w świetle dnia, polując na owady. Mielismy duże szczęście, że udało się nam go zobaczyć.

Gdyby nie ptak, nigdy nie znaleźlibyśmy groty, ponieważ wejście

do niej maskowała wysoka skala. Szczelina, prowadząca do wewnątrz, była tak niewielka, że zdrowo musieliśmy natrudzić się, by mimo wszystko znaleźć się we wnętrzu. Znaleźliśmy dla siebie miejsce, na skale, na której rosły niewiarygodne kwiaty. Wkrótce mieliśmy je ujrzec...

Grota nie była efektem działania lawy i nie miałem najmniejszego zamiaru wchodzić zbyt głęboko do środka; chciałem schronić się tylko na tyle, by nie dopadła nas pogon. Ponieważ w środku panował znowu półmrok, postanowiliśmy włączyć latarkę.

Grota okazała się schronieniem o kształcie butelki, a wejście do niej było jakby jej szyjka. Okazało się, że znowu znaleźliśmy się w przedziwnym miejscu. Mimo że nasza wędrowka przez podziemia krainy lawy powinna była przyzwycząć nas do najrozniejszych podziemnych cudowności, światło latarki ukazało naszym oczom coś całkowicie nowego.

Bezpośrednio z kamiennej podłogi gęsto wyrastały piękne białe i purpurowe kwiaty, sięgające nam mniej więcej do kolan. Wyrastały z siewu rzucanego z góry przez eepoesy, których przytłumione mormorando rozbrzmiewało nad naszymi głowami echem, zwielokrotnianym przez skalne ściany. Wiele spośród kwiatów dawno już zwiedło, inne walczyły o przetrwanie. Thad zebrał kilka ziaren tych dziwnych roślin i gdy podniósł je ponad swoją głowę, eepoesy, tkwiące pod samym sklepieniem groty poruszyły się niespokojnie.

Usłyszeliśmy kolejny odgłos, tym razem dobiegający z poziomu skalnej podłogi; jakies zwierze przestraszyło się nas i pierzchało w panice. Thad poswiecił latarką w kąt i ujrzeliśmy drobne stworzonko o grubym futrze i długim, puszystym ogonku. Całe

zwierzatko i jego ogonek znikło natychmiast w jakiejś skalnej dziurze, a my zrozumieliśmy, że kilku miejsc w tej jaskini musimy jednak unikac - przede wszystkim tych, gdzie mogliśmy spodziewac się nieprzyjemnego deszczu odchodów z nad głow. Gdy wreszcie znaleźliśmy dla siebie miejsce, sięgnęliśmy do zapasów i trochę zjedliśmy. Wreszcie zajalem się mapą, by zaplanowac naszą dalszą podróż.

Oczywiście, na zmianę pełniliśmy wartę. Jeszcze dwukrotnie jedliśmy w tej grocie. Eeopoesy przyzwyczaiły się do naszej obecności i już wkrótce rozpoczęły swe regularne loty po pożywienie. Według mojego zegarka, w ukryciu spędziliśmy półtora dnia. Miałem nadzieję, że to wystarczy, by zniechecić naszych tropicieli. Poza tym, pozostawanie tu dłużej też było ryzykiem, gdyż mogli oni skierowac się na południe i zaatakowac niczego nie spodziewających się Wedrowców w Butte.

Niepokoilem się, gdyż wiedziałem, że Annet wciąż spędza czas w pokoju łączności. Mimo iż nie nadawała żadnych sygnałów, już samo funkcjonowanie urządzeń odbiorczych mogło zwrócić uwagę niepożądanych osób. Ostatnie godziny w grocie były udreka. I ja i Thad bardzo pragnęliśmy jak najszybciej znalezc się w Butte.

Wreszcie, gdy drugi dzień naszej obecności w grocie dobiegał końca, wyszliśmy na zewnątrz. Nic nie świadczyło, że ktoś śledził nas aż tutaj i aż do tej chwili. Teraz musieliśmy wedrowac jedynie przy pomocy kompasu, znow na południowy zachód. Było to trudne, ponieważ czekał nas uciążliwy marsz przez pagorkowate, pofalowane tereny.

Droge oświetlał nam jasny księżyc. W przeciwieństwie do

wedrowki przez bagna, nie musieliśmy bacznie uważać na każdy krok i maszerowaliśmy teraz w szybszym tempie. Należało jedynie wystrzegać się spotkań z przyszczorogami. Grupa, skupiona w jeziorze, z całą pewnością przechadzała wtedy, poszukując jedzenia.

Gdy w końcu natrafiliśmy na "drogę" przyszczorogów, zdumiała mnie jej szerokość i gładkość. Była dość szeroka, by mógł przejechać nią zwykły pojazd naziemny, a poza tym tak wydeptana, że znajdowała się poniżej poziomu otaczającego ją gruntu, sprawiając wrażenie, że jest traktem o ogromnym znaczeniu dla tych stworzeń i to od wielu ich pokoleń.

Oczywiście, wcale nie interesowało mnie, dokąd ona prowadzi. Widząc na niej świeże ślady, miałem ochotę jedynie na to, by znaleźć się jak najdalej od niej.

Przez cały czas obawialiśmy się oblatywacza, jednak, gdy przez długi czas nie docierały do nas żadne sygnały pościgu, trochę się rozluźniliśmy, nie na tyle jednak, by łatwo wpasć w pułapkę, która ewentualnie by na nas zastawiono.

Nie miałem przy sobie żadnych przyrządów, jednak miałem coś, czym dysponował każdy kandydat na Straznika, jako tako już wyszkolony - szosty zmysł, ostrzegający przed niebezpieczeństwami. Zatrzymałem się w miejscu, w którym niespodziewanie przyszło nam przeskoczyć małą odległość z jednej skały na drugą, nad niewielką przepaścią. Wyciągnąłem ręce, by skoku nie oddał również Thad.

Zamiast ruszyć do przodu, nagle zacząłem się cofać, popychając do tyłu również Thada. Nasluchiwałem, próbując też wyczuć

jakikolwiek obcy zapach (choć wdech jest najslabszym z moich zmysłów). Przed nami nie było niczego, co świadczyłoby o niebezpieczeństwie, ja jednak wiedziałem, że czai się ono na nas.

Rzuciłem się szybko w jakieś zagłębienie za najbliższą skałę, zmuszając Thada, by uczynił to samo. Teraz leżaliśmy przez wiele długich chwil. Nic się nie działo.

Nie wiem, jak zorientowali się, że ich pułapka zawiodła. Być może mieli jakieś urządzenia, które pozwoliły im wykryć naszą obecność. Byli uparci. Uparci tak bardzo, że teraz spróbowali uczynić otwarcie to, czego nie osiągnęli, zastawiając pułapkę.

-Wiemy, że tam jesteście.

Był to ten sam głos, który słyszeliśmy w porcie.

-Niczego złego wam nie zrobimy. Potrzebujemy waszej pomocy. Zawrzyjmy pokój.

Pokój? Tak, już kiedyś to obiecywali i ludzie z Beltane w to uwierzyli. Teraz nie było mowy o tym, żeby tym bandytom ufać, żeby zawierać z nimi jakiegokolwiek pakt.

-Wy potrzebujecie nas, my potrzebujemy was - kontynuował głos; można było w nim wyczuć jakby nutę desperacji. - Nie mamy broni. Patrzcie...

Nagle ujrzelismy w świetle księżyca, jak ktoś zrzuca broń z niedalekiej skały. Cztery miotacze zadzwieczyły o kamienie i znieruchomiały. Ich kolby lekko odbijały światło księżyca. Cztery

grozne, zadajace smierc maszyny.

-Wychodzimy z pustymi rekami. Pragniemy pokoju...

Najpierw ujrzałem ich cienie, a dopiero potem ich samych. Przygotowałem swój oszalamiacz i katem oka zobaczyłem, że Thad zrobił to samo.

Było ich trzech. Nie widzieliśmy dokładnie ich twarzy, ponieważ księżyc świecił im w plecy. Poruszali się bardzo wolno, jakby każdy krok stanowił dla nich wysiłek. Chociaż ręce mieli uniesione wysoko ujrzałem, że jeden z nich nagle przystanął i przycisnął dłoń do twarzy. Przypomniałem sobie, jakie jest działanie wirusa i zamarłem w przerażeniu.

-Teraz - wyszeptałem do Thada. - Pełny ładunek. Na nich.

Rozdział siedemnasty

Padli na ziemię, jakby byli kuklami, które przewracają się pod wpływem silnego strumienia wody. Nie byli martwi, jednak na razie nie musieliśmy się ich obawiać.-Thad. Zostan tutaj! - rozkazałem, ponieważ już chciał ruszyć w kierunku bezwładnych ciał. Nie wiedziałem, w jaki sposób szukać symptomów zarazy, jednak zachowanie tych mężczyzn, desperacja, z jaką nas szukali, było ostrzeżeniem. Uważałem, że jest tego tylko jeden powód: wiedzieli o nas, że jesteśmy mieszkańcami Beltane i mieli nadzieję, że dysponujemy antidotum, które jest w stanie powstrzymać demona, wypuszczonego na świat.

-Zarazić się można tylko od żywych - przypomniałem

Thadowi, kiedy na mnie popatrzył. - Zabierz ich bron i uciekajmy, zanim oni...

W odpowiedzi pokiwał głową i wykonał moje polecenie. Tak jak i ja, starał się przez cały czas przebywać jak najdalej od mężczyzn.

-Oblatywacz - powiedział.

-Tak.

Gdybysmy mogli znaleźć ich środek transportu i uczynić go naszym, nie tylko pozostawilibysmy ich zdanych wyłącznie na własne nogi, ale też moglibysmy znacznie przyspieszyć nasz własny powrót do Butte. Nie słyszeliśmy, co prawda, tutaj oblatywacza, nie znaczyło to jednak, że nie czeka na ziemi gdzieś w pobliżu, zaczęliśmy więc poszukiwania.

Nie miałem pojęcia na jak długo trucizna z oszalamiacza pozostawi ich nieprzytomnymi. Wszystko zależało od tego, jak silne były ich organizmy. Jednak, dysponując ich własną bronią, byliśmy teraz panami sytuacji. Mieli tylko jedną bron, straszliwa, jednak powinniśmy się liczyć, że, zdesperowani i pozbawieni nadziei użyją jej - wystarczyło, że przeniosła na nas swoją zarazę i będziemy równie martwi jak oni, chociaż wciąż będziemy mogli chodzić, rozmawiać, oddychać.

Razem z Thadem wspielismy się na skałę, z której roztaczał się szeroki widok na okolice. Z tego miejsca rozpocząłem staranny przegląd otaczającego nas obszaru, by wreszcie ujrzeć obiekt poszukiwan na małym lądowisku w pobliżu.

Skupiłem swój wzrok na oblatywaczu. Drzwi do jego kabiny były otwarte, a obok leżał mężczyzna, z twarzą, ukryta w trawie. Mogł wypasc z maszyny lub przewrocic się, kiedy stał na straży. Byłem już pewien, że cała ekipa z oblatywacza nosiła zaraze. Czy jednak ten właśnie fakt miał nas powstrzymac przed zabraniem maszyny? Posiadanie srodka transportu wiele by dla nas znaczyło. Poza tym, pozostawienie go w sytuacji, gdy wrog był w stanie ponownie go wykorzystac, oznaczalo ogromne niebezpieczenstwo. Przeciez po niedlugim locie bandyci mogli zaatakowac Butte.

-On jest martwy, prawda? - Thad wskazal na oblatywacz. - Zaraza?

-Chyba tak. Jezeli osmielimy się wziac maszyne...

Nie mielismy pojecia, z jak duza grupa ludzi musimy się zmierzyc. Przeciez w oblatywaczu mogli być jeszcze inni, umierajacy lub martwi.

Przygladajacy się maszynie Thad, nagle zastygl w napieciu, co zaskoczylo mnie. - Co jest?-zapytałem.

-Popatrz tylko na ogon oblatywacza, w tych czerwonych trawach.

Rosliny, ktore wskazal były bardzo jaskrawe i wyraznie odznaczały się na tle zieleni. Przez kilka sekund niczego wśród nich nie zauwazyłem, tak dobrze maskowal się pomiędzy nimi, wykorzystujac naturalny wyglad osobnikow jego gatunku. Po chwili jednak poruszył się i wtedy zobaczyłem wstretna, zwieczona rogami glowe, ktora z ciekawoscia przypatrywala się martwemu czlowiekowi.

-Pryszczorog? - zdziwilem sie. Jeszcze nigdy nie widzialem pryszczoroga zachowujacego sie w taki sposob.

Normalnie pryszczorogi nie byly istotami niebezpiecznymi chociaz ich wstretny wyglad przyprawial wszystkich o mdlosci. Przebywaly glownie w wodzie. Mialy szerokie pyski, z duzymi otworami na usta i trzy dziwaczne rogi: jeden tam, gdzie czlowiek posiadal nos i dwa ponad ciagle wytrzeszczonymi slepiami. Wedlug naszych standardow byly wprost niepospolicie brzydkie. Posiadaly takze zdolnosc do zmieniania odcienia skory, gdy zachodzila potrzeba stawania sie malo widocznym. Zasadniczo byly niesmialymi stworzeniami, najlepiej czujacymi sie w swych blotach; plochliwymi, chociaz meskie osobniki posiadaly pazury, ktore w pewnych okresach roku wydzielaly trucizne. Ich ulubiona metoda walki bylo rzucanie sie na przeciwnika i rozrywanie jego gardla pazurami.

Pryszczorog, ktorego teraz widzielismy byl o wiele wiekszy niz jakikolwiek zauwazony dotad na Beltane. Jego leb, ktory trzymal pod katem prostym w stosunku do przygarbionych ramion - zapewne po to, by lepiej teraz wszystko widziec dookola - byl zupełnie inny, niz znane mi pryszczorogi. Byl o wiele szerszy i wyzszy.

Ruszył do przodu, skaczac w sposob charakterystyczny dla pryszczorogow. Jednym dlugim skokiem dotarl od ogona oblatywacza, do zwlok. Wowczas pochylil sie nad nimi i trzymajac leb bardzo nisko kiwal sie z boku na bok. Pryszczorog albo wachal martwego czlowieka, albo go uwaznie ogladal.

Najwyrazniej usatysfakcjonowany wynikami swych ogladzin, wyprostowal sie i z widocznym wysilkiem opierajac przednie lapy

o prog, wsunął lebę do wnętrza oblatywacza. Pozostał w tej pozycji przez kilka chwil, wyraźnie widoczny w mojej lornetce, uważnie oglądając wnętrze kabiny. Opadłszy z powrotem na ziemię, ponownie skierował swoją uwagę na człowieka. Jego przednia łapa zawisła nad zwłokami.

-Vere! Patrz, co on robi!

Widziałem to samo, co Thad. Bagienna kreatura trzymała w łapie długi noż. Światło na moment zamigotało na jego ostrzu. Pryszczorog najprawdopodobniej zastanawiał się, do czego taki noż może mu posłużyć. Każdy jego ruch wskazywał, że nie jest to już zwierzę, lecz raczej wybryk natury, obdarzony inteligencją, który znalazł coś i teraz rozmyśla, do czego to coś może mu posłużyć w przyszłości.

-Vere, dlaczego?...

-To mutant.

Tak, to była jedyna logiczna odpowiedź. To, co właśnie zobaczyłem, w zestawieniu z oświetlonym stawem, zamieszkanym przez pryszczorogi, mogło znaczyć tylko jedno. Na Beltane prowadzono eksperymenty, mające mutować nie tylko zwierzęta, sprowadzane z innych światów, ale także te, które żyły tu od wieków. Tylko po co?

Jeszcze raz pryszczorog przystąpił do obwachiwania i oglądania zwłok. Nie trwało to już długo. Po chwili z wielkim wysiłkiem wsiadł do oblatywacza. Widok ten był dla mnie tak niecodzienny, że z zapartym tchem oglądałem, co będzie dalej. Pryszczorog pozbawił mnie jednak widowiska, bo niemal natychmiast,

wyraznie rozczarowany maszyna, wyskoczył z niej. Dwa długie susy wystarczyły mu, by zniknąć w gąszczu. Kierował się w kierunku swych bagien. W pysku niosł ze sobą noż.

Wykonał jednak za nas bardzo ważną rzecz: sprawdził teren. Jego zachowanie przy oblatywaczu świadczyło, że w kabine nie ma pasażerów, którymi musielibyśmy się przejmować. A maszyny tej bardzo potrzebowaliśmy.

Zawiesiwszy na ramionach nasze niewielkie bagaże, zaczęliśmy powoli schodzić w kierunku oblatywacza. Nie spieszyliśmy się. Gdy dotarliśmy do maszyny, unikalismy spoglądania na zwłoki, zdołałem jednak zauważyć, że martwy człowiek ubrany był w coś, co kiedyś musiało być mundurem przestrzennym. Nie sposób było rozpoznać jego szarży.

Thad stanął na czatach, a ja tymczasem poszedłem w ślady przyszczeroga i rozejrzałem się po oblatywaczu. Miał w kabine sześć miejsc, był więc duży i pochodził z naszego portu. Za przedziałem pasażerskim znajdowała się ładownia z mnóstwem pudeł, jakby ci, którzy lecieli nim jako ostatni, zdążyli jeszcze dokonać grabieży. Sprawdziwszy kabine, usiadłem na miejscu pilota. Tak, jak sądziłem, przyrządy ustawione były nie do lotu automatycznego, lecz do ręcznego sterowania.

-W porządku - zawołałem Thada do siebie.

Bez słowa posłuchał mnie, wskoczył do środka i zatrzasnął drzwi. Następnie zasiadł w fotelu drugiego pilota. Zacząłem sprawdzać przyrządy kontrolne, mając nadzieję, że nic nie przeszkodzi mi w starcie. Paliwa było bardzo niewiele. Ponieważ nie miałem czasu, by teraz lecieć do portu dla uzupełnienia go, pozostawała mi

tylko nadzieja, ze wystarczy na lot do Butte.

Nigdy nie uwazalem sie za eksperta w obsludze oblatywaczy, nie mialem tez wiele doswiadczenia z tymi maszynami. W tym okresie na Beltane helikoptery byly latwiejsze w obsludze. Mimo to, wystartowalem w miare plynnie. Od razu obralem kurs na poludniowy zachod i nadalem maszynie maksymalna szybkość. W trakcie lotu korygowalem ja, poniewaz nie chcialem leciec zbyt blisko portu; jezeli ci, ktorzy nas scigali, mieli tam jeszcze jakichs kolegow, lepiej bylo nie zwracac na siebie ich uwagi.

-Vere - Thad przerwal cisze. - Ten zmutowany pryszczorog...

-Tak.

-Nigdy nie slyszalem o oficjalnych raportach na temat podobnych eksperymentow.

-Nie.

Jak wiele jeszcze innych, a podobnych sekretow wyjdzie teraz na wierzch? A moze podobnych rzeczy nigdy nie notowano w banku pamieci?

-A jesli okaze sie, ze Beltane zamieszkuja podobne zmutowane stwory, Vere?

-Coz, chyba musimy przygotowac sie na troche niespodzianek.

-Ale nikt spoza planety nam nie pomoze. No i...

-No i bedziemy pewnie musieli podzielic Beltane pomiedzy nas a mutanty - uzupelnilem jego slowa. - Wiele spraw trzeba bedzie

rozwazyc.

-Butte jest na nieuzytkach, daleko od Rezerwatu. Czy sadzisz, ze znow wejdziemy do grot? Tamta podziemna baza bylaby dla nas bezpiecznym miejscem.

-Pod warunkiem, ze nie zagniezdziło sie tam dzikie zycie w zadnej formie. Czy pamietasz grote lodowa? - przypomnialem mu. Mial jednak racje. Lugard i ci przed nim rozwazali ostateczne schronienie sie pod ziemia.

-Vere, patrz tam! - Thad wypatrzył jakis ruch na zewnatrz. Ja sam przez caly czas wpatrzony bylem w przyrzady kontrolne.

To, co zobaczyliśmy, moglo byc, w innych okolicznosciach, bardzo zwyczajnym wydarzeniem o tej porze roku. Oto na polu pracowaly Isniace maszyny do zbierania zboz, doskonale radzaco sobie ze wszystkimi zadaniami. Kto jednak je zaprogramowal? Na dwoch innych polach zboza juz nie bylo. A wiec maszyny pracowaly przynajmniej przez jeden dzien, a moze nawet przez dwa.

Uchodzcy? Czy pozostal wsrod nich przy zyciu ktos, kto przygotowal do pracy roboty rolnicze, tak jak ja sam rozwazalem to kilka dni wczesniej? Roboty nalezalo programowac bardzo dokladnie, poniewaz nasze pola nie byly zbyt duze i kazdy robot mogl po pewnym czasie wjechac na plot, albo do lasu, o ile nie byl odpowiednio kontrolowany. Te, ktore widzielismy, z pewnoscia nie pracowaly dzis dlugo, ale za to pracowaly dobrze. A mimo to w poblizu nie bylo nikogo, kto nadzorowalby urzadzenia kontrolne. Nikogo nie bylo tez w budynku gospodarczym. A...

-Czarny owies! - zidentyfikowałem odmianę zboża i natychmiast, niemal odruchowo, skierowałem oblatywacz nad pola, by je okrażył. Czarny owies nie był przeznaczony do jedzenia przez ludzi. To szorstkie ziarno, które zbierały teraz roboty, magazynowano, by dokarmiać nim dzikie zwierzęta w Rezerwach podczas srogich zim. Dlaczego teraz ktoś uaktywnił roboty, by zbierały je z pól?

Jeden z robotów dotarł do końca pola. Spodziewałem się, że zaraz wejdzie w plot. Zawsze istniała możliwość, że jakiś dogorywający człowiek uaktywnił maszyny, nie zdając już sobie sprawy z tego, co robi.

A jednak robot zatrzymał się na skraju pola. Jeszcze raz wykonałem kolo, odnotowując w pamięci, że już dwa rzędy worków czekają na odebranie. Z całą pewnością było ich jednak znacznie mniej, niż być powinno z powierzchni, na której zniwa już skończono.

-Ktoś żyje! - krzyknął Thad. - Poszukajmy go, Vere, musimy!

Od pól prowadziła wąska droga, nie docierała ona jednak do żadnej farmy, ani osiedla, lecz do magazynu. A tam nic nie świadczyło o żadnym ruchu, nic nie wskazywało, że ktoś żyje.

Mimo iż bardzo spieszyliśmy się do Butte, nie mogłem zignorować szansy natknięcia się na żywego człowieka, wylądowałem więc za magazynem, na ładowisku dla oblatywaczy towarowych.

Drzwi do magazynu były szeroko otwarte. W środku - pustka, ani śladu po ziarnie. Zaczelismy nawoływać, a kiedy zauważyłem na

scianie mikrofon, również z niego skorzystałem. Bez odpowiedzi.

Gdy zrezygnowani wracaliśmy do oblatywacza, ujrzeliśmy ślady na ziemi. Nie zostawił ich helikopter, ani pojazd naziemny, nie były to też ślady ludzkiego obuwia.

Były to odciski kopyt i to takie, jakie dobrze znałem. Bardzo niedawno, już po wszelkich maszynach i ludziach, którzy tu kiedyś się znajdowali, przeszło wtedy wiele siriańskich centaurów. Wszystkie pozostawiły głębokie ślady, co świadczyło, że dzwigały spore ciężary. Kto jednak zaprogramował roboty? Nagle pomyślałem, że wcale nie chcę tego wiedzieć, zapragnąłem znaleźć się z powrotem w Butte, pomiędzy ludzmi, których znałem, na pustkowiu, do którego nie wedra się żadne dziwaczne kreatury.

Wmawiając sobie, że dość mam sytuacji, w których wyobraźnia podsuwa rozwiązania rodem z najbardziej śmiałych spośród fantastycznych tasm, wskoczyłem do oblatywacza. Startując, przysięgałem sobie, że nic nie zmusi mnie już do odstąpienia od kursu, który prowadził do Butte.

Przelecieliśmy nad wieloma jeszcze polami czekającymi na zniwa. Widzieliśmy wszelkie odmiany zbóż przeznaczonych dla ludzi. Nie pracował na nich żaden robot. Jeszcze miesiąc, a może tylko trzy tygodnie i będzie już za późno, żeby uratować zbiory. Czulem, że dla nas, pozostałych w Butte, będzie to poważny problem. Powinnismy wszystkie zapasy trzymać na wypadek niebezpieczeństwa i sami przystąpić do upraw.

Ze względu na konieczność ominięcia portu, przelecieliśmy nad dwoma małymi osiedlami: Rivehoime i Peakchax. Zadnego z

nich nie zbombardowano, jednak bez wątpienia oba stały się grobami dla swych mieszkańców.

Dochodził zmrok, gdy nadlatywaliśmy nad Butte. Przypuszczając, że Annet wciąż jeszcze próbuje wychwytywać jakieś sygnały, włączyłem radio pokładowe i zacząłem wywoływać ją słowami, które nie mogły zdradzić nikomu postronnemu naszego faktycznego położenia i miejsca lądowania.

-Tu Vere, tu Vere, nadchodzi. Griss...

Ufając, że zrozumie mój zamiar, nie spodziewałem się żadnej odpowiedzi i przestałem przejmować się radiem, gdy tymczasem usłyszałem po chwili, głośno i wyraźnie:

-"Warunki czerwone, warunki czerwone..."

Natychmiast zazadalem wyjaśnienia:

-Co się stało?

-"Atak mutantów, atak mutantów. Jesteśmy okrazeni przez mutanty. Trzymaj się z daleka!"

Annet musiała uważać, że idziemy pieszo i łatwo będzie nas zaatakować. Jednak "atak mutantów"? Co to mogło znaczyć? Czy chodziło jej o pryszczoroga, który zabrał noz od martwego człowieka, a może o centaury i roboty, które nie służyły już ludziom? Co działo się na Beltane?

W przeszłości nie traktowałem poważnie plotek o niezwykłych eksperymentach z mutantami. Informacje o sztucznie wyhodowanych bestiach, o rozwiniętej inteligencji, wysyłanych na

wojne, były zastrzeżone. Jeżeli jednak na Beltane znalazły się, poza wszelką kontrolą, pochodzące z laboratoriów inteligentne istoty, które teraz zechcą tutaj przejąć rolę człowieka? Należałoby je zniszczyć, ale jak?

-Jakie mutanty? - zawolałem do mikrofonu.

-"Jest ich wiele. Nie wiem... Trzymajcie się od nas z daleka..." - usłyszałem natychmiast odpowiedź.

-Mamy oblatywać. - Skoro nie zagrażali nam uchodźcy, mogłem nie posługiwać się żadnym szyfrem. - Czy możemy wylądować na dachu?

-"Nie! Zaatakują was ungerzy!"

Thad cicho gwizdnął ze zdziwienia; ja właściwie mogłem jedynie powtórzyć ten gwizd zdziwienia. Ungery były największymi ptakami na Beltane. Unger był na tyle głupi i na tyle wielki, że potrafił nie tylko zaatakować oblatywacza, ale i go zniszczyć. Ataku kilku ptaszysk nie mieliśmy szansy przeżyć. Ale lądowanie w oddali i próba dotarcia do Butte pieszo, a potem przebijanie się przez kordon mutantów i to w sytuacji, gdy brama wejściowa i tak była zamknięta, nie miało żadnego sensu.

Popatrzyłem na bron, którą odebraliśmy uchodźcom. Lasery.

-Będziemy walczyć - powiedziałem do Thada. - Ty będziesz strzelał po swojej stronie, ja po swojej. Jeżeli zajdzie potrzeba, używaj laserów. Musimy się przebić.

Położył sobie laser na kolanach i sprawdził jego mechanizmy. Ja

uczynilem to samo. Była to stosunkowo prosta bron, niewiele bardziej skomplikowana od oszalamiaczy, używanych przez nas na co dzień. Wystarczyło wycelowac i przycisnac jezyk spustowy...

-Mamy bron - powiedzialem do Annet. - Zblizamy sie.

W szybko zapadajacym zmroku docieralismy do Butte. Ujrzałem swiatlo na dachu Butte, zapalone zapewne jako wskazowka dla nas. Wokol swiatla krazyly ungerzy, niczym patrol nad Butte. Nie bylo sladu ludzi na dachu, helikopter, ktory tam pozostawilismy, odsuniety byl jednak na bok.

-Tylko dobrze mierz - ostrzeglem Thada.

Odglos naszego silnika musial ostrzec ungerzy. Jeden z nich oderwal sie z szyku i lecial prosto na nas. Odczekalem, az znajdzie sie w zasiegu mojego lasera i wystrzelilem. Ujrzałem na niebie plomien i po chwili ptaszysko bylo juz tylko kula ognia, opadajaca szybko w dol.

Ujrzałem ungera, nadlatujacego z boku, od strony Thada, jednak byłem pewien, ze chlopiec jest juz w pogotowiu. Nie pomyliłem sie i po chwili kolejny unger zostal stracony. Zabilismy jeszcze szesc, zanim zostawily nas w spokoju i odlecialy. Teraz pozostawilem nasza obrone w rekach Thada, a sam musialem wykonac trudny manewr ladowania na dachu Butte. Nie byłem pewien, czy potrafię tego dokonac, jednak zadnego innego miejsca do ladowania nie mialem.

Nadlatywałem trzy razy i nie odwazylem sie dotknac kolami dachu. Dopiero za czwartym razem, zdesperowany, wiedzac, ze

za chwile puszcza mi nerwy, opuscilem maszynie na dol.

W to, ze wyladowalismy szcieszliwie, uwierzylem dopiero wtedy, gdy uswiadomilem sobie, ze dookola panuje cisza, a oblatywacz stoi bez ruchu. Szybko otworzylem drzwi i wyskoczylem na zewnatrz, z laserem w pogotowiu, gotow do odparcia kolejnych atakow. Thad od razu, gdy znalazl sie na dachu, przyklekнал i wystrzelil.

Po krotkiej chwili spokoju uslyszelismy metaliczny szczek i cos spadlo na dach, niedaleko od helikoptera, lecz blizej mnie i Thada. Chlopiec skoczyl w moim kierunku. Znalazlszy sie przy mnie, wydostal zza paska swoja latarke i oswietlil to, co spowodowalo halas. Byla to strzala ze srebrnego metalu, zabrudzona na czubku jakimis plynem, niczego dobrego nie zwiastujacym. Po chwili nadlecialy nastepne; wystrzeliwano je z ziemi, zza murow Butte. Z kazda chwila opadalo ich na dach coraz wiecej. Mielismy juz odcieta droge do oblatywacza, a wygladalo na to, ze nie przebijemy sie nie trafieni przez deszcz strzal. Podejrzewalem, ze sa o wiele grozniejsze, niz na to wygladaja.

-Lasery - powiedzialem do Thada. - Zrob dla mnie droge. Pal je w powietrzu!

Uczynil, co mu polecilem, dzieki czemu mialem waska sciezke pod promieniami, na ktorej nie moglo spotkac mnie nic zlego. Polozylem dlon na zweglonych resztkach ungera i z niego zrobilem przykrycie dla nas, gdyz musielismy jeszcze dobiec do wlazu. Jezeli ci, ktorzy na nas czekali, w odpowiedniej chwili poluznia jego zabezpieczenie, mielismy szanse, by schowac sie cali i zdrowi.

Strzały wciąż spadały. Thad chciał je palić, ale ja zalecałem mu ostrożność. Mogliśmy jeszcze potrzebować ładunków do dalszej walki. Na razie pozostawało nam czekać.

-Co to za mutanty? - zapytał Thad. - Pyszczorogi? Centaury?

-Jakiegolwiek mutanty. Sprowadzono ich na Beltane aż nadto!

Właśnie, dodałem w duchu, mamy tu teraz wśród nas mnóstwo stworzeń, importowanych z innych światów i żadnej wiedzy, w jakim miejscu banku pamięci znajdują się informacje, które pozwolą nam nauczyć naturę, jak sobie radzić z tym niespodziewanym wrogiem.

Usłyszeliśmy jakiś odgłos, dobiegający z wieży.

-Vere?

-Tutaj! - krzyknąłem.

Zdawało mi się, że droga trwa bardzo długo, zanim wreszcie dotarliśmy do wjazdu, który Emrys, Gytha, Sabian i Annet natychmiast zatrzasnęli za nami i, nawet nie mając czasu na nas spojrzeć, przystąpili do odtwarzania zabezpieczeń, uniemożliwiających jego otwarcie lub wylamanie od zewnątrz. Wreszcie Annet popatrzyła na mnie i zaczęła wyjaśniać:

-Przystąpili do ataku jakieś trzy godziny temu. Już mieliśmy zamiar pozamykać Butte raz na zawsze.

-Jak to dobrze, że zdaliśmy. Kto to jest, albo co to jest?

-Nie wiemy, Vere, nie wiemy... Pokazali się tak nagle. Niektóre z

tych stworzen rozpoznajemy, niektore nie. To zwierzeta, ktore nie sa zwierzetami. Vere, czy swiat zwariowal?

-Nie bardziej, niz ludzie, ktorzy to spowodowali - odparlem. -
Jestesmy sami.

Zrozumiala mnie i jej twarz w jednej chwili jakby sie postarzala.

-Czy wszyscy nie zyja?

-Tak. Albo umieraja - dodalem, myslac o uchodzcach.

-Ale jak sobie poradzimy z tymi... - wskazala na sciany Butte i to, co bylo poza nimi.

No wlasnie, jak? W tej chwili nie wiedzialem i nie wiedzial tego nikt.

Rozdzial osiemnasty

Banda mutantow przybyla do Butte jakby znikad. O ich liczbie, albo o gatunkach, ktore skladaly sie na to towarzystwo, mielismy podczas oblezenia tylko mgliste pojecie. Ktoregos dnia jednak nie wytrzymałem i poderwalem w niebo oblatywacz, a Thad i Emrys z jego okien potraktowali naszych przesladowcow oszalamiaczami. Poza ta jedna walka z ungerami, nie uzywalismy laserow. Po tym nalocie przez caly dzien nie odnotowalismy dookola Butte zadnego ruchu. Dopiero o swicie ujrzałem ze stanowiska obserwacyjnego w wiezy, jak ta dziwaczna armia wycofuje sie. Przez kolejne trzy dni nie dowierzalismy, ze oblezenie jest skonzone i ze mutanty nie pozostawily przynajmniej posterunkow.

Nie znaleźliśmy powodów tego ataku, chociaż, być może, raz uwolnione spod kontroli człowieka, stworzenia te uważały za konieczność walki z nim, by już nigdy więcej pod jego kontrolą się nie znalazł. Jak dowiedziały się o naszym pobycie w Butte - nie mieliśmy pojęcia. Gytha sugerowała, że któryś spośród uwolnionych przez nas ze stacji w Rezerwacie, podał za nami przez góry. To jednak świadczyłoby, że mutanty są już w pewnym stopniu zorganizowane. Postanowiłem jednak nie wierzyć w to tak długo, jak długo będę miał co do tego chociażby najmniejsze wątpliwości.

Przez jakiś czas spekulowaliśmy, że może dowodzi nimi jakiś człowiek, może Straznik, który przetrwał zarazy i oszalał, jednak Annet twierdziła, że aż do przylotu ungerów każdy z nich przynajmniej raz wspinał się na dach i na pewno nie było między nimi żadnego człowieka.

W każdym razie atak ten pozostał dla nas tajemnicą taką samą jak zagadka zbombardowania Kynvet i wywołania na Beltane zarazy.

Wiedzieliśmy, że wraz z odparciem ataku mutantów, uzyskaliśmy na Beltane najsilniejszą pozycję, jaką mogliśmy, dla zachowania naszego gatunku. Być może fakt, że stanęliśmy wobec strasznej groźby z ich strony był dla nas ocaleniem, ponieważ od razu przystąpiliśmy do wzmocnienia naszej kryjówki, a bezustanna, ciężka praca sprawiła, że sypialismy długo i mocno, bez koszmarów.

Oblatywacz był naszym podstawowym środkiem lokomocji. Nie osmielaliśmy się poruszać po planecie na ziemi. Chociaż nie widywaliśmy już żadnych mutantów, ani nie byliśmy przez nie

atakowani, w kazdej sytuacji zachowywalismy maksymalna ostroznosc.

Nie odbywalismy z Thadem zadnej wspolnej podrozy, na wypadek, gdyby w drodze wydarzylo sie jakies nieszczescie. Jeden z pilotow musial przeciez pozostac przy zyciu. Wkrotce Thad dorownal mi we wszystkim, a okazal sie o wiele lepszy w pilotowaniu i utrzymaniu na chodzie naszej cennej maszyny. Na zmiane wylatywalismy na loty rozpoznawcze, ale juz nigdy nie natrafilismy na uchodzcow, albo jakichkolwiek mieszkancow Beltane, ktorzy przezyliby katastrofe. Sklep z czesciami zamiennymi w porcie byl glownym celem wizyt Thada. Zabieral ze soba Emrysa, ktory pelnil funkcje wartownika, kiedy on sam ladowal do oblatywacza narzedzia i czesci. Zgromadzil ich w koncu w Butte tyle, jak mnie zapewnil, ze moglo wystarczyc na utrzymanie maszyny przez wiele lat, o ile nie wydarzy sie jakis wypadek.

Gytha, Sabian i ja wybralismy sie dwukrotnie na farmy i uruchomilismy dwa roboty rolnicze, pozwalajac im pracowac w nocy; pora dnia nie miala dla nich zadnego znaczenia. Powracalismy o swicie i ladowalismy zbiory do oblatywacza, pod straza i zawsze z najwyzsza czujnoscia. Widzielismy w akcji i inne roboty, wiec bylismy juz pewni, ze to mutanty programuja je do ich zadan. Te jednak pracowaly w dzien, zbiory sprzatane byly natomiast w nocy. A wiec, mutanty odwrocily nasz porzadek, pewnie dlatego, ze czesc z nich byla istotami nocnymi.

Zaczelismy natrafiac na oznaki ich organizacji wewnetrznej. Odkrylismy, iz jej wprowadzanie i podtrzymywanie bylo krwawym dzielem. Ktoregos dnia polecielismy do sadu po jablka i odkrylismy, ze nie zjawilismy sie tutaj jako pierwsi. Ziemia pokryta

była odciskami kopyt centaurów, ale oprócz tego widniały na niej ślady łap, jakich nie widziałem do tej pory, poza terenami wokół Butte po obleżeniu. Były tu także ślady krwi, jeszcze nie zakrzepłej. Nie było zwłok.

Po ujrzeniu tych znaków wzrosła moja niewielka nadzieja. Jeśli nasi wrogowie wszczęli wojnę we własnym gronie, my sami znajdowaliśmy się w mniejszym niebezpieczeństwie. Są zapewne bardziej zajęci wewnętrznymi swarami niż nami.

Trzykrotnie powracałem do portu i próbowałem odtworzyć coś z tamtejszych zapisów. Docierałem do różnych taśm, ale były to zaledwie małe fragmenty. Gytha, która zabierałem w te wyprawy ze względu na jej wieloletnie zainteresowanie taśmami, radziła sobie niewiele lepiej. Udało się nam jednak przenieść niewielki odtwarzacz do oblatywacza i razem ze wszelkimi taśmami zabralismy go do Butte i zainstalowaliśmy, polaczywszy go nawet z ekranem komunikacyjnym. Próbowaliśmy ogarnąć umysłami, jaką wiedzę mamy w rekach. Jednak wiele zapisów było po prostu zbyt specjalistycznych i do niczego nam się nie przydawały.

To właśnie wtedy rozpocząłem ten zapis niezbyt odległej przeszłości, by kiedyś można go było dodać do historii Beltane. Wciąż jednak obawiałem się, że w mojej wiedzy są zbyt wielkie luki i zacząłem poszukiwać nowych informacji, które zresztą powinny przydać się nam wszystkim w przyszłości.

Mogliśmy przetransportować do Butte urządzenia do opieki medycznej i taśmy informacyjne z biblioteki medycznej. Nikt z nas nie potrafił jednak obsługiwać skomplikowanych urządzeń diagnostycznych i chirurgicznych, utraciliśmy więc wiedzę o

opiece zdrowotnej, zgromadzona na przestrzeni wielu wieków.

Najniższe pomieszczenia w Butte zapakowane zostały najrozniejszymi materiałami i przedmiotami z portu i innych osiedli, które uznaliśmy za przydatne. Na razie nie segregowaliśmy ich; przywoziliśmy wszystko, co nosiło jakies znamiona użyteczności i było na tyle małe, by zmieściło się na pokład oblatywacza.

Rozpoczęła się pora jesiennych deszczy, zalewających wodą nawet krainę lawy, która przez większość roku była pustynią. Były tak gwałtowne, że musieliśmy nawet sprowadzić z dachu helikopter i oblatywacz, starannie przykrywając je plachtami piasty, która chroniła maszyny w podziemnym magazynie. Wtedy zabraliśmy się za segregowanie naszych zdobyczy, oddzielając te, z których będziemy mogli korzystać później i te, które mogą przydać się natychmiast.

Kilkakrotnie dochodziło do kłótni, kiedy mieliśmy różne zdania na temat wykorzystania zgromadzonych rzeczy, jednak wkrótce stwierdziliśmy, że kłótnie są bez sensu, gdy dysponujemy takim nadmiarem wszelkich dóbr.

Zapragnąłem znów wejść do grot Lugarda. Nie tylko dlatego, że w podziemnym schronisku znajdowało się tam mnóstwo zapasów, ale też dlatego, że groty moglibyśmy wykorzystać w potrzebie jako miejsce ucieczki. Poza tym, znajdowała się tam grota lodowa, w której moglibyśmy znaleźć o wiele większe cuda niż pret, jakim zniszczyłem podziemne potwory. Jednak dotarcie do podziemi sprawiało na razie wrażenie szalenstwa, niepotrzebnego narazania się na niebezpieczeństwa.

Zaczelismy wdrazac program badawczy, nakladajac na kazdego sposrod nas zadanie nauczzenia sie tak wiele, jak byl w stanie, w okreslonej specjalnosci. Oprocz tego wszyscy musielismy wbijac sobie do glow ogolne informacje, potrzebne do przetrwania.

Wtedy dopiero dotarlo do nas (mowiac "nas", mam na mysli Annet i siebie), ze znajdujemy sie w gromadzie dzieci, ktorych przodkowie od wielu wiekow byli specjalistami, pracujacymi raczej przy pomocy umyslow niz sily fizycznej. Pierwsi osadnicy zostali przywiezieni na Beltane ze wzgledu na ich wiedze i chociaz ich potomkowie nie posiadli tego doswiadczenia, jakie oni sami zdobywali w innych swiatach, odziedziczyl po nich dociekliwe umysly, nakazujace im uczyc sie i na kazdym kroku poszukiwac wiedzy i nowych informacji.

Thad wybral jako swoja dziedzine wszelkie nauki techniczne i potraktowal swoje badania bardzo starannie, gdy tymczasem we wszystkim nasladowal go Emrys, pragnacy w tej samej dziedzinie osiagnac rownie gleboka wiedze. Obaj czesto schodzili do magazynow Butte i rozkladali, a nastepnie skladali maszyny, poznajac zasady ich budowy i dzialania.

Diedzina Annet stala sie biologia. Zgromadzila i przeczytala wszystkie tasmy, ktore, jak sadzilem, mogly przyniesc jakies informacje o mutantach. Spedzala nad nimi kazda wolna chwile. Tymczasem Gytha, ktora zawsze bardziej interesowaly informacje ogolne niz szczegolowe, zostala nasza bibliotekarka i archiwistka.

Ku mojemu zdumieniu, Pritha zajela sie medycyna. Sabiana zafascynowaly roboty i ich szybka i efektywna praca podczas zniw. Pragnal dowiedziec sie jak najwiecej o rolnictwie.

Ifors nie wykazywał żadnych szczegółowych zainteresowań, jednak często widziałem go przy odtwarzaczu. Tasmę, którą wybierał, zawierała materiały z tak szerokiego zakresu, że pomyślałem, iż podąży ścieżką Gythy. Dinan również nie podjął żadnego szczegółowego wyboru, jednak studiował uważnie wszystko, co trafiło mu w ręce.

Nie wspominałem wcześniej o Dagny, bo była naszym najważniejszym i przedłużającym się utrapieniem. W czasie jesiennych deszczów stan jej zdrowia uległ dalszej poprawie. Pritha i Annet spędzały z nią całe godziny, jednak jej częste i niezrozumiałe ataki zubożnienia i dziwnej spiaczki mogłyby doprowadzić do desperacji mniej cierpliwych opiekunów. Odnosiliśmy wrażenie, jakby jakieś ważne funkcje jej umysłu dochodziły do głosu tylko w niektórych okresach. Nie sądzę, by w pełni była świadoma, co się dookoła niej działo i dlaczego życie toczy się za ścianami Butte, a nie w jej własnym domu. Nic ją nie interesowało, co dla Annet było najbardziej złowieszczym symptomem choroby.

W miarę jak postępowała dziedzista jesień, coraz silniejsza była jej angina i spędzała większość czasu w łóżku, na przemian kaszlać i spać. Miała bardzo słaby apetyt. Bywały chwile, kiedy trzeba było karmić ją łyżeczką po łyżeczce, a ona i tak uparcie odwracała od niej głowę, zanim Annet czy Pritha zdołały wsunąć jej do ust chociażby połowę, przeznaczoną dla niej na dany posiłek porcji.

W każdym pomieszczeniu funkcjonowało ogrzewanie, jednak mimo że pracowaliśmy z Thadem niemal bez przerwy nad jego utrzymaniem, nie byliśmy w stanie utrzymać ciepłoty w Butte w coraz chłodniejsze dni, kiedy jesienne deszcze powoli

przechodziły w lodowate deszcze ze sniegiem, a potem już w śnieg. Dagny spędzała teraz cały czas w łozku i zauważyłem, że okresy, kiedy przesiadywała, nie spiac, z poduszka pod plecami, stają się z każdym dniem coraz krótsze i rzadsze.

Dreczyła nas myśl, że dysponujemy wiedzą, która jest w stanie ją uratować, nie potrafimy jednak jej wykorzystać. Niestety, mogliśmy jedynie być dla niej czuli i opiekuńczy do ostatniego dnia.

Nadszedł on przed pierwszym dniem zimy. Pewnego poranka podniosła się z łozka; dawna, wesola Dagny. Dinan spędził z nią wówczas mnóstwo czasu, jednak w końcu poszedł do Annet, nie wiedząc jak zareagować na prośbę siostry, która zapragnęła udać się do domu i pytała, gdzie są jej rodzice. Po naradzie z Annet odparł jej, że rodzice wyjechali w podróż do jakiegoś odległego laboratorium i to na jakiś czas dziewczynkę uspokoiło. Niedługo jednak znowu zapragnęła zobaczyć się z rodzicami.

Dinan, pamiętając, jak pod wpływem jej nacisku poszedł razem z nią do groty lodowej, był przerażony zachowaniem siostry. Gdy sprawę przejęła wreszcie Annet, ujrzała Dagny, siedzącą na skraju łozka, owiniętą w koc, gotową do drogi. Jej nadejście trochę uspokoiło dziewczynkę, która wreszcie zgodziła się odpocząć w łozku, zjadłszy specjalną rację leczniczą.

Od tego momentu Dagny już tylko gasła. Wkrótce zapadła w głęboki sen, z którego nigdy już się nie obudziła. Złożyliśmy ją do wiecznego odpoczynku tak, jak Lugarda, gdyż ziemia skuta była lodem. Tym razem użyłem lasera i wyryłem w skale jej imię i datę; niedokładne, gdyż wszyscy straciliśmy poczucie czasu i nie mierzyliśmy już upływających dni, ani nawet tygodni, lecz pory

roku.

W ten sposób utraciliśmy drugą osobę w naszej kompanii. A była to grupka tak mała, że mimo iż Dagny tak naprawdę trwała w samotności już od wielu miesięcy, po jej śmierci powstała pustka, której nie sposób było wypełnić. Annet, Thad, Gytha i ja z mozołem staraliśmy się zająć czymś młodsze dzieci, by jak najmniej myślały o tej śmierci.

Urządziliśmy obchody pierwszego dnia zimy, starając się, w miarę naszych możliwości, by wypadły one rzeczywiście tego właśnie dnia. Mieliliśmy nadzieję, że dzieci nie będą porównywać naszej zabawy z imprezą, jaką miały przed rokiem. Annet przygotowała wspaniały obiad, używając nawet artykułów spoza Beltane, które przez cały czas głęboko chowała przed wszystkimi. Po posiłku Gytha podeszła do mnie, z małym pakunkiem w rękach.

Gdy go otworzyłem, ujrzałem fujarkę - nie taką, jaką miał Lugard, z pewnością nie było w niej nic z magii instrumentu kapitana. A jednak ujrzałem pełne oczekiwania spojrzenie w oczach Gythy.

Tak więc ja, który dawno temu, podczas szczęśliwych dni, przygrywałem sobie na różnych instrumentach, jednak nie zagrałem już na żadnym od chwili, gdy usłyszałem muzykę Lugarda, uniosłem fujarkę do ust, początkowo bardzo niesmiało, gdyż tak niewiele o niej wiedziałem. Jednak po chwili zacząłem przypominać sobie, nuta po nucie, jedną z piosenek Wędrowców.

Najpierw grałem z ogromnym trudem, a potem z coraz większą łatwością. Annet zaczęła nawet śpiewać i po chwili dołączyli do

niej pozostali. Wkrotce byli glosniejsi od mojej fujarki, co z pewnoscia muzyce wyszlo jedynie na dobre. Kiedy skonczyli, Gytha powiedziala:

-Dosc piesni. Vere, czekamy teraz na sama melodie.

I zaczalem grac kolejne nutki, te, ktore pamietalem z dawnych ognisk, kiedy jako pilny student bylem kandydatem na Straznika, a nie rozbitkiem w martwym swiecie. Gralem dlugo, kazda melodie od poczatku do konca, a dzieci sluchaly z uwaga, jakby muzyka mogla okazac sie kluczem do lepszych dni, jakby pozwalala zapomniec o naszej ponurej sytuacji.

Po pierwszym dniu zimy chlod zaczal narastac. Drzelismy i kulilismy sie przy grzejnikach, bardzo rzadko wychylajac nosy z Butte, mimo ze czasami nad osada jasno swiecilo slonce, zachecajac do zimowych spacerow.

Chociaz Butte oznaczalo bezpieczenstwo, coraz silniej odzywala sie w mojej glowie mysl, ze po zimie powinnismy sie stad wyniesc. Nie bardzo chcialem wracac do jakiegokolwiek z osiedli. Przylygnely do nich przeciez wspomnienia, wciaz wzбудzajace zal nad zniszczonym zyciem. Uznalem, ze powinnismy rozwazyc zbudowanie wlasnego, nowego osiedla, niedaleko portu. W koncu, jezeli powojenny chaos nie okaze sie tak dlugi i trwaly, jak przewidywal Lugard i ktos zainteresuje sie Beltane, statek wyladuje wlasnie w porcie.

Jezeli ci, ktorzy wyladuja, natkna sie tylko na zgliszcza i bez powodzenia przeszukaja kilka najblizszych osiedli, prawdopodobnie nie zadadza sobie trudu szukania niedobitkow na terenach pustynnych, szczegolnie w krainie lawy. Postawilem

te sprawie podczas jednej z naszych cotygodniowych narad. Po długiej dyskusji uznaliśmy, że zaden z budynkow portowych, bez napraw, ktorym nie bylismy w stanie podolac, nie mogli stac sie tak bezpiecznym jak Butte. Gdybysmy sprobowali dokonywac jakichs napraw, pewnie zajeloby nam to wiecej niz jeden rok. A jednak, musielismy przeciez siac i zbierac plony - nalegal Sabian, popierajac mnie z energia, o jaka dotad go nie podejrzewalem. Mimo ze nie mogliśmy uprawiac, nawet przy pomocy robotow, wszystkich pol, ktore wykorzystywano do tej pory, mielismy obowiazek zasiac i zebrac jak najwiecej - zywnosc byla w naszej sytuacji zasadniczym zagadnieniem. A to powinno sklonic nas do przeniesienia sie blizej pol.

Pola, ktore mogly wzbudzić nasze zainteresowanie, lezaly blizej portu niz lezalo Butte. Roboty, gdy je zaprogramujemy, beda za nas wykonywac prace polowe: dla nas pozostaloby jedynie zadanie zbierania plonow. Nie zapomnielismy w naszych rozwazaniach i o mutantach. Chociaz jedynymi dowodami, ze wciaz sie nami interesuja, byly ich slady w sniegu, szeroko okrazajace Butte (a nie mogliśmy byc, w gruncie rzeczy, pewni, ze sa to slady mutantow, a nie innych zwierzat), nie nalezalo odcinac sie od naszej fortecy, gdyz w kazdej chwili mogla okazac sie potrzebna.

Zadecydowalismy w koncu, ze polece do portu i zapoznam sie z mozliwosciami zaadoptowania dla naszych potrzeb jednego z mniejszych budynkow, ktore nie ulegly zniszczeniu. Emrys mial leciec ze mna i utrzymywac oblatywacz w powietrzu, gdy bede pracowal, aby nie narazic na niebezpieczenstwo utraty naszej najcenniejszej maszyny.

Wyruszyliśmy bardzo wczesnie rano w dniu, ktory zapowiadala

doskonała pogoda. Od dwóch dni wiały nawet cieplejsze wiatry. Śnieg w gorach krainy lawy zaczynał topnieć. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek wróce do suchych grot tej krainy - w ciągu najbliższych lat nie zanosilo się na to.

W porcie, jeden ze statków wciąż tkwił z dziobem, utkwionym w niebo, jednak ten bardziej skorodowany przewrócił się, niszcząc spory fragment magazynu. Żadne ślady nie naruszały nieskazitelnej bieli okolicznych pól i cichych ulic.

Zatoczyliśmy nad portem kolo i wybraliśmy jeden z małych domków na uboczu, ten, w którym za dobrych dni mieszkał komendant portu. Zbudowano go równolegle z portem, był solidnie skonstruowany, a podstawowym jego budulcem był gruby kamień. Uznaliśmy ten dom niemal za równie bezpieczną fortecę jak Butte.

Po wylądowaniu wysiadłem z kabiny, a Emrys natychmiast wznosił oblatywacz w powietrze. Miał czekać, krążyć nad portem, dopóki nie zakończy przeglądu wybranego domu.

Niewiele potrzebowałem czasu, by dojść do wniosku, że dom komendanta doskonale nadaje się do naszych celów. Szczęśliwie nikt nie mieszkał w nim od czasu opuszczenia go przez ostatniego dowódcę, tak że nikt w jego wnętrzu nie umarł. Mogliśmy, tak jak w Butte, zablokować niższe drzwi i okna, a potem przygotować wyciągane schody, za pomocą których moglibyśmy opuścić się na ziemię ze strychu. Przygotowania budynku mogły zabrać i cały rok, jednak gra warta była świeczki.

Emrys wylądował o wyznaczonym czasie. Był bardzo podekscytowany.

-Vere, na polnocy jest miasto!

Miasto? Uchodzcy? Albo mieszkancy, ktorzy opuscili swe wczesniejsze domostwa na Beltane?

-Pokaz mi - zazadalem. Poslusznie wystartowal i skierowal oblatywacz ku miastu.

Rzeczywiscie, bylo to miasto, o ile mozna to slowo uzyc wobec skupiska prymitywnych chat. Pomyslalem, ze obecnie na Beltane ta nazwa jest jednak dla nich odpowiednia. Miasto miało swoich mieszkancow; widzielismy, jak wylewaja sie strumieniami ze swoich domostw, kiedy uslyszeli silnik maszyny.

-W gore i odlatujemy! - zawolalem.

Jego reakcja na moj rozkaz szcieszliwie byla natychmiastowa. Ratujac sie blyskawiczna ucieczka przed atakami ungerow, uniknelismy kolejnej walki z nimi.

-To byly... mutanty - powiedzial Emrys, zaskoczony, kiedy nie grozilo nam juz zadne niebezpieczenstwo. - Ale skad oni maja domy?

Co sie wydarzylo w tych eksperymentalnych laboratoriach? Przeciez podczas tych kilku sekund, podczas ktorych krazylismy nad chatami, naliczyłem ich przynajmniej trzy gatunki - trzy gatunki mutantow, zyjacych najwyrazniej razem, i to w dobrej komitywie. Nieslychane. A ile takich miejsc istnialo jeszcze na planecie?

Poza tym, mimo iz byłem juz pewien, ze to centaury

przygotowały ostatniego lata roboty do pracy, przecież nie były one w stanie, ze względu na budowę swych ciał, obsługiwać żadnych środków transportu. Z ulgą stwierdziłem, że z pewnością też nie potrafią dogonić naszego oblatywacza.

Niestety, odkrycie tego osiedla w pobliżu portu zniweczyło nasze plany, by tam się przenieść. Mogliśmy jedynie pozostawić w porcie jakąś wiadomość i mieć nadzieję, że ktoś, kto kiedyś tu wylądował, natrafi na nią. Doprowadziłem do tego, że tak właśnie postąpiliśmy - nie dlatego, że miałem nadzieję na takie lądowanie, lecz dlatego, że było to aktem umocnienia naszej wiary w życie poza Beltane i to życie naszego własnego rodzaju.

Tak więc, żyjemy obecnie w fortecy i nigdy nie opuszczamy jej bez broni. Zachowujemy znane nam fragmenty tradycji ludzkiej cywilizacji i uczymy się jej dorobku, kiedy tylko mamy na to czas. Pieczołowicie chronimy maszyny, wiedząc aż za dobrze, że żadna z nich i tak nas nie przetrwa.

Mijają właśnie trzy lata od dnia, w którym poszliśmy za Mrocznym Muzykantem do otchłani jego grot, które okazały się schronieniem, ratującym życie. Dwa lata temu Annet i ja, przed obliczem całej naszej gromadki, przysięgliśmy sobie wierność na całe życie. Ostatniej wiosny, kiedy śniegi zalegały jeszcze na Beltane, urodził się nasz syn, Griss, pierwszy z generacji, która nie pozna gwiazd, o ile nie wydarzy się cud.

Nikogo już nie straciliśmy, chociaż podczas ostatnich zniszczeń Sabian i Emrys z trudem przetrwali atak mutantów. Tym razem były to tylko kamiwory jednego gatunku.

Gytha ma nadzieję, że któregoś dnia będziemy mogli ułożyć

nasze stosunki na pokojowej stopie z przynajmniej kilkoma gatunkami mutantów. Uważa uwolnienie ich przez nas, gdy głodowały w klatkach na stacji, za początek tego procesu i zamierza wkrótce powrócić tam przez góry, by porozumieć się z ystrobenami. Na razie jednak nasza rada nie udziela jej na to zgody. Gdyby zginał następny członek naszej grupki, znaleźlibyśmy się w jeszcze większym niebezpieczeństwie.

Mutanty z koloni przy porcie radzą sobie coraz lepiej. Programują roboty i zbierają plony z kilku pól. Na nalegania Annet i Gythy, w końcu przyjazni wobec tych najbardziej pracowitych mutantów, Thad i ja poleciliśmy kiedyś na jedno z ich pól i naprawiliśmy zepsutego robota. Zostawiliśmy im nawet trochę żywności, jednak nie doczekaliśmy się żadnej przyjaznej reakcji z ich strony.

Wciąż nas uważnie obserwują, szpiegują, a my nigdy i nigdzie nie chodzimy w pojedynkę. W razie potrzeby, używamy przeciwko nim oszłamiacze, nigdy jednak nie zabijając tych stworzeń.

Thad i ja spędziliśmy kilka długich dni w porcie, instalując sygnały, które zostaną nadane w wypadku lądowania jakiegoś statku. Przewrocony statek rdzewieje, natomiast ten drugi wciąż mierzy dziobem w niebo. Gdybyśmy potrafili, wylecielibyśmy nim z Beltane - ale dokąd?

Odnosimy wrażenie, że przepowiednia Lugarda o końcu gwiazdnej cywilizacji sprawdza się. Od czasu, gdy wylądowały tu statki z uchodźcami, nikt nie odwiedził Bekane. I nie wierzę, że nastąpi to wkrótce; może na początku nowej ery, kiedy gdzieś, na jakiejś odległej planecie, jakaś rasa ponownie wyrwie się z

własnej atmosfery i poleci zdobywać przestrzeń.

Jezeli ci ludzie ponownie odkryja Beltane, mamy nadzieje, iz znajda ten zapis, wraz z innymi, ktore pozostaly po naszej cywilizacji. Dowiedza sie wtedy, jak skonczyl sie dla nas jeden swiat i zaczal nastepny.

Taki jest koniec mojej opowiesci. Ustalilismy, ze kontynuowac ja bedzie Gytha. Jutro umieszczze te tasme w banku danych, w porcie.

Znow jest czas zbiorow. Obserwujemy pola mutantow, czasem im pomagamy, majac nadzieje na przelom i przyjazn. Jezeli to nie nastapi, nasza przyszlosc przyjmie barwy tak ciemne, jak ciemne sa barwy grot, przez ktore wedrowalismy. Wowczas znalezlismy dostep do otwartej przestrzeni i swiatla. Obecnie niemal kazdego dnia zadajemy sobie to samo pytanie: jak bedzie tym razem?

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-22

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/